

**RUDOLF HÖSS**



**AUTOBIOGRAFIA**

**Edycja komputerowa: [www.zrodla.historyczne.prv.pl](http://www.zrodla.historyczne.prv.pl)**

**Mail: [historian@z.pl](mailto:historian@z.pl)**



**MMIII®**

# MOJA DUSZA

## KSZTAŁTOWANIE SIĘ, ŻYCIE I PRZEŻYCIA

### AUTOBIOGRAFIA

Zamierzam spróbować opisać tutaj swoje najbardziej osobiste przeżycia. Chcę spróbować wydobyć ze wspomnień, zgodnie z prawdą, wszystkie istotne wydarzenia, wszystkie wzloty i upadki mego psychicznego życia i przeżyć.

Aby przedstawić możliwie pełny obraz całości, muszę sięgnąć do swych najwcześniejszych przeżyć dzieciństwa.

### LATA DZIECIŃSTWA (1900—1916)

Do szóstego roku mego życia mieszkaliśmy prawie za miastem. Baden-Baden. W dalszym sąsiedztwie naszego domu znajdowały się tylko odosobnione zagrody chłopskie. W tym czasie nie miałem żadnych towarzyszy zabaw, wszystkie dzieci sąsiadów były o wiele starsze ode mnie. Byłem więc zdany wyłącznie na towarzystwo dorosłych. To mi niezbyt odpowiadało, starałem się więc — gdy tylko było to możliwe — uwolnić się spod nadzoru i samotnie chodzić na odkrywcze wyprawy. Szczególnie oczarował mnie wielki las wysokopiennych jodeł Schwarzwald, zaczynający się w pobliżu. Jednakże nie zapuszczałem, się do lasu zbyt daleko, najczęściej tylko tyle, że mogłem ze zboczy górskich widzieć naszą dolinę. Właściwie nie wolno mi było chodzić samemu do lasu, ponieważ pewnego razu, gdy byłem jeszcze mniejszy, porwali mnie wędrowni Cyganie, kiedy znaleźli mnie bawiącego się samotnie w lesie. Przechodzący drogą chłop z sąsiedztwa zdołał odebrać mnie Cyganom i odprowadzić do domu.

Miejscem, które mnie szczególnie pociągało, był wielki zbiornik wody w mieście. Godzinami mogłem się wsłuchiwać w tajemniczy szum wody za grubymi murami i mimo objaśnień udzielanych mi przez dorosłych nie mogłem zrozumieć tego zjawiska.

Najwięcej czasu spędzałem jednak w chłopskich stajniach. Gdy mnie szukano, zaglądano najpierw do stajen. Szczególny urok miały dla mnie konie. Nigdy nie nudziło mnie głaskanie ich, mówienie do nich

i karmienie łąkociami. Gdy tylko dopadłem narzędzi do czyszczenia, zabierałem się zaraz do szczotkowania i czesania zgrzeblem. Ku ciąglemu przerażeniu gospodarzy pełzałem wtedy między nogami koni, mimo to jednak żadne zwierzę nigdy mnie nie kopnęło, nie ubodło ani nie ugryzło. Nawet ze złośliwym bykiem jednego z gospodarzy żyłem w najlepszej przyjaźni. Nie bałem się także psów, nigdy też żaden mi nic nie zrobił. Zostawiałem nawet najpiękniejsze zabawki, gdy tylko nadarzała się sposobność wymknięcia się do stajni.

Moja matka próbowała wszystkich możliwych sposobów, aby mnie odwieść od miłości do zwierząt, która wydawała się jej tak niebezpieczna. Wszystko na próżno. Byłem i pozostałem samotnikiem; najchętniej bawiłem się lub też zajmowałem, czymkolwiek wtedy, gdy nie byłem obserwowany. Nie lubiłem, żeby mi się ktoś przyglądał. Miałem także nieodpatry pociąg do wody; wciąż musiałem się myć i kąpać. Myłem i kąpałem w wannie lub w potoku przepływającym przez nasz ogród wszystko, cokolwiek się tylko dało. W ten sposób popsułem wiele rzeczy — zarówno ubrania, jak i zabawki. Temu pragnieniu przestawania wiele z wodą oddaję się jeszcze dzisiaj.

Na siódmy rok mojego życia przypadło nasze przesiedlenie się w okolice Mannheimu. Znów mieszkaliśmy za miastem. Jednakże ku mojemu największemu zmartwieniu nie było tam żadnych stajen, ani zwierząt. Przez długie tygodnie, jak opowiadała później moja matka, byłem wprost chory z tęsknoty za swymi zwierzętami i swoim górskim lasem. Rodzice robili wówczas wszystko, żeby mnie odzwyczaić od zbyt wielkiej miłości do zwierząt. To się jednak nie udało; wyszukiwałem wszelkie książki, w których były przedstawione zwierzęta, wchodziłem w jakiś kąt i marzyłem o swoich zwierzętach. Na siódme urodziny dostałem Hansa — czarnego jak węgiel pony z błyszczącymi oczyma i długą grzywą. Nie posiadałem się z radości. Nareszcie znalazłem towarzysza. Ponieważ Hans był bardzo przywiązany, chodził za mną wszędzie jak pies. Gdy rodziców nie było, brałem go nawet do swego pokoju. Z naszą służbą żyłem zawsze na dobrej stopie, toteż była wyrozumiała dla tej mojej słabości i nigdy mnie nie zdradziła.

Teraz miałem w sąsiedztwie dość towarzyszy zabaw w moim wieku. Szalałem z nimi w jednakowych zawsze i wszędzie zabawach i grach młodzieńczych, spletałem też wraz z nimi niejedną psotę. Najchętniej jednak jeździłem na swoim Hansie do wielkiego Haardtwaldu, gdzie byliśmy zupełnie sami, gdzie mogliśmy hasać godzinami, nie spotkawszy żywej duszy.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Broszat dopatruje się w tych wynurzeniach retrospektywnej stylizacji na wzór szablonowego ideału hitlerowskiego „zucha” (*NS-Pimpf*). Jego zdaniem Höss nie pojmuje, że pewna kategoria samotników stanowi wprost masową chorobę, że jego „żyłka uduchowienia”,

ligijne traktowałem bardzo poważnie. Modliłem się z prawdziwie dziecięcą powagą i bardzo gorliwie pełniłem obowiązki ministranta.

Rodzice wychowali mnie w taki sposób, że powinienem się odnosić ze czcią i szacunkiem do dorosłych, a szczególnie do osób starszych, bez względu na to, z jakich sfer pochodzą. Nauczono mnie, że podstawowym, moim obowiązkiem jest być pomocnym wszędzie, gdzie tylko jest to konieczne. Szczególny nacisk kładziono stale na to, że mam niezwłocznie spełniać wszelkie życzenia czy polecenia rodziców, nauczycieli, księży itd., wszystkich osób dorosłych, nie wyłączając służby, i że od tego nic mnie nie powinno powstrzymać. Co oni mówią, jest zawsze słuszne.

Te zasady wychowawcze weszły mi w ciało i w krew. Doskonale sobie jeszcze przypominam, że mój ojciec, fanatyczny katolik, był zdecydowanym przeciwnikiem rządu Rzeszy i jego polityki. Wciąż mówił swoim przyjaciółom, że — mimo całej wrogości — ustawy i rozporządzenia państwa powinny być bezwarunkowo przestrzegane.

Od najmłodszych lat byłem wychowywany w głębokim poczuciu obowiązku. W domu rodzicielskim ściśle przestrzegano, by wszystkie zlecenia były wykonywane dokładnie i sumiennie. Każdy miał stale pewien zakres obowiązków. Ojciec zwracał szczególną uwagę na to, że bym stosował się jak najdokładniej do wszystkich jego zarządzeń i życzeń. Pamiętam jeszcze teraz, jak pewnej nocy wyciągnął mnie z łóżka, ponieważ pozostawiłem w ogrodzie derkę pod siodło, zamiast — stosownie do jego zarządzeń — powiesić ją w szopie, aby wyschła. Po prostu o tym zapomniałem. Wciąż mnie pouczał, że z drobnych, na pozór nic nie znaczących zaniedbań powstają najczęściej wielkie szkody. Wówczas niezupełnie to pojmowałem, później, nauczony gorzkim doświadczeniem, potrafiłem w pełni uznawać tę zasadę.

Między moimi rodzicami istniał stosunek pełen miłości, szacunku i wzajemnego zrozumienia. Nigdy jednak nie widziałem, aby byli wobec siebie czuli. Lecz tym bardziej nigdy nie padło między nimi żadne złe albo gniewne słowo.

Podczas gdy obie moje siostry, z których jedna była ode mnie młodszą o cztery, a druga o sześć lat, były bardzo przymilne i wciąż kręciły się koło matki, ja sam od najwcześniejszych lat, ku żalowi matki, wszystkich ciotek i krewnych, wzdragałem się przed wszelkimi objawami czułości. Uścisk dłoni i parę skąpych słów podziękii — to było wszystko, czego można było ode mnie oczekiwać.

Jakkolwiek oboje rodzice byli dla mnie bardzo dobrzy, nie umiałem nigdy znaleźć do nich drogi we wszystkich wielkich i małych troskach, które nękają młode serce. Wszystko załatwiałem sam z sobą. Moim

jedynym powiernikiem był mój Hans i on — jak sądziłem — rozumiał mnie.

Obie siostry były bardzo do mnie przywiązane i wciąż usiłowały ułożyć ze mną miłe, serdeczne stosunki. Ja jednak nigdy nie chciałem się z nimi zadawać. Bawiłem się z nimi tylko wtedy, gdy musiałem. Wówczas jednak drażniłem je tak długo, aż z płaczem biegły do matki. Spłatałem im niejednego figła. Mimo to pozostały mi najserdeczniej oddane i żałuję — dziś jeszcze — że nigdy nie zdobyłem się w stosunku do nich na cieplejsze uczucie. Pozostały mi zawsze obce.

Moich rodziców — zarówno ojca, jak i matkę — bardzo szanowałem i otaczałem czcią. Jednakże miłości — takiej, jaką ma się dla rodziców i jaką później poznałem — nie odczuwałem nigdy. Nie umiem sobie wytłumaczyć, skąd to pochodziło; jeszcze i dzisiaj nie znajduję żadnych po temu powodów.

Nie byłem nigdy grzecznym, a tym mniej wzorowym chłopcem. Wyrządzałem wszelkie psoty, jakie tylko umysł dziecka w tych latach może wymyślić. Wraz z innymi chłopcami szalałem w najdziwniejszych zabawach i bijatykach, jakie się nadarzyły. Chociaż stale przychodziły na mnie chwile, w których musiałem być zupełnie sam, zawsze miałem wielu towarzyszy zabaw. Nie pozwalałem sobie nic narzucać i zawsze musiałem postawić na swoim. Gdy wyrządzano mi krzywdę, nie spozczałem, póki nie została ona — w moim mniemaniu — pomszczona. Byłem co do tego nieubłagany i wśród moich szkolnych kolegów wzbudzałem lęk.

Rzecz szczególna, przez wszystkie lata szkolne siedziałem w jednej ławce z dziewczynką, Szwedką, która chciała zostać lekarką. Rozumieliśmy się z nią jak dobrzy koledzy i nigdy nie kłóciliśmy się ze sobą. Był już taki zwyczaj w naszej szkole, że w zasadzie przez wszystkie lata szkolne wygniatało się ławę z tym samym kolegą.

Na trzynasty rok mego życia przypada wydarzenie, które muszę określić jako pierwszy wyłom w moim życiu religijnym, dotychczas przeze mnie tak poważnie traktowanym.

Podczas zwykłego szamotania się przy wejściu do hali gimnastycznej niechcący zepchnąłem ze schodów jednego z kolegów. Spadając doznał pęknięcia kostki u nogi. W ciągu lat z pewnością setki uczniów zjeżdżało po tych schodach — ja sam także niejedną raz — bez jakichś poważniejszych uszkodzeń. Ten właśnie miał pecha. Ukarano mnie dwiema godzinami karceru.

Było to w sobotę przed południem. Po południu poszedłem — jak zwykle co tydzień — do spowiedzi i wyspowiadałem się także z tego uczynku dokładnie i szczerze. W domu nic o tym nie powiedziałem, aby

nie psuć rodzicom niedzieli. W przyszłym tygodniu i tak się o tym jeszcze zdążą dowiedzieć.

Wieczorem przyszedł do nas w odwiedzinach mój spowiednik, który był przyjacielem ojca. Następnego ranka ojciec wezwał mnie, abym wytłumaczył się z powodu opisanego zajścia, i ukarał mnie za to, że mu o tym raz nie powiedziałem.

Byłem całkowicie zdruzgotany — nie z powodu kary, lecz wskutek niesłychanego nadużycia zaufania ze strony mojego spowiednika. Przecież stale uczono, że tajemnica spowiedzi jest nienaruszalna, że nie wolno wyjawiać nawet najcięższych zbrodni, jeśli zostały zawierzone w czasie świętej spowiedzi. A teraz ksiądz, którego darzyłem tak wielkim zaufaniem, który był moim stałym spowiednikiem i znał na pamięć wszystkie moje drobne przewinienia, naruszył tajemnicę spowiedzi z powodu takiej drobnostki! Tylko on mógł opowiedzieć mojemu ojcu o tym wypadku, ponieważ ani ojciec, ani matka, ani nikt z domowników nie był tego dnia w mieście. Nasz telefon był zepsuty. Żaden z moich kolegów nie mieszkał w okolicy. Także nikt z wyjątkiem spowiednika nie był u nas z wizytą. Przez długi czas ciągle badałem wszelkie związane z tym okoliczności — takie to było dla mnie okropne.

Byłem i do dzisiaj jestem głęboko przekonany, że mój spowiednik naruszył tajemnicę spowiedzi. Moje zaufanie do świętego stanu kapłańskiego zostało zniweczone i zaczęły się budzić we mnie wątpliwości. Nigdy więcej nie poszedłem już spowiadać się u dotychczasowego spowiednika. Zawezwany przez niego i ojca do wytłumaczenia się z tego faktu, mogłem wymówić się tym, że spowiadam się w szkolnym kościele u naszego katechety. Ojciec zadowolił się wyjaśnieniem; jestem jednak głęboko przekonany, że spowiednik domyślał się prawdziwego powodu. Próbował wszystkich środków, aby mnie z powrotem pozyskać, jednakże bezskutecznie. Co więcej, posunąłem się jeszcze dalej: gdy tylko było to możliwe, nie szedłem w ogóle do spowiedzi, ponieważ od czasu tego wypadku nie uważałem już duchownych za godnych zaufania.

W nauce religii powiedziano, że jeśli ktoś poszedł do komunii świętej bez spowiedzi, to zostałby przez Boga ciężko ukarany. Zdarzało się, mówiono, że tacy grzesznicy padali martwi u stóp ołtarza. W dziecięcej naiwności błagałem Pana Boga o pobłażanie za to, że nie potrafię już z wiarą wyspowiadać się, i błagałem, żeby mi wybaczył moje grzechy, które jemu wyznaję. Wierzyłem, że w ten sposób uwolniłem się od grzechów, i poszedłem z bijącym sercem do komunii w innym niż zwykle kościele i mając wątpliwości co do słuszności mojego postępowania. Nic się nie stało! A ja, nędzny robak, wierzyłem, że Bóg wysłuchał mojej prośby i zgadza się z moim postępowaniem. Moja postawa

w sprawach wiary, dotychczas tak spokojna i pewna, doznała poważnego wstrząsu. Głęboka, prawdziwa wiara dziecięca została zniweczona.

W następnym roku umarł nagle mój ojciec. Nie uprzytamniam sobie, by ta strata zbyt mnie dotknęła. Byłem zresztą za młody, żeby zdać sobie sprawę z całej doniosłości tego faktu. A jednak śmierć ojca miała nadać mojemu życiu całkiem, inny przebieg, niż on sobie tego życzył.

Wybuchła wojna. Garnizon mannheimski wyruszył w pole. Zostały utworzone formacje zapasowe. Z frontu przybyły pierwsze pociągi z rannymi. Mało teraz przebywałem w domu. Tyle rzeczy było do zobaczenia, których nie chciałem pominąć. Wskutek ciągłego naprzykrzania się uzyskałem od matki zezwolenie na zgłoszenie się w charakterze siły pomocniczej do Czerwonego Krzyża. Zbyt wiele miałem wówczas wrażeń, abym mógł sobie dziś dokładnie uprzytomnić, jak oddziaływał na mnie widok pierwszych rannych. Widzę jeszcze tylko przesiąkniętą krwią opatrunki na głowach i rękach, zabrudzone krwią i gliną mundury, szare mundury naszych żołnierzy, błękitne z czerwonymi spodniami uniformy Francuzów z czasu pokoju. Słyszę jeszcze stłumione jęki rannych przy przenoszeniu do pośpiesznie przystosowanych do tego celu wozów tramwajowych. Biegałem wtedy wśród rannych, rozdzielając napoje orzeźwiające i wyroby tytoniowe. W czasie wolnym od nauki kręciłem się po szpitalach, koszarach i na dworcu, przyglądając się przyjeżdżającym transportom wojskowym lub pociągom sanitarnym i pomagając przy rozdawaniu jedzenia i upominków. Słyszałem, jak w szpitalach jęczeli ciężko ranni; prześlizgiwałem się nieśmiało obok takich łóżek. Widziałem także umierających i nawet umarłych. Doznawałem wówczas swoistego, przejmującego dreszczem uczucia. Dzisiaj jednak nie potrafiłbym go już dokładnie opisać.

Jednakże te smutne obrazy zostały wkrótce zatarte przez niezwyciężony humor żołnierski lekko rannych. Nigdy nie miałem dość ich opowiadań z frontu i z ich żołnierskiego życia. Odezwała się we mnie żołnierska krew. Przez wiele pokoleń moi przodkowie ze strony ojca byli oficerami. Mój dziadek poległ w 1870 r. jako pułkownik na czele swego pułku. Mój ojciec był także żołnierzem z krwi i kości, jakkolwiek później, po wystąpieniu z wojska, jego religijny fanatyzm przytłumił tamtą namiętność. Chciałem zostać żołnierzem. A przynajmniej nie zmarnować okazji, jaką nastęrczała wojna.

Moja matka, mój opiekun, wszyscy moi krewni chcieli mnie odwieść od tego zamiaru. Najpierw należałoby zrobić maturę, a potem dopiero będzie można zacząć o tym mówić. Miałem zresztą zostać duchownym. Pozwalałem im mówić, ale próbowałem wszystkiego, aby się dostać na front. Nieraz już wyjeżdżałem, ukrywając się wśród transportów wojskowych, zawsze mnie jednak odnajdowano i mimo moich usilnych

prośb odsyłano z powodu zbyt młodego wieku do domu przez żandarmerię połową. Wszystkie moje myśli i pragnienia w tym czasie obracały się wokół tego, aby zostać żołnierzem. Szkoła, mój przyszły zawód, dom rodzicielski — wszystko zeszło na plan dalszy. Matka ze wzruszającą dobrocią i niewyczerpaną cierpliwością usiłowała odwieść mnie od mego planu. Mimo to uporczywie szukałem sposobności, aby swój cel osiągnąć. Matka była wobec tego bezsilna. Krewni chcieli mnie oddać do seminarium misyjnego, ale matka sprzeciwiła się temu. W kwestiach religijnych stałem się obojętny, jakkolwiek obowiązkowe praktyki wypełniałem sumiennie. Brakowało mi kierownictwa mocnej ręki ojcowskiej.

### NA WOJNIE (1916—1918)

W 1916 r. udało mi się nareszcie — przy pomocy pewnego rotmistrza, którego poznałem w szpitalu — dostać do pułku, w którym służył ojciec i dziadek, i po krótkim, przeszkoleniu pójść na front. Bez wiedzy mojej drogiej matki, której już nigdy nie miałem zobaczyć, gdyż zmarła w 1917 r., przybyłem do Turcji na front iracki. Już potajemne przeszkolenie, związane z nieustanną obawą, że znajdą mnie i znów odeślą do domu, oraz długa i urozmaicona podróż do Turcji przez wiele krajów dostarczyły niemało wrażeń niespełna 16-letniemu chłopcu. Pobyt w Konstantynopolu, wówczas jeszcze bardzo egzotycznym, i jazda, częściowo konno, na odległy front w Iraku przyniosły sporo nowych wrażeń. Nie było w nich jednak nic istotnego dla mnie i nie wryły się w mą pamięć.

Dokładnie natomiast przypominam sobie pierwszą potyczkę, moje pierwsze spotkanie z nieprzyjacielem. Wkrótce po przybyciu na front zostaliśmy przydzieleni do jednej z dywizji tureckich. Nasz oddział kawalerii został podzielony między trzy pułki jako wsparcie. Jeszcze w czasie wcielania do pułku zaatakowały nas wojska angielskie (byli to Hindusi i Nowozelandczycy). Gdy sytuacja stała się poważna, Turcy uciekli. Nasza mała grupa niemiecka została sama na rozległych piaskach pustyni pomiędzy złomami skał i resztkami ruin kwitnących ongiś kultur i musiała bronić własnej skóry. Amunicji nie mieliśmy wiele, główne bowiem zapasy pozostały przy koniach. Gdy pociski padały wokół nas coraz częściej i celniej, zorientowałem się od razu, że położenie nasze stało się diabelnie trudne. Towarzysze jeden po drugim odpadali z walki na skutek ran, leżący tuż obok mnie nie odpowiadał na moje zawołanie. Gdy spojrzałem na niego, broczył krwią z wielkiej rany w czaszce i był już martwy. Ogarnęły mnie takie przerażenie i niesamowita trwoga przed podobnym losem, jakich już nigdy później nie



przeżyłem. Gdybym był sam, uciekłbym z pewnością tak jak Turcy. Musiałem wciąż spoglądać na poległego towarzysza. Pełen rozpacz, ujrzałem nagle naszego rotmistrza leżącego wśród nas za odłamek skały niczym na stanowisku w strzelnicy. Zachowując kamienny spokój, strzelał z karabinu należącego do poległego obok mnie towarzysza.

Wtedy i we mnie wstąpił nieznany mi, szczególny, tępy spokój. Stało się dla mnie jasne, że także i ja powinienem strzelać. Dotychczas jeszcze nie strzelałem i tylko patrzyłem pełen lęku na powoli podchodzących coraz bliżej Hindusów. Właśnie jeden z nich wyskoczył spoza stosu kamieni. Dziś jeszcze widzę go przed sobą — wielki, barczysty mężczyzna z czarną, sterczącą! brodą. Wahałem się przez chwilę — poległy obok mnie stał mi przed oczyma — potem strzeliłem i spostrzegłem z drżeniem, jak Hinduś w czasie skoku naprzód upadł i nie poruszył się więcej. Nie potrafiłbym powiedzieć, czy rzeczywiście dobrze wycelowałem. Mój pierwszy zabity! Więzy zostały zerwane. Teraz już strzelałem — może niezbyt pewnie — raz za razem, tak jak mnie nauczono w czasie szkolenia. Nie myślałem już o niebezpieczeństwie. W dodatku rotmistrz znajdował się w pobliżu i od czasu do czasu nawoływał mnie zachęcająco do akcji.

Natarcie ugrzęzło, skoro Hindusi spostrzegli, że natrafili na poważny opór. Tymczasem podpędzono Turków i doszło do przeciwnatarcia. Jeszcze tego samego dnia odzyskaliśmy utracony duży teren. Przechodząc obejrzałem nieśmiało i z wahaniem poległego towarzysza; nie mogę powiedzieć, abym czuł się zupełnie dobrze w tej chwili.

Nie udało mi się stwierdzić, czy w tej pierwszej potyczce zabiłem lub zraniłem więcej Hindusów, chociaż po tym pierwszym strzale dokładnie celowałem i strzelałem do wychylających się z ukrycia. Wszystko to jeszcze zbyt mnie podniecało.

Mój rotmistrz wyraził podziw, że zachowałem się tak spokojnie w pierwszej potyczce, moim chrście ogniowym. Gdyby wiedział, jak to wyglądało we mnie. Później przedstawiłem mu stan, w którym znajdowałem się w czasie pierwszego mojego spotkania z wrogiem. Śmiał się z tego i mówił, że każdy żołnierz przeżył to mniej lub więcej podobnie.

Osobliwe było to, że do rotmistrza, mojego ojca wojennego, miałem wielkie zaufanie i bardzo go szanowałem. Łączył mnie z nim bardziej serdeczny stosunek niż z moim ojcem. On też miał mnie stale na oku, a choć w niczym nie pobłażał, był bardzo życzliwy i troszczył się o mnie, jakbym był jego synem. Niechętnie puszczał mnie na dalekie zwiady, ulegał jednak w końcu moim stałym naleganiom. Był szczególnie dumny, gdy otrzymałem odznaczenie lub awans. On sam nie występował nigdy z takim wnioskiem.

Gdy na wiosnę 1918 r. poległ w drugiej bitwie nad Jordanem, boleśnie to przeżyłem. Jego śmierć dotknęła mnie naprawdę.

Z początkiem 1917 r. nasza formacja została przeniesiona na front palestyński. Przyszliśmy do Ziemi Świętej. Nazwy tak dobrze znane z historii religii i legend odżyły znowu. Lecz jakże to wszystko było niepodobne do tych obrazów, które stworzyła sobie kiedyś młodzieńcza fantazja na podstawie ilustracji i opisów.

Najpierw obsadzono nami kolej hedżaską, a później użyto nas na froncie pod Jerozolimą. Pewnego ranka, gdy z dłuższego patrolu powracaliśmy konno na drugą stronę Jordanu, napotkaliśmy w dolinie Jordanu szereg chłopskich wózków naładowanych mchem. Byliśmy obowiązani kontrolować wszystkie pojazdy i zwierzęta juczne, czy nie przewożą broni, ponieważ Anglicy stale dostarczali wszystkimi możliwymi drogami broń Arabom i mieszanej ludności Palestyny, aż nazbyt chętniej do zrzucenia tureckiego jarzma. Kazaliśmy więc chłopom wyładować wózki i za pośrednictwem naszego tłumacza, jakiegoś żydowskiego chłopca, wdaliśmy się z nimi w rozmowę. Na nasze pytanie, dokąd wiozą mech, wyjaśnili, że do klasztorów w Jerozolimie na sprzedaż pielgrzymom. Nie było to dla nas całkiem jasne.

Wkrótce potem zostałem ranny i przewieziono mnie do szpitala w Wilhelma, osiedlu niemieckich kolonistów między Jerozolimą a Jaffą. Tamtejsi koloniści z przyczyn religijnych wywędrowali przed wielu pokoleniami z Wirtembergii. W szpitalu dowiedziałem się od nich, że mchem, który wieśniacy przywozili w znacznych ilościach do Palestyny, uprawia się dochodowy handel. Chodzi tu o pewien gatunek islandzkiego szarobiałego włókna z czerwonymi cętkami. Pielgrzymom sprzedawano drogo ten mech jako pochodzący z Golgoty, przy czym czerwone cętki miały być krwią Jezusa. Koloniści opowiadali też całkiem otwarcie o tym, jak zyskowny interes można było prowadzić w czasie pokoju, gdy tysiące pielgrzymów wędrowało do miejsc świętych. Pielgrzymi kupowali wszystko, co w jakikolwiek sposób można było powiązać z miejscami świętymi lub z postaciami świętych. Szczególnie odznaczały się pod tym względem wielkie klasztory pątnicze w Jerozolimie. Robiono tam wszystko, aby od pielgrzymów wyciągnąć możliwie jak najwięcej pieniędzy.

Po zwolnieniu mnie ze szpitala przyjrzałem się sam temu procederowi w Jerozolimie. Z powodu wojny było wówczas niewiele pielgrzymów, natomiast wielu niemieckich i austriackich żołnierzy. Później widziałem to samo w Nazarecie. Rozmawiałem o tym z wieloma kolegami ponieważ ten wulgarny handel rzekomymi świętościami, uprawiany przez przedstawicieli wszystkich osiadłych tam kościołów, budził we

mnie obrzydzenie. Większość kolegów odnosiła się do tej sprawy obojętnie; mówili, że jeśli istnieją głupcy, którzy dają się nabierać na takie oszukaństwa, to niech płacą za swoją głupotę. Inni uważali to geszefciarstwo za rodzaj przemysłu turystycznego, uprawianego powszechnie w pewnych miejscowościach. Tylko nieliczni, równie głęboko jak ja wierzący katolicy, surowo osądzali ten kościelny proceder, brzydzili się robieniem wstrętnych interesów na religijnych uczuciach pielgrzymów, którzy często sprzedawali całe swoje mienie, aby raz w życiu zobaczyć miejsca święte.

Przez długi czas nie mogłem dać sobie rady z tymi sprawami; przypuszczalnie one jednak zadecydowały o moim późniejszym odwróceniu się od kościoła. Chciałbym jednak na tym miejscu zaznaczyć, że wszyscy koledzy z mojej formacji byli głęboko wierzącymi katolikami rodem z surowego katolickiego Schwarzwaldu. W tym czasie nigdy nie słyszałem jakiegoś wrogiego kościołowi słowa.

Na ten okres przypada również moje pierwsze miłosne przeżycie. W szpitalu w Wilhelma pielęgnowała mnie młoda niemiecka pielęgniarka. Miałem przestrelone kolano, a jednocześnie przewlekłe nawroty złośliwej malarii. Musiałem więc być szczególnie starannie pielęgnowany i pilnowany. W napadach gorączki przysparzałem wiele kłopotu. Pielęgniarka troszczyła się o mnie tak, że matka nie mogłaby lepiej tego robić. Z czasem jednak spostrzegłem, że to nie tylko macierzyńskie uczucie sprawiło, iż z taką miłością pielęgnowała mnie i troszczyła się o mnie.

Do tej pory miłość do kobiety jako do istoty innej płci była mi nie znana. Wprawdzie już nieraz słyszałem, jak moi koledzy rozmawiali o sprawach płciowych — a żołnierz mówi o tych sprawach dosadnie — jednak ten popęd był mi obcy, być może z braku okazji. Także i trudy tamtejszego teatru wojny nie sprzyjały wzruszeniom miłosnym.

Początkowo wprawiało mnie w zakłopotanie, gdy pielęgniarka delikatnie mnie głaskała lub podtrzymywała dłużej, niż to było konieczne, od najwcześniejszych lat unikałem, bowiem wszelkich objawów czułości. Aż i ja wpadłem w zaczarowany krąg miłości i spojrzałem na kobietę innymi oczyma. To uczucie było dla mnie cudownym, niesłychanym przeżyciem we wszystkich jego stopniach aż do cielesnego zespolenia, do którego mnie ona doprowadziła. Ja sam nie znalazłbym w sobie tyle odwagi. To pierwsze miłosne przeżycie, pełne delikatności i wdzięku, było dla mnie wytyczną w moim całym późniejszym życiu. Nigdy nie mogłem o tych sprawach mówić w sposób trywialny, stosunek płciowy bez najserdeczniejszej sympatii stał się dla mnie czymś nie do pomy-

sienią. W ten sposób ustrzegłem się również miłostek i domów publicznych.<sup>2</sup>

Wojna się skończyła. Dzięki niej zmężniałem zewnętrznie i dojrzałem wewnętrznie znacznie ponad swoje lata. Wojenne przeżycia wycisnęły na mnie niezatarte piętno. Wyrwałem się z ciasnoty rodzicielskiego domu. Mój widnokrąg rozszerzył się, w ciągu tych dwóch i pół lat wiele przeżyłem i widziałem w dalekich krajach, poznałem wielu ludzi z rozmaitych środowisk, zobaczyłem ich kłopoty i słabości. Z drżącego lękliwie, zbiegłego od matki ucznia, jakim byłem w czasie pierwszej potyczki, stałem się twardym, szorstkim żołnierzem. Mając siedemnaście lat, zostałem najmłodszym w armii podoficerem odznaczonym krzyżem żelaznym I klasy. Po awansie na podoficera polecano mi prawie wyłącznie dalekie i ważne raidy wywiadowcze oraz akcje dywersyjne. Wówczas nauczyłem się, że dowodzenie nie jest zależne od stopnia służbowego, lecz od większych zdolności, że zimny i niezwzruszony spokój dowodzącego jest w ciężkich sytuacjach decydujący. Ale nauczyłem się także, jak trudno jest świecić zawsze przykładem i zachować twarz także i wtedy, gdy wewnątrz wygląda to inaczej.

Przy zawieszeniu broni, które zastało mnie w Damaszku, powzięłem mocne postanowienie, aby nie dać się internować, lecz na własną rękę przebić się do ojczyzny. W korpusie odradzano mi to. Zapytani, wszyscy żołnierze mojego plutonu zgłosili gotowość przebicia się wraz ze mną. Od wiosny 1918 r. dowodziłem samodzielnym plutonem kawaleryjskim. Wszyscy ci ludzie mieli już trzydziestkę, a ja — osiemnaście lat. W awanturnicznym pochodzie przeciągnęliśmy przez Anatolię, nędznym żaglowcem przybrzeżnym przepłynęliśmy Morze Czarne aż do Warny, po czym jechaliśmy przez Bułgarię i Rumunię, przebrnęliśmy w najgłębszym śniegu przez transylwańskie Alpy, następnie przez Siedmiogród, Węgry i Austrię. Po prawie trzymiesięcznej podróży na ślepo, bez map, zdani tylko na szkolną wiedzę geograficzną, rekwirując pożywienie dla koni i ludzi, przebijając się przez Rumunię, która znów przeszła do nieprzyjacielskiego obozu, dotarliśmy do ojczyzny, do naszej zapasowej formacji. Tam nikt się nie spodziewał naszego powrotu. O ile wiem, z tego odcinka działań wojennych nie powróciła do kraju ani jedna zwarta formacja.

Jeszcze w czasie wojny budziły się we mnie wątpliwości, czy rzeczywiście mam powołanie do stanu duchownego. Wskutek mojego doświad-

<sup>2</sup> Zdaniem Broszata wynurzenia te są — może mimo woli — retuszowane, na co wskazuje znamienne w tym związku przemilczenie przez Hössa intymnej afery, którą miał on mieć jako komendant Oświęcimia z pewną Żydówką. Świadectwem tej afery są zapiski sędziego SS, dra Konrada Morgena, stanowiące dokument norymberski NO-2366, i protokół przesłuchania owej Żydówki przez sędziego SS Gerharda Wiebecka (M. Broszat: op. cit., s. 19).

## W KORPUSACH OCHOTNICZYCH (1919—1923)

Tak więc problem mojego zawodu został nagle rozwiązany i znów byłem żołnierzem. Znowu znalazłem dom i bezpieczne schronienie w przyjaźni koleżeńskiej. I rzecz szczególna, ja — samotnik, który musi trawić sam w sobie wszelkie wewnętrzne przeżycia, wszystko co wzrusza — stale odczuwałem pociąg do przyjaźni koleżeńskiej, w której jeden może bezwzględnie polegać na drugim w potrzebie i niebezpieczeństwie.

Walki w krajach bałtyckich znamionowała dzikość i zaciętość, z jaką nie spotkałem, się ani przedtem, podczas wojny światowej, ani potem, podczas innych walk korpusów ochotniczych. Właściwego frontu niemal nie było; nieprzyjaciel był wszędzie. A gdy dochodziło do starcia, przeradzało się ono w rzeź aż do całkowitego wyniszczenia. Szczególnie wyróżniali się przy tym Łotysze. Tam też po raz pierwszy widziałem okrucieństwa dokonywane na ludności cywilnej. Łotysze mścili się w okrutny sposób na swoich ziomkach, którzy przyjmowali u siebie lub zaopatrywali żołnierzy niemieckich czy rosyjskich białogwardzistów. Podpalali domy, a mieszkańców palili w nich żywcem. Niezliczone razy widywałem przerażające obrazy wypalonych chat i zwęglonych zwłok kobiet i dzieci.

Gdy ujrzałem to po raz pierwszy, skamieniałem ze zgrozy. Wierzyłem wówczas, że ludzki obłęd niszczenia dalej nie może się już posunąć. Jakkolwiek później musiałem wciąż patrzeć na jeszcze straszliwsze obrazy, to jednak na wpół spalona chata z wymordowaną w niej rodziną na skraju naddźwińskiego lasu dziś jeszcze stoi mi wyraźnie przed oczyma. Wówczas jeszcze mogłem się modlić i modliłem się!<sup>4</sup>

Korpusy ochotnicze w latach 1918—1921 były szczególnym zjawis-

relikwiami z miejsc świętych, znanych mi z Biblii. Ten handel i ciągnięcie zysków z miejsc, które nauczono mnie w domu i w szkole czcić jako miejsca święte, ostudził mój zapal religijny. Po powrocie do kraju natrafiłem znów na trudności ze strony mej rodziny, która koniecznie nastawała na mnie, abym został kapłanem, co ostatecznie odrzuciło mnie od Kościoła; przestałem praktykować i powoli ten płomień wiary, jaki wyniosłem z domu rodzicielskiego i ze szkoły, wygasł we mnie. Nie byłem żadnym przeciwnikiem Kościoła, tylko wiara i sprawy religijne stały się dla mnie czymś zupełnie obojętnym. Po nawiązaniu kontaktów z ludźmi, wraz z którymi wstąpiłem później do NSDAP, która była zwalczana przez katolickie Centrum, wystąpiłem w 1922 roku oficjalnie z Kościoła Katolickiego. Zrobiłem to dobrowolnie jeszcze przed wstąpieniem do partii". W toku tego przesłuchania Höss podał, że od tego czasu jest bogowiercą (*Gottglaubler*). Była to urzędowa nazwa używana w m Rzeszy dla osób, które przyznając się do wiary w Boga, nie należały do żadnego wyznania. W liście pożegnalnym do żony pisał Höss, że odnalazł „swą wiarę w Boga”.

<sup>4</sup> Broszat słusznie nadmienia, że walki między oddziałami „czerwonymi” a „białymi” w krajach bałtyckich prowadzone były z największą zawziętością i okrucieństwem przez obie strony. Niemieckie korpusy ochotnicze nie różniły się pod tym względem, co wynika nawet z niemieckich oficjalnych materiałów wydanych po 1933 roku na zlecenie Ministerstwa Wojny Rzeszy (Kommandant in Auschwitz, s. 35, przyp. 1).

kiem czasu. Każdorazowy rząd używał ich, gdy na granicach lub wewnątrz Rzeszy znowu gorzało, a siły policji, później *Reichswehry* nie były wystarczające lub nie mogły wystąpić ze względów politycznych. Wypierano się ich, gdy niebezpieczeństwo zostało zażegnane lub gdy Francja domagała się energicznie wyjaśnień. Rozwiązywano je oraz prześladowano nowe, powstające z nich organizacje, które oczekiwały gdzieś na dalsze akcje. Te ochotnicze korpusy składały się z oficerów i żołnierzy, którzy po powrocie z wojny światowej nie potrafili już przystosować się do mieszczańskiego trybu życia, z awanturników, którzy na tej drodze chcieli próbować szczęścia, z bezrobotnych, którzy chcieli uniknąć bezczynności i opieki społecznej, wreszcie z młodych entuzjastów, którzy z miłości do ojczyzny spieszyli ochotniczo pod broń. Wszyscy oni bez wyjątku byli sprzęgnięci z osobą dowódcy korpusu ochotniczego. Na nim związek opierał się i wraz z nim upadał. Powstawało takie poczucie przynależności, taki duch korpusu, którego nic nie mogło złamać. Im bardziej byliśmy przez rząd prześladowani, tym mocniej trzymaliśmy się razem. Biada temu, kto zerwał te więzy wspólnoty, kto ją zdradził.

Ponieważ rząd musiał zaprzeczać istnieniu korpusów ochotniczych, nie mógł więc także ścigać i karać przestępstw popełnianych w szeregach tych oddziałów, jak kradzież broni, zdrada tajemnic wojskowych, zdrada kraju itp. Dlatego powstał w korpusach ochotniczych i organizacjach, które zajęły ich miejsce, samosąd oparty na starych niemieckich wzorach z podobnych sytuacji — sąd kapturowy. Każda zdrada była karana śmiercią. Tylu zdrajców zostało zgładzonych! Jednak tylko nieliczne wypadki zostały ujawnione i tylko w odosobnionych wypadkach można było sprawców tych egzekucji ująć i osądzić przez specjalnie w tym celu stworzony Trybunał Stanu dla Ochrony Republiki.<sup>5</sup>

W ten sposób powstała również moja sprawa: proces o mord kapturowy w Parchim; w wyniku procesu zostałem skazany na 10 lat więzienia jako przywódca i główny uczestnik mordu. Zabiliśmy zdrajcę, który wydał Francuzom Schlagetera. Jeden z tych, który sam brał w tym udział, zdradził całą sprawę *Vorwartsowi*, czołowemu dziennikowi socjaldemokratycznemu, rzekomo dlatego, że gnębiły go wyrzuty sumienia, a w rzeczywistości — jak się później okazało — dla pieniędzy.

<sup>5</sup> Trybunał został utworzony ustawą z dnia 26.6.1922 r. o ochronie Republiki (RGBl. I, s. 521) w związku z zabójstwem ministra spraw zagranicznych Wolthera Rathenaua (24. 6. 1922r), Do właściwości Trybunału należały sprawy o przestępstwa skierowane przeciwko ustrojowi republikańskiemu i przeciwko członkom rządu. Nie został on więc stworzony specjalnie w celu sądenia sprawców mordów kapturowych — jak pisze Höss — a sprawę morderców Kadowa rozpatrywał jedynie dlatego, że byli oni członkami uznanego za sprzeczny z konstytucją Związku Przeszkolenia Rolniczego, który był namiastką zakazanych organizacji Rossbacha.

Jaki przebieg istotnie miała cała sprawa, tego sądowi nie udało się wyjaśnić. Donosiciel nie był w czasie zajścia na tyle trzeźwy, żeby mógł sobie dokładnie przypomnieć szczegóły. Ci, którzy je znali, zachowali milczenie. Ja wprawdzie brałem w tym udział, nie byłem jednak ani prowodyrem, ani też głównym sprawcą. Gdy w czasie śledztwa spostrzegłem, że towarzysz, który był właściwym sprawcą, mógł być obciążony tylko przeze mnie, wzięłem winę na siebie, a on został zwolniony jeszcze w okresie śledztwa.

Nie muszę podkreślać, że z wyżej przedstawionych pobudek zgadzałem się na śmierć zdrajcy. Schlageter był przy tym moim starym, dobrym druhem, z którym brałem udział w niejednej walce w krajach bałtyckich i w Zagłębiu Ruhry, z którym, pracowałem na Górnym Śląsku za nieprzyjacielskimi liniami i z którym załatwiałem niejedną ciemną sprawę przy dostawach broni. Byłem wówczas — i także dziś jestem — głęboko przekonany, że ten zdrajca zasłużył na śmierć. Ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa żaden sąd niemiecki nie skazałby go, osądziliśmy go według niepisanej prawa, które ustanowiliśmy sami jako zrodzone z ówczesnej konieczności. Będzie to zrozumiałe prawdopodobnie dla tego, kto sam przeżył te czasy lub potrafi się wczuć w owe zamieszki.

### W WIĘZIENIU (1923—1928)

W czasie dziewięciomiesięcznego aresztu śledczego, a także podczas procesu nie uświadamiałem sobie dokładnie swego położenia. Wierzyłem mocno, że nie dojdzie do żadnej rozprawy sądowej, a jeśli nawet to nastąpi, to w każdym razie nie będę musiał odbywać kary. Polityczne stosunki w Rzeszy w 1923 r. tak się zaostrzyły, że musiało dojść do przewrotu, wszystko jedno z której strony. Liczyłem się poważnie z tym, że we właściwym czasie zostaniemy oswobodzeni przez naszych towarzyszy. Nieudany pucz Hitlera w dniu 9 listopada 1923 r. powinien być dla mnie należyłą nauką. Wierzyłem jednak ciągle w jakiś korzystniejszy układ stosunków.

Moi obaj obrońcy zwrócili mi uwagę w sposób nie pozostawiający wątpliwości na powagę mego położenia, na to, że muszę się liczyć nawet z wyrokiem śmierci ze względu na nowy skład polityczny Trybunału Stanu,<sup>6</sup> jak również zaostrzone prześladowanie wszystkich nacjonalistycznie nastawionych organizacji, co najmniej zaś powinienem się

<sup>6</sup> Trybunał orzekał w składzie dziewięcioosobowym. Wszystkich członków Trybunału powoływał prezydent Rzeszy; trzech z nich musiało być członkami *Reichsgerichtu*, od pozostałych nie wymagano kwalifikacji sędziowskich. W zasadzie, a także i w sprawie Hössa, przewodniczył prezydent senatu *Reichsgerichtu*.

liczyć z wysoką karą pozbawienia wolności. Nie mogłem i nie chciałem w to uwierzyć.

W areszcie śledczym mieliśmy wszelkie możliwe udogodnienia, ponieważ, patrząc według orientacji politycznej, było znacznie więcej aresztowanych lewicowców — głównie komunistów — niż prawicowców.<sup>7</sup> Nawet saski minister sprawiedliwości Zeigner siedział we własnym więzieniu za obrzydliwe paskarstwo i naginanie prawa.<sup>8</sup> Mogliśmy wiele pisać, a także otrzymywać listy i paczki, mogliśmy prenumerować dzienniki i w ten sposób wiedzieliśmy o wszystkim, co się działo na świecie. Jednakże izolacja w więzieniu była bardzo surowa, tak na przykład stale wiązano nam oczy przy wyprowadzaniu z celi. Z kolegami można się było porozumiewać tylko dorywczo przez okno. W czasie procesu rozmowy, wspólne przebywanie z kolegami podczas przerw i transportu były dla nas o wiele, wiele ważniejsze i bardziej interesujące niż sam proces.

Także ogłoszenie wyroku nie wywarło ani na mnie, ani na moich towarzyszach żadnego wrażenia. Weseli i rozbawieni, śpiewając nasze stare pieśni bojowe, jechaliśmy do więzienia. Czy był to humor wisielczy, wątpię, jeśli o mnie chodzi. Po prostu nie chciałem wierzyć w konieczność odbycia kary.

Rychło nastąpiło bolesne obudzenie po przeniesieniu do więzienia karnego. Otworzył się przede mną nowy, dotychczas nie znany świat.

Odsiadanie kary w pruskim więzieniu nie było wówczas bynajmniej pobyt w miejscu wypoczynkowym. Całe życie uregulowane było ściśle aż do najdrobniejszych szczegółów. Dyscyplina wojskowa. Największy nacisk kładziono na jak najdokładniejsze wypełnienie i najstaranniejsze wykonanie dokładnie wyliczonej dziennej normy pracy. Każde wykroczenie było surowo karane, a skuteczność tych kar porządkowych potęgował jeszcze fakt, że na konferencjach urzędników więziennych odrzucano ewentualnie zamierzone ulaskawienie, a więc skrócenie kary, jeżeli więzień miał kary porządkowe.

<sup>7</sup> Między innymi dlatego, że po puczu Hitlera w dniach 8-9 listopada 1923 roku wyjęto spod prawa Komunistyczną Partię Niemiec (23.11.1923 r.) i aresztowano 6 500 jej członków. A. Norden: Czego nas uczą dzieje Niemiec, Warszawa 1949, s. 96; W. Pieck: Z dziejów Komunistycznej Partii Niemiec, Warszawa 1950, s. 20.

<sup>8</sup> Dr Erich Zeigner utworzył dnia 10. 10. 1923 r. w Saksonii rząd komunistyczny. W dniu 29. 10. 1923 r. został on przez prezydenta Rzeszy odwołany ze stanowiska premiera i ministra sprawiedliwości. Oskarżony wkrótce potem o nadużycie władzy, został w dniu 29.3.1924 r. skazany na 3 lata aresztu. Zdaniem Broszata stosunkowo surowa kara wymierzona Zeignerowi za polityczne w zasadzie przestępstwo jest jednym z przykładów świadczących o tym, że sprawiedliwość republiki weimarskiej rozstrzygała raczej korzystniej w sprawach sprawców z „ojczyźnianej” prawicy niż z lewicy (Kommandant in Auschwitz, s. 33 przyp. 1). W sprawie Zeignera patrz również - F. K. Kaul: Justiz wird zum Verbrechen, Berlin 1953, s. 112; G. Ruhle: Das Dritte Reich, Die Kampfjahre 1918—1933, s. 56, 97.



Jako przestępca polityczny<sup>9</sup> — tak mnie zakwalifikowano — miałem wówczas jedynie ten przywilej, że siedziałem w pojedynczej celi. Początkowo wcale mi się to nie podobało — miałem już dosyć tych dziesięciu miesięcy w Lipsku — później jednak byłem za to wdzięczny, mimo wielu drobnych korzyści, które daje życie w wielkich, wspólnych salach. Ale w swojej celi byłem, niezależny i mogłem, po wypełnieniu przepisanych obowiązków, podzielić sobie dzień tak, jak chciałem. Nie musiałem też liczyć się z jakimś współwięźniem i unikałem terroru przestępczej wspólnoty, panującego w tych salach. Ten terror, rozciągający się niemiłosiernie na wszystkich nie należących do przestępczego cechu czy nie hołdujących jego poglądom, poznałem wprawdzie tylko powierzchownie i z daleka. Nawet dobrze nadzorowany pruski zakład karny nie mógł złamać tego terroru.

Dotychczas wydawało mi się, że nic z tego, co ludzkie, nie może mi być obce, skoro w rozmaitych i odległych krajach poznałem ludzi różnego rodzaju, wszelkich warstw społecznych oraz ich obyczaje, a bardziej jeszcze ich nieobyczajność, skoro w moim młodym życiu wiele już przeżyłem i przeszedłem. Przestępcy w więzieniu karnym nauczyli mnie o czymś innym. Chociaż siedziałem sam w swojej celi, to jednak codziennie stykałem się z innymi więźniami w związku z różnymi okolicznościami — na spacerze na podwórku, przy doprowadzaniu do poszczególnych oddziałów zarządu więzienia, w kąpielni, przez kalifaktorów i fryzjerów, przez więźniów, którzy przynosili lub odnosili materiały robocze, i przy wielu innych jeszcze okazjach. Przede wszystkim słyszałem wieczorami ich rozmowy przy oknach, a te zorientowały mnie dostatecznie w sposobie myślenia i psychice tej sfery: otwarła się przede mną otchłań ludzkich błędów, zbrodni i namiętności.

Zaraz na początku odsiadki kary słyszałem któregoś wieczoru, jak w sąsiedniej celi ktoś opowiadał o napadzie rabunkowym na leśniczówkę. Opowiadający przekonał się wpierw, że leśniczy przebywa w gospodzie i zamordował siekierą najpierw służącą, a potem żonę leśniczego będącą w ciąży, wreszcie czworo małych dzieci, które krzyczały, przy czym tak długo bił głowami o ścianę, aż dzieci przestały „pisać”. Opowiadał o tej haniebnej zbrodni, używając tak ordynarnych, bezczelnych wyrażań, że najchętniej udusiłbym go. Tej nocy nie zaznałem spokoju. Później słyszałem jeszcze okrutniejsze rzeczy, ale nie wytrąciły mnie one z równowagi w tym stopniu jak pierwsze opowiadanie. Opowiadający był wielokrotnie skazanym na śmierć mordercą rabunkowym, którego zawsze ułaskawiano. W czasie odsiadki przeze

<sup>9</sup> W oryginale: *politischer Ueberzeugungstater* — dosłownie: przestępca z przekonań politycznych.

mnie kary uciekł on któregoś wieczoru przy powrocie do celi, zabił kawałkiem żelaza zagradzającego mu drogę urzędnika i umknął przez mur; został jednak zastrzelony przez ścigających go policjantów w chwili, gdy powalił na ziemię jednego z przechodniów, aby zrabować jego ubranie, i gdy przypuścił wściekły atak na policjantów.

W więzieniu brandenburskim zebrano elitę wielkomijskich przestępców Berlina od międzynarodowych kieszonkowców aż do szczytów tego towarzystwa — renomowanych kasiarzy, sutenerów, szulerów, oszustów w wielkim stylu i przestępców seksualnych o wszelkiego rodzaju zezwierzęceniu.

Odbywało się tam regularne szkolenie przestępców. Młodszy, nowicjusze w danym „fachu”, byli gorliwie wprowadzani przez starszych w tajemnice cechu; istotne jednak, najbardziej indywidualne chwytaki utrzymywano w najściślejszej tajemnicy. Za naukę starzy łotrowie oczywiście kazali sobie dobrze płacić: tytoniem, najczęściej używanym pieniądzem więziennym (palenie było wprawdzie surowo zakazane, mimo to jednak każdy palacz zdobywał tytoń w nielegalny sposób, dzieląc się po połowie z młodszymi funkcjonariuszami), lub usługami seksualnymi, również przyjętym środkiem płatniczym, a także definitywnie ułożonym udziałem w planowanych już teraz „przedsięwzięciach” po zwolnieniu. Wiele przestępstw na wielką skalę poczęło się właśnie w ten sposób jeszcze w czasie odsiadki kary za poprzednio popełnione przestępstwa.

Homoseksualizm był bardzo rozpowszechniony. Młodszy, przystojni więźniowie byli bardzo pożądani, o te „piękności” toczyły się dzikie walki i intrygi. Bardziej wyrafinowani spośród nich kazali sobie za to drogo płacić. Moim zdaniem — do którego doszedłem na podstawie wieloletnich doświadczeń i obserwacji — rozpowszechniony w więzieniach homoseksualizm w rzadkich tylko wypadkach jest wrodzoną czy chorobliwą skłonnością; ludzi o silnym popędzie płciowym skłania do tego seksualna potrzeba, w znacznie większym jednak procencie powstaje on z pogoni za jakąś podniecającą czynnością, „aby także coś mieć z życia”, w otoczeniu, w którym nikt już nie nakłada sobie żadnych hamulców.

W tej masie przestępców z popędu i ze skłonności znajdowała się także znaczna część ludzi, którzy w tych czasach — tak ciężkich pod względem gospodarczym latach powojennych, w latach inflacji — stawali się złodziejami i oszustami powodowani nędzą, ludzi nie dość silnych, aby mogli się oprzeć pokusie łatwego zysku, ludzi, którzy wskutek jakiegoś nieszczęśliwego zbiegu wypadków porwani zostali w wir przestępstwa. Wielu z nich walczyło uczciwie i dzielnie, aby się wyzwolić spod społecznego oddziaływania atmosfery przestępców i aby po odcier-

pieniu kary znów rozpocząć normalne życie. Wielu jednak było zbyt słabych, by móc się oprzeć wieloletniemu społecznemu naciskowi i terrorowi; ulegali mu i już na całe życie zostawali przestępcami.

Pod tym względem więzienie celkowe było prawdziwym konfesjonalem. Już w Lipsku, w więzieniu śledczym, słyszałem niektóre rozmowy przez okno. Rozmowy, w których mężczyźni i kobiety skarżyli się na swą niedolę i pocieszali się wzajemnie. Rozmowy, w których współwinni oskarżali się gorzko o zdradę. Rozmowy, które były w najwyższym stopniu interesujące dla prokuratora i dzięki którym niejedna zagadkowa zbrodnia zostałaby wyjaśniona. Już wtedy dziwiłem się, że więźniowie tak swobodnie i lekkomyślnie zwierają się przez okno z tego, co powinno być jak najgłębiej ukrywane i utrzymywane w tajemnicy. Czy był to wewnętrzny przymus nawiązywania łączności, zrodzony z niedoli pojedynczej celi, czy też wpływało to z ogólnoludzkiej potrzeby komunikowania się z innymi? Jednakże w areszcie śledczym rozmowy przez okno były bardzo ograniczone i zagrożone nieustanną kontrolą cel przez dozorców. W więzieniu karnym natomiast nie troszczył się o to żaden dozorca, chyba że rozmowa stawała się zbyt głośna.

W więzieniu brandenburskim w oddzielnych celach przebywały trzy kategorie więźniów: 1) przestępcy polityczni młodzi, karani po raz pierwszy — to był ich przywilej; 2) przestępcy o usposobieniu gwałtownym, powodujący konflikty — nie do zniesienia w dużych salach ogólnych; 3) więźniowie, którzy się narazili współwięźniom, ponieważ nie chcieli się poddać terrorowi przestępców, i tacy, którzy popełnili jakąkolwiek denuncjację<sup>10</sup> i teraz obawiali się zemsty — w tym wypadku był to rodzaj aresztu ochronnego. Co wieczór mogłem się przysłuchiwać ich rozmowom i dały mi one głęboki wgląd w psychikę więźniów odsiadujących karę. Później, w ostatnim roku mojego pobytu w więzieniu, gdy jako pierwszy pisarz zatrudniony byłem w magazynie i w ten sposób w codziennym obcowaniu z więźniami poznałem ich jeszcze bliżej, moje poglądy wielokrotnie się potwierdziły.

Prawdziwy przestępca zawodowy z upodobania lub skłonności wyrzekł się społecznej wspólnoty. Przestępca taki zwalcza ją swoim zbrodniczym działaniem, nie chce wrócić do społeczeństwa, kocha swoją przestępczość, swój „zawód”. Poczucie wspólnoty znane mu jest tylko z motywów wyrachowania lub też niewolniczego poddaństwa. W podobny sposób przywiązuje się prostytutka do swego sutenera, choćby najgorzej nawet ją traktował. Pojęcia moralne, jak wierność i wiara, są dla niego śmieszne, podobnie jak wszelkie pojęcie własności.

<sup>10</sup> Höss używa ta zwrotu *Lampen machen* z gwary więziennej, w której oznacza on denuncjowanie, donoszenie, zdradzanie (W. Polzer: *Gauner-Worterbuch*, Monachium, Berlin, Lipsk 1922, s. 50).

Wyrok i kara są dla niego potknięciem się w zawodzie, nieszczęśliwym wypadkiem w interesie, czymś w rodzaju kraksy samochodowej, niczym więcej. Stara się o to, aby odsiadywanie kary było możliwie najbardziej urozmaicone. Ponieważ zna wiele zakładów karnych i ich właściwości, ich starych urzędników, stara się więc uzyskać przeniesienie do najbardziej mu odpowiadającego więzienia.

Uważam, że jest on niezdolny do subtelniejszych odruchów serca. Odrzuca wszelkie próby wychowawcze, wszelkie usiłowania naprowadzenia go dobrocią na właściwą drogę, choćby nawet od czasu do czasu, ze względów taktycznych, dla skrócenia kary, udawał skruszonego grzesznika. W ogóle jest on nieokrzesany i nikczemny. Największą przyjemność sprawia mu, gdy może deptać to, co dla kogoś innego jest święte.

Przykład dla ilustracji. W latach 1926—1927 został wprowadzony, także w ciężkich więzieniach, humanitarno-postępowy system wykonywania kary. Między innymi w niedzielne przedpołudnie odbywały się w kościele więziennym imprezy muzyczne, w których brały udział najlepsze siły estrad berlińskich. Któregoś dnia słynna berlińska artystka wykonała *Ave Maria* Gounoda tak znakomicie i z taką tkliwością, jak rzadko słyszałem. Większość więźniów była głęboko wzruszona, nawet najbardziej zatwardziałymi mogła wstrząsnąć ta melodia. Ale nie wszystkimi. Ledwie przebrzmiały ostatnie tony, gdy za mną jakiś stary, cyniczny osobnik powiedział do sąsiada: „Ty, Edek, na brylanty to ja lecę”. Tak oddziało to głęboko wzruszające serca dzieło sztuki na przestępcę — aspołecznego w najistotniejszym znaczeniu tego słowa.

W tej masie typowych przestępców zawodowych znajdowała się jednak wielka liczba więźniów, których nie można było do nich zaliczyć; były to przypadki z pogranicza. Tacy, którzy już się staczali do nęcącego, awanturniczego świata przestępczego, i inni, którzy z całej siły bronili się przeciwko sidłom zwodniczych ponęt. Wreszcie byli i tacy, którzy potknęli się po raz pierwszy, słabi z natury, duchowo rozdarci zewnętrznymi wpływami więzienia i wewnętrznymi przeżyciami. Psychika tych ludzi nosiła na sobie wielorakie piętna, przechodziła przez wszystkie stopnie i tonacje ludzkich uczuć, wpadała często z jednej krańcowości w drugą.

U natur płochych i lekkomyślnych kara przemijała bez wrażenia, nie obciążała ich duchowo; wesoło żyli dalej, nie martwili się o przyszłość. Ci będą prześlizgiwać się przez życie tak samo jak dotychczas, dopóki znowu nie wpadną.

Całkiem inaczej zachowywały się poważniejsze natury. Kara gnębiła ich niesłuchanie, nie mogli sobie dać z tym rady. I oni usiłowali uciec od złej atmosfery panującej w ogólnych salach. Jednakże większość

z nich nie wytrzymała życia w odosobnieniu; obawiali się samotności, nieustannych rozmyślań i zgłaszali się z powrotem znowu do bagna wielkich sal. Istniała wprawdzie w więzieniu również możliwość przebywania we trójkę w jednej celi. Trudno jednak było znaleźć trzech więźniów, którzy by przez dłuższy czas wytrzymali z sobą w tej ścisłej wspólnocie. Te małe wspólnoty musiały być ciągle rozwiązywane. Nie przypominam sobie, aby choć jedna trwała dłużej. Długotrwałe więzienie czyni nawet najbardziej dobrotliwych ludzi wrażliwymi i nieznosnymi, a nawet bezwzględny. A należy przecież liczyć się z innymi, jeśli chce się żyć w tak ścisłej wspólnocie.

Nie tylko więzienie jako takie — monotonna jednostajność wszystkich codziennych czynności, stały przymus i ucisk niezliczonych przepisów, nieustanne krzyki i wymyślenia personelu nadzorczego z byle jakiego powodu, wszystko to przytłaczało poważniej myślących więźniów. Jeszcze bardziej jednak przytłaczała ich myśl o przyszłości, o dalszym życiu po odcierpieniu kary. Rozmowy ich obracały się głównie wokół tego tematu. Ich troska polegała na tym, czy odnajdą drogę do społeczeństwa, czy też zostaną przez nie odepchnięci. Jeśli byli żonaci, dołączała się jeszcze dręcząca troska o rodzinę. Czy żona dochowa wierności podczas tak długiej rozłąki? Wszystkie te sprawy wywoływały u tego rodzaju ludzi głębokie przygnębienie; nawet codziennie wykonywana praca lub lektura poważniejszych dzieł w wolnym czasie nie mogła ich uwolnić od tego przygnębienia. Nierzadko kończyło się to stanem zupełnego zamroczenia lub samobójstwem bez żadnego bezpośredniego powodu. Przez bezpośredni powód rozumiem złe wiadomości z zewnątrz, rozwód, śmierć najbliższych, odrzucenie prośby o ułaskawienie itp.

Także i ludzie chwiejni, o zmiennych charakterach niełatwo znosili więzienie. Na ich stan psychiczny miały zbyt wielki wpływ podniety zewnętrzne. Parę kuszących słów ze strony starego łotra, paczuszka tytoniu — to mogło zachwiać wszelkimi dobrymi postanowieniami i doprowadzić do ich zapomnienia. I na odwrót: dobra książka, poważnie spędzona godzina odpoczynku zmuszały takie natury do zastanawiania się nad sobą i opamiętania się.

Moim zdaniem wielu więźniów można byłoby z powrotem sprowadzić na właściwą drogę, gdyby wyżsi funkcjonariusze więzienni byli bardziej ludźmi niż urzędnikami. Szczególnie dotyczy to duszpasterzy obu wyznań, którzy już dzięki samemu cenzurowaniu listów byli zorientowani w charakterach i stanie psychicznym swoich owieczek. Ale wszyscy ci urzędnicy osiwiali i otepieli przy pełnieniu wiecznie tej samej służby. Nie widzieli wewnętrznej niedoli kogoś, kto naprawdę walczył poważnie o to, by stać się lepszym. Jeśli zdarzyło się, że któryś

z więźniów zdobył się na odwagę poproszenia duszpasterza o radę w swoich duchowych konfliktach, uważane to było po prostu za chęć odgrywania roli skruszonego grzesznika w celu uzyskania ulaskawienia.

Urzednicy więzienni czerpali swe doświadczenia z omyłek popełnionych wobec osób niegodnych ich zrozumienia i współczucia. Nawet najbardziej frywolni przestępcy stawali się nagle bardzo pobożni, gdy nadchodził okres badania możliwości ulaskawienia i gdy mieli choćby znikome tego szansę.

Niezliczone razy słyszałem, jak rozmawiający więźniowie skarżyli się na brak pomocy w swych wewnętrznych niedolach ze strony kierownictwa więzienia. U tych poważnie myślących ludzi, którzy rzeczywiście chcieli się poprawić, psychiczna udręka była karą o wiele większą niż jakiegokolwiek fizyczne dolegliwości związane z pobytem w więzieniu. W porównaniu z naturami lekkomyślnymi byli oni ukarani podwójnie.

Po ustaleniu się stosunków politycznych i gospodarczych, po okresie inflacji zapanowały w Niemczech bardziej demokratyczne poglądy. Oprócz wielu innych rządowych zarządzeń w tych latach wprowadzono również humanitarno-postępowy system wykonywania kary. Wierzano, że za pomocą dobroci i odpowiedniego wychowania można pozyskać z powrotem dla społeczeństwa tych osobników, którzy wykroczyli przeciwko ustawom państwowym. Wychodząc z założenia, że każdy człowiek jest produktem, swojego środowiska, usiłowano stworzyć przestępcy po odcierpieniu kary takie warunki gospodarcze, aby mogły one być dla niego podniętą do wzniesienia się na wyższy poziom społeczny i aby ustrzegły go przed dalszymi błędnymi krokami. Należyta opieka społeczna miała zmienić jego aspołeczną postawę i przeszkodzić ponownemu dostaniu się do środowiska przestępczego. Moralny poziom zakładów karnych miał zostać podniesiony dzięki powszechnemu stosowaniu takich metod wychowawczych, jak imprezy muzyczne, które miały poruszyć serca, odpowiednie odczyty o podstawowych prawach moralnych ludzkiego społeczeństwa, o zasadach etyki itp. Wyżsi urzednicy zakładów mieli się bardziej troszczyć o poszczególnych więźniów i ich duchowe potrzeby. Sam więzień — na podstawie trzystopniowego systemu wprowadzającego nieznane dotychczas, daleko idące ulgi — miał przechodzić stopniowo, dzięki dobremu sprawowaniu, pilnej pracy i wykazywaniu swej wewnętrznej przemiany, aż do trzeciego stopnia i w ten sposób mógł osiągnąć przedterminowe zwolnienie uwarunkowane dobrym zachowaniem się. W najbardziej pomyślnych wypadkach mogła zostać darowana w ten sposób połowa kary.

Spośród około 800 więźniów zakładu karnego pierwszy przeszedłem do trzeciego stopnia. Do chwili mojego zwolnienia nie znalazło się wie-

cej niż dwunastu takich więźniów, których na konferencjach urzędników uznano za godnych noszenia na rękawach trzech pasków. Ja odpowiadałem z góry wszystkim warunkom.: nie miałem żadnych kar dyscyplinarnych ani ostrzeżeń, stałe osiągałem wyższe normy robocze niż były ustalone, byłem karany po raz pierwszy, nie zostałem skazany na utratę czci i byłem zakwalifikowany jako przestępca polityczny. Ponieważ jednak jako przestępca polityczny byłem skazany przez Trybunał Stanu, mogłem zostać przedterminowo zwolniony tylko w wyniku aktu łaski prezydenta Rzeszy lub na podstawie amnestii.

Już w pierwszych dniach odbywania kary uświadomiłem sobie wreszcie jasno swoje położenie. Oprzytomniałem.. Niewątpliwie musiałem się liczyć z odcierpieniem kary dziesięciu lat więzienia. List jednego z moich obrońców utwierdził mnie w tym przeświadczeniu, do którego wreszcie sam doszedłem. Całkowicie nastawiłem się psychicznie na dziesięć lat. Opamiętałem się. Dotychczas żyłem dniem bieżącym, brałem życie tak, jak się układało, nie myśląc poważniej o przyszłości. Teraz miałem dość wolnego czasu, aby przemyśleć swe dotychczasowe życie, poznać swe błędy i słabości i przygotować się do dalszego, bogatszego w treść życia.

Pomiędzy poszczególnymi akcjami korpusu ochotniczego wyuczyłem się wprawdzie zawodu, do którego miałem zamiłowanie i ochotę i w którym mógłbym się wydoskonalić. Miałem wielkie zamiłowanie do rolnictwa i osiągnąłem już dobre wyniki, co stwierdzały moje świadectwa. A jednak brakowało mi prawdziwej treści życia; tego, co naprawdę może wypełnić życie, wówczas jeszcze nie znałem. Zacząłem więc jej poszukiwać za więziennymi murami i — choć to wydawać się może niedorzeczne — znalazłem ją później.

Będąc od młodości przyzwyczajony przez wychowanie do bezwzględ- nego posłuszeństwa, pedantycznego porządku i czystości, nie miałem pod tym względem szczególnych trudności w przystosowaniu się do twardego, więziennego życia. Sumiennie wypełniałem przepisane mi obowiązki, wykonywałem żadaną pracę i, ku zadowoleniu majstrów, najczęściej jeszcze więcej niż żądano, utrzymywałem moją celę stale we wzorowej czystości i porządku, tak że nawet najbardziej złośliwe cczy nie mogły znaleźć nic, co by można mi było zarzucić.

Przyzwyczailem się nawet do nieodmiennie jednostajnego przebiegu dnia, który rzadko przerywało jakieś wydarzenie, choć było to przeciwne mej niespokojnej naturze. Mój dotychczasowy żywot był przecież dostatecznie niespokojny i ruchliwy.

Szczególnym wydarzeniem było na przykład w pierwszych dwóch latach przyjscie dozwolonego co kwartał listu ze świata. Interesowałem się nim już na wiele dni przedtem, przemyślałem i rozpatrywałem,

jaką treść może zawierać. List dostawałem, od "narzeczonej" (została nazwana narzeczoną dla kierownictwa zakładu); nigdy nie widziałem tej dziewczyny, siostry mojego kolegi, i nic też o niej nie słyszałem. Ponieważ mogłem pisać tylko do krewnych czy tylko od nich otrzymywać listy, jeszcze w Lipsku koledzy postrali się dla mnie o „narzeczoną”. Ta zacna dziewczyna pisała do mnie stale przez wszystkie długie lata, spełniała wszystkie moje życzenia, informowała mnie dokładnie o wszystkich wydarzeniach wśród moich znajomych i przekazywała dalej wiadomości ode mnie.

Nie mogłem jednak przyzwyczać się do małostkowych i wyrafinowanych szykan niższych urzędników więziennych; zwłaszcza gdy były celowo wymyślane i złośliwe, wprawiały mnie zawsze w głębokie wewnętrzne wzburzenie. Wyżsi urzędnicy, aż do dyrektora więzienia włącznie, traktowali mnie poprawnie, podobnie jak i większość niższych urzędników, z którymi w ciągu tych lat miałem do czynienia. Jednak było wśród nich trzech, którzy ze względów politycznych — byli socjaldemokratami — szykanowali mnie, jak tylko mogli; często były to drobne ukłucia, ale dla mnie bardzo dotkliwe. Każda z tych szykan raniła mnie bardziej, niż gdyby mnie wychłostano. Każdy więzień o wrażliwej psychice cierpi bardziej wskutek nieuzasadnionych, złośliwych i umyślnych szykan, psychicznych zniewag niż wskutek fizycznych. Odczuwa je jako coś, co bardziej hańbi i przygnębia niż wszelkie maltretowanie cielesne. Nieraz usiłowałem stać się na to niewrażliwy — nie udało mi się nigdy.

Przyzwyczałem się do szorstkiego tonu niższych funkcjonariuszy, którzy im bardziej byli prymitywni, tym bardziej samowolnie wyżywali się w rozkoszy władzy. Przyzwyczałem się także i do tego, aby polecenia dawane mi przez takich ograniczonych pod każdym względem funkcjonariuszy, często najniedorzeczniejsze, wypełniać chętnie i bez wewnętrznego oporu, a nawet z wewnętrznym uśmiechem. Przyzwyczałem się do nieokrzesanego, ordynarnego sposobu mówienia, z jakim spotykała się tam większość więźniów.

Nigdy jednak nie mogłem się przyzwyczać, choć działo się to co dzień, do ordynarnych, frywolnych i ohydnych kpin więźniów z tego wszystkiego, co jest piękne i dobre i co dla wielu było święte; kpin szczególnie bolesnych wówczas, gdy wiedzieli, że współwięźniowi mogło to sprawić cierpienie. Słuchając tego zawsze się oburzałem.

Dobra książka była zawsze moim dobrym przyjacielem, lecz w niepokoju mego dotychczasowego życia nigdy nie miałem na nią dosyć czasu. W samotności celi stała mi się wszystkim, szczególnie w pierwszych dwóch latach odsiadki kary. Była moim wytchnieniem, przy niej mogłem zapomnieć o swojej sytuacji.



Po upływie dwóch lat, które spędziłem bez szczególnych wydarzeń, w nieodmiennie jednakowy sposób, wpadłem nagle w swoisty stan. Stałem się bardzo podniecony, nerwowy i wzburzony. Ogarnął mnie wstręt do pracy (wówczas zajmowałem się krawiectwem i robiłem to całkiem chętnie). Nie mogłem zupełnie jeść, każdy kęs, który łykałem przemocą, wracał z powrotem. Nie mogłem wcale czytać ani w ogóle skupić się. Jak dzikie zwierzę miotałem, się po celi tam i z powrotem. Nie mogłem już spać — dotychczas spałem zawsze mocno i prawie bez marzeń sennych przez całą noc. Teraz musiałem wstawać i krążyć po celi, nie mogąc znaleźć spokoju. Gdy wreszcie z wyczerpania padałem na łóżko i zasypiałem, po krótkim czasie znowu się budziłem zlany potem od pogmatwanych, koszmarnych snów. W tych bezładnych snach byłem wciąż ścigany, zabijany, rozstrzeliwany albo spadałem w przepaść. Noce stały się dla mnie męką. Godzina po godzinie słyszałem bicie wieżowych zegarów. Im bliżej było do rana, tym, większa ogarniała mnie groza przed dniem, przed ludźmi, którzy znów się ukażą — a ja nie chciałem, nie mogłem nikogo widzieć.

Usiłowałem przemocą wziąć się w karby — nie mogłem jednak nic na to poradzić. Chciałem się modlić — nie wydobyłem z siebie nic więcej, jak tylko żalony bełkot trwogi, odczyłem się modlitwy — nie odnalazłem już drogi do Boga. W tym stanie wierzyłem, że Bóg już nie chce mi pomóc, ponieważ Go opuściłem. Dręczyło mnie moje oficjalne wystąpienie z kościoła w 1922 r. A przecież było to tylko ostateczne wyciągnięcie konsekwencji ze stanu, w którym się znajdowałem od czasu zakończenia wojny. Wewnętrznie odszedłem od kościoła — jakkolwiek działo się to stopniowo — już w ostatnich latach wojny.

Czyniłem sobie bardzo gorzkie wyrzuty, że nie posłuchałem rodziców i nie zostałem duchownym. Dziwne, że właśnie to wszystko tak mnie w owym stanie dręczyło. Moje wzburzenie wzrastało z dnia na dzień, nawet z godziny na godzinę. Byłem bliski szaleństwa. Fizycznie podupadałem coraz bardziej. Mojego majstra uderzyło obce mi dotychczas roztargnienie; najprostsze rzeczy robiłem wręcz na opak i chociaż zaciekle pracowałem, nie wyrabiałem już normy. Od paru dni głodowałem, ponieważ przypuszczałem, że potem będę mógł znowu jeść. Wtedy właśnie przyłapał mnie dozorca naszego oddziału na wyrzucaniu obiadu do kubła. Nawet jemu, który zwykle pełnił służbę obojętnie, niemal nie zwracając uwagi na więźniów, rzuciły się w oczy mój wygląd i zachowanie. Z tego powodu bacznie mnie obserwował, jak mi potem kiedyś sam powiedział.

Natychmiast zaprowadzono mnie do lekarza. Ów starszy pan, dziesiątki lat pracujący w zakładzie, wysłuchał mnie spokojnie, przejrzał moje papiery, po czym powiedział z największym spokojem: „Psychoza

więzienna. To przejdzie, nie jest tak źle". Wzięto mnie do szpitala, do celi obserwacyjnej; tam zrobiono mi zastrzyk i zimne kompresy, po czym zapadłem natychmiast w najgłębszy sen. W ciągu następnych dni otrzymywałem środki uspokajające i wikt szpitalny. Stan ogólnego podniecenia zmniejszał się i znowu wziąłem się w karby.<sup>11</sup> Powróciłem do swojej celi na własne życzenie; zamierzano przenieść mnie do wspólnej celi, błagałem jednak, aby pozwolono mi zostać samemu.

W tym okresie dyrektor więzienia zakomunikował mi, że wskutek dobrego sprawowania i wydajnej pracy zaszerogowano mnie do drugiego stopnia i że odtąd będą mi przysługiwały różne ulgi. Mogłem pisać co miesiąc i mogłem otrzymywać tyle listów, ile do mnie wysyłano. Wolno było przysyłać dla mnie książki i pomoce naukowe. Mogłem mieć kwiaty na swym oknie i palić światło do dziesiątej wieczór. Mogłem w niedzielę i dni świąteczne przebywać w ciągu wielu godzin z innymi więźniami.

Perspektywa tych wszystkich udogodnień szybciej niż wszystkie uspokajające środki pomogła mi zwalczyć depresję. Mimo to echa tego stanu długo się jeszcze we mnie odzywały. Istnieją rzeczy pomiędzy niebem i ziemią, których się nie doświadcza w codziennym kieracie, nad którymi jednak człowiek w zupełnej samotności poważnie się zastanawia. Czy istnieje łączność z tymi, którzy odeszli? W godzinach najsilniejszego wzburzenia, zanim się jeszcze zmaciły moje myśli, często widziałem żywych rodziców i rozmawiałem z nimi tak, jakbym był jeszcze pod ich opieką. Jeszcze dzisiaj nie potrafię sobie tych spraw wyjaśnić. Nie rozmawiałem też o nich nigdy i z nikim.

W ciągu następnych lat mojego pobytu w więzieniu mogłem jeszcze nieraz obserwować psychozę więzienną. Wiele przypadków kończyło się w celi dla szaleńców, inne prowadziły do zupełnego zamroczenia duchowego. Znani mi więźniowie, którzy przez tę psychozę przeszli i przetrwali ją, jeszcze przez długi, długi czas byli potem nieśmiali, przybici i pesymistyczni. Kilku z nich nigdy się już nie pozbyło głębokiego przygnębienia.

Większość samobójstw, które się tam zdarzyły, przypisuję psychozie więziennej. W tym stanie zawodzą wszystkie rozsądne argumenty, odpadają wszelkie hamulce, które w normalnym życiu nie dopuszczają do samobójstwa. Straszne podniecenie, opanowujące wówczas człowieka, doprowadza go do ostateczności, byle zakończyć tę mękę, byle znaleźć spokój.

Na podstawie swojego doświadczenia uważam, że przypadki symu-

<sup>11</sup> Prof. Batawia określa przebyta przez Hössa psychozę więzienną jako krótkotrwałe „ostre zaburzenia psychiczne o charakterze reaktywnym” (prof. dr S. Batawia: Rudolf Höss, komendant obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, Biuletyn VII GKBZH. s. 36).

lowania stanów szalowych i obłądu w celu wydostania się z więzienia zachodzą niezmiernie rzadko, gdyż z chwilą przeniesienia do zakładu dla umysłowo chorych następuje zawieszenie wykonania kary aż do chwili, gdy chory znowu jest zdolny do jej odbywania (w przeciwnym wypadku pozostaje do końca życia w zakładzie psychiatrycznym). Rzecz szczególna, większość więźniów odczuwa niemal zabobonny lęk przed chorobą psychiczną.

Po tej depresji, po tym załamaniu moje życie w zakładzie karnym upływało bez szczególnych wydarzeń. Stawałem się coraz spokojniejszy i coraz bardziej zrównoważony. W wolnych chwilach uczyłem się z zapalem angielskiego, kazałem przysłać sobie podręczniki, a potem bieżąc zamawiałem, dla siebie angielskie książki i czasopisma; w rezultacie nauczyłem się tego języka w ciągu około jednego roku bez niczyjej pomocy. To był zarazem znakomity sposób zachowania dyscypliny wewnętrznej.

Od kolegów i znajomych rodzin stale otrzymywałem dobre i wartościowe książki z wszelkich dziedzin. Szczególnie jednak interesowała mnie historia oraz nauka o rasach i dziedziczności i tym się najchętniej zajmowałem.<sup>12</sup> W niedzielę grywałem w szachy z więźniami, którzy mi odpowiadali. Właśnie ta gra, będąca poważnym pojedynkiem duchowym, nadaje się szczególnie do utrzymania i odświeżania sprawności umysłu, która przecież wciąż jest zagrożona przez monotonię życia za kratami.

Obecnie dzięki różnorodnym i wielostronnym kontaktom ze światem, listom, dziennikom i czasopismom otrzymywałem pożądane nowe podniety.

Gdy czasami zjawiały się u mnie posępne nastroje i zniechęcenie, wówczas wspomnienie przebytego „martwego punktu” działało jak podcięcie biczem i szybko rozpędzało nadciągające chmury. Obawa przed nawrotem choroby była zbyt silna.

Zaszeregowanie mnie w czwartym roku uwięzienia do trzeciego stopnia przyniosło mi nowe ulgi. Co 14 dni pisanie listu na niewięziennym papierze i o nie ograniczonej objętości. Teraz już nie istniał dla mnie przymus pracy; pracowałem dobrowolnie i sam sobie mogłem wybierać pracę, otrzymywałem też za nią wyższe wynagrodzenie. Dotychczasowe „wynagrodzenie za pracę” wynosiło za dzienną normę roboczą 8 feni-gów, z czego 4 fenigi można było zużyć na zakup dodatkowych środków

<sup>12</sup> „Do przeczytanej treści ustosunkowywał się tak samo, jak do wszystkiego, co wchłaniał jego umysł — bezkrytycznie. Na niektórych książkach figurowały zresztą nazwiska profesorów uniwersytetu, kwestionowanie więc tez autorów było w ogóle nie do pomyślenia. Treść książek harmonizowała poza tym ze wszystkim, o czym ciągle słyszał w ostatnich latach w korpusie Rossbacha, a zwłaszcza ze sloganami, które padały stale z ust towarzyszy partyjnych” (S. Batawia: op. cit., s. 36).

żywności (w najlepszym wypadku funt tłuszczu miesięcznie). Na trzecim stopniu wynagrodzenie za dzienną normę pracy wynosiło 50 fenigów, które można było w całości zużyć na własne potrzeby. Oprócz tego można było jeszcze wydać z własnych pieniędzy 20 marek miesięcznie. Dla trzeciego stopnia wprowadzono również słuchanie radia i palenie tytoniu w określonych godzinach.

Ponieważ właśnie w tym czasie opróżniło się stanowisko pisarza w magazynie, zgłosiłem swoją kandydaturę. W ten sposób miałem teraz przez cały dzień urozmaicone zajęcie, wiele widziałem i słyszałem od odchodzących i nowo przybyłych więźniów, a także od więźniów z wszystkich oddziałów, którzy przychodzili do magazynu codziennie w sprawie zmiany ubrania, bielizny i sprzętu. Słyszałem też niemało od pełniących służbę urzędników więziennych o wszystkim, co się wydarzyło w codziennym życiu więziennym. Magazyn był zbiornicą wiadomości wszelkiego rodzaju — zarówno różnych nowin, jak i plotek. Tam poznałem powstawanie i błyskawiczne rozszerzanie się plotek wszelkiego rodzaju oraz ich oddziaływanie. Nowina i plotka, rozpowszechniana dalej szeptem w sposób możliwie najbardziej tajemniczy, to eliksir życia w niewoli. Im bardziej odosobniony jest więzień, tym, skuteczniejsza jest plotka; im bardziej jest prymitywny, tym bardziej jest łatwowierny.

Jeden z moich „współpracowników”, a więc jeden z więźniów zatrudnionych tak jak i ja w magazynie, pracujący tam już przeszło 10 lat i należący już poniekąd do inwentarza, znajdował szatańską radość w tym, by wymyślać wyssane z palca plotki, szeptem podawać je dalej i patrzeć, jakie będą tego skutki. Ponieważ jednak postępował przy tym bardzo przebiegle, nie można go więc było zdemaskować, gdy stwarzał niekiedy poważne sytuacje.

Ja sam padłem raz ofiarą tego rodzaju plotki. Rozeszła się pogłoska, że życzliwi mi wyżsi urzędnicy więzienni umożliwili mi przyjmowanie w nocy wizyt kobiet w celi. Jakiś więzień za pośrednictwem pewnego urzędnika przemycił tę wiadomość na zewnątrz w formie zażalenia do wyższych władz nadzorujących wykonanie kary. Pewnej nocy zjawił się nagle w mojej celi dyrektor departamentu więziennictwa z kilku wyższymi urzędnikami i dyrektorem więzienia wyciągniętym z łóżka, aby na własne oczy przekonać się o prawdziwości denuncjacji.

Mimo drobiazgowego śledztwa nie można było wykryć ani donosiela, ani autora plotki. Dopiero przy moim zwolnieniu mój „współpracownik” powiedział, że to on wymyślił tę plotkę, a więzień z sąsiedniej celi napisał doniesienie, po czym on sam przemycił list na zewnątrz — wszystko w tym celu, aby zrobić na złość dyrektorowi więzienia za to, że odrzucił jego prośbę o ulaskawienie. Oto przyczyna i skutek. Złośliwi mogą w ten sposób narobić wiele złego.

Szczególnie interesowali mnie tam nowo przybyli więźniowie.

Bezczelny, pewny siebie i impertynencki przestępca zawodowy, którego nawet najcięższa kara nie mogła umitygować, był optymistą. Wierzył, że i dla niego może w jakiś sposób powstać korzystna sytuacja. Często był zaledwie parę dni na wolności, niby na urlopie. Więzienie stopniowo stawało się dla niego stałym miejscem pobytu.

Przygnębieni, nieśmiali, przeważnie smutni, małowówni, często zalęknięci — to ci, którzy potknęli się po raz pierwszy lub też z powodu przeciwności losu po raz drugi czy trzeci zostali skazani. Z twarzy ich można było odczytać nieszczęście, nędzę i rozpacz. Dość materiału dla psychoanalityka lub socjologa.

Po tym wszystkim, co widziałem i słyszałem w ciągu dnia, rad byłem, gdy mogłem wieczorem powrócić do samotności swej celi. Rozmyślałem w spokoju nad zdarzeniami dnia i wyciągałem z nich wnioski. Zagłębiałem się w książki i czasopisma lub czytałem listy otrzymane od drogich, dobrych ludzi. Czytałem o planach i zamiarach w stosunku do mnie po zwolnieniu z więzienia i uśmiechałem się, gdy chcieli mi dodać odwagi i otuchy. Nie było mi to już potrzebne; stopniowo doszedłem do tego, że w piątym roku zżyłem się z więzieniem i celą. Miałem do odsiedzenia jeszcze pięć lat bez widoków na najmniejsze choćby skrócenie kary. Wiele podań o ułaskawienie, pochodzących od wpływowych osobistości, zostało odrzuconych ze względów politycznych, nawet osobiste przedstawienie prośby o ułaskawienie przez człowieka stojącego blisko prezydenta Rzeszy von Hindenburga. Nie liczyłem więc na wyjście z więzienia przed upływem dziesięciu lat. Byłem jednak głęboko przekonany, że resztę mojej kary przetrwam w fizycznym i moralnym zdrowiu. Miałem też plany co do dalszych prac w zakresie nauki języków i dalszego kształcenia zawodowego. Myślałem o wszystkim możliwym, tylko nie o przedterminowym zwolnieniu.

A zwolnienie przyszło w ciągu jednej nocy! W *Reichstagu* znalazła się większość złożona z przedstawicieli najskrajniejszej prawicy i lewicy, które w równej mierze były zainteresowane w uzyskaniu zwolnienia swoich więźniów politycznych. Niemal bez przygotowania została uchwalona amnestia dla politycznych i zostałem zwolniony wraz z wieloma innymi więźniami.<sup>13</sup>

### PRACA NA ROLI (1929—1934)

Po sześciu latach znowu na wolności, znów przywrócony życiu! Jeszcze dziś widzę siebie stojącego na wielkich schodach Dworca

<sup>13</sup> Ustawa o amnestii z dnia 14. 7. 1928 r. (RGBl. I, s. 195).

Poczdamskiego w Berlinie, spoglądającego z zainteresowaniem na cizbę na Placu Poczdamskim. Długo musiałem tak stać, aż zagadnął mnie jakiś pan pytając, dokąd chcę się udać. Zapewne dość głupio na niego spojrziałem i niedorzecznie mu odpowiedziałem, gdyż szybko się oddalił. Dla mnie cały ten ruch był czymś nierzeczywistym; zdawało mi się, że jestem w kinie i patrzę na film. Zwolnienie z więzienia przyszło zbyt nagle i nieoczekiwanie, wszystko wydawało mi się tak nieprawdopodobne, tak obce.

Dostałem telegraficzne zaproszenie do jednego z zaprzyjaźnionych domów berlińskich. Choć dobrze znałem Berlin, a do owego mieszkania łatwo można było dotrzeć, potrzebowałem długiego czasu, aby się tam dostać. W pierwszych dniach zawsze mi ktoś towarzyszył, gdy odważałem się wyjść na ulicę, ponieważ nie zwracałem uwagi na znaki komunikacyjne ani na szalejący ruch wielkomiejski. Poruszałem się jak we śnie.

Minęło wiele dni, zanim zdołałem dojść do ładu z sobą i rzeczywistością. Chciano mi wyświadczyć wiele dobrego, wyciągano mnie na filmy, do teatrów, do wszystkich możliwych miejsc rozrywkowych i na zebrania towarzyskie. Krótko mówiąc, raczono mnie tym wszystkim, co mieszkańiec wielkiego miasta uważa za niezbędne do życia. Runęło to na mnie z łoskotem — zbyt wiele było tego dobrego. Byłem oszołomiony i tęskniłem za spokojem. Chciałem jak najprędzej wyrwać się z hałasu i pośpiechu wielkiego miasta. Wyrwać się na wieś.

Po dziesięciu dniach opuściłem Berlin, aby objąć posadę urzędnika rolnego. Wprawdzie miałem jeszcze wiele zaproszeń na wypoczynek, lecz chciałem pracować — miałem już dość wypoczynku.

Liczne i różnorodne były zamiary, którymi chciały mnie uszczęśliwić zaprzyjaźnione rodziny i koledzy. Wszyscy chcieli pomóc, stworzyć mi egzystencję i ułatwić przejście do normalnego życia. Projektowano, abym pojechał do Afryki Wschodniej, do Meksyku, Brazylii, Paragwaju, do Stanów Zjednoczonych. Wszystko w dobrej intencji usunięcia mnie z Niemiec, abym znowu nie zaplątał się w walki polityczne skrajnej prawicy.

Inni znowu, przede wszystkim moi dawni koledzy, chcieli koniecznie widzieć mnie w pierwszych szeregach organizacji bojowych NSDAP.

I jedno, i drugie odrzuciłem. Jakkolwiek od 1922 r. byłem członkiem partii przekonany o słuszności celów partii i zgadzałem się z nimi, to jednak zdecydowanie potępiałem masową propagandę, targowanie się o względy tłumu, granie na najniższych instynktach mas, przemawianie ich językiem. Poznałem już „masy” w latach 1918—1923. Chciałem wprawdzie zostać członkiem partii, lecz bez jakiegokolwiek funkcji; nie

chciałem też przystąpić do żadnej z pomocniczych organizacji partii. Miałem inne zamiary.

Również mało pociągał mnie wyjazd za granicę. Chciałem pozostać w Niemczech i pomagać tutaj w odbudowie planowanej długofalowo i z daleko sięgającym celem. Pragnąłem osiedlić się na roli.

W ciągu długich lat w osamotnieniu mej celi uświadomiłem sobie, co następuje: istniał dla mnie tylko jeden cel, dla którego warto było pracować i walczyć — zdobyte własną pracą gospodarstwo rolne ze zdrową, liczną rodziną. To miało stać się treścią i celem mego życia.

Zaraz po zwolnieniu mnie z więzienia nawiązałem kontakt ze Związkiem Artamanów. Ze związkiem tym i jego celami zapoznałem się za pośrednictwem publikacji jeszcze w czasie odsiadki kary i bardzo się nim zainteresowałem. Była to wspólnota młodych chłopców i dziewcząt wyłoniona z ruchów młodzieżowych wszystkich nacjonalistycznych kierunków partyjnych, wspólnota ludzi, którzy chcieli przede wszystkim powrócić z niezdrowego, pełnego rozkładu i powierzchownego życia miasta do zdrowego, twardego, lecz naturalnego sposobu życia na wsi. Gardzili oni alkoholem i nikotyną, jak zresztą wszystkim, co nie służy zdrowemu rozwojowi ducha i ciała. Poza tym wyznając zasadę całkowitego powrotu do ziemi, z której wyszli ich przodkowie, chcieli powrócić do źródła życia niemieckiego narodu — do zdrowego, chłopskiego osadnictwa.

To była również moja droga, mój długo poszukiwany cel. Porzuciłem posadę urzędnika rolnego i przyłączyłem się do wspólnoty ludzi podobnie myślących. Zerwałem wszelkie stosunki z dawnymi kolegami, ze znajomymi i zaprzyjaźnionymi rodzinami, ponieważ nie mogli oni ze względu na swoje tradycyjne poglądy zrozumieć mego kroku, a także dlatego, że chciałem zacząć nowe życie bez jakichkolwiek przeszkód.

Już w pierwszych dniach poznałem tam swoją przyszłą żonę, która ożywiona podobnymi ideałami, wraz ze swym bratem znalazła drogę do Artamanów.

Już przy pierwszym spotkaniu mocno odczuliśmy wzajemną niezłomną przynależność do siebie. Znaleźliśmy taką harmonię zaufania i zrozumienia, jak gdybyśmy od dzieciństwa żyli razem. Nasze poglądy na życie były zgodne we wszystkich dziedzinach. Uzupełnialiśmy się pod każdym względem. Znalazłem taką żonę, jaką sobie wymarzyłem w czasie długich lat samotności.

Przez wszystkie lata naszego współżycia aż do dnia dzisiejszego trwała ta wewnętrzna harmonia, nie zakłócana przypadkowymi wydarzeniami, wszelkimi zewnętrznymi wpływami, jednakowa w doli i niedoli.

Jedno tylko było i pozostało stałą troską mojej żony: wszystko, co poruszało mnie najgłębiej, załatwiałem sam z sobą, nawet jej nie mogłem tego ujawnić.

Pobraliśmy się, gdy tylko było to możliwe, aby wspólnie zacząć nasze twarde życie, które wybraliśmy dobrowolnie z najgłębszego naszego przekonania. Jasno widzieliśmy oboje długą, ciężką i męczącą drogę do naszego celu. Nic nie miało nas od tego odwieść.

Życie nasze w ciągu następnych pięciu lat rzeczywiście nie było lekkie, lecz nawet największe trudności nie mogły nas zniechęcić. Byliśmy szczęśliwi i zadowoleni, gdy nasz przykład i osiągnięcia pozyskiwały wciąż nowych wyznawców dla naszej idei.

Urodziło nam się już troje dzieci — na nowe jutro, na nową przyszłość. Wkrótce miano nam przydzielić ziemię.

Stało się jednak inaczej.

W czerwcu 1934 r. otrzymałem wezwanie Himmlera, abym wstąpił do czynnej służby w SS. Miało mnie to sprowadzić z drogi, po której dotychczas szedłem tak pewnie i z taką świadomością celu.

Długo, długo nie mogłem powziąć żadnej decyzji — wbrew moim normalnym zwyczajom. Pokusa, by znowu zostać żołnierzem, była jednak zbyt silna. Silniejsza niż wątpliwości mojej żony, czy ten zawód potrafi wypełnić mi życie i dać wewnętrzne zadowolenie. Jednakże zgodziła się widząc, jak bardzo pociągała mnie perspektywa zostania znowu żołnierzem.

Ponieważ dano mi nadzieję na szybki awans i związane z tym finansowe korzyści, oswoiłem się z myślą, że wprawdzie będę musiał zejść z naszej dotychczasowej drogi, lecz mimo to będę mógł trwać przy naszym, celu. Ten cel życia — gospodarstwo rolne jako ostoja rodziny, jako przybytek nasz i naszych dzieci — był dla nas czymś niewzruszalnym także i w późniejszych latach. Nigdy od tego nie odstępiliśmy. Po wojnie chciałem wystąpić z czynnej służby i stworzyć gospodarstwo rolne.

Po długich, pełnych wątpliwości rozważaniach zdecydowałem się przejść do aktywnej służby w SS.

Dziś głęboko żałuję, że opuściłem ówczesną drogę. Moje życie i życie mojej rodziny biegłoby inaczej, chociaż obecnie również nie mielibyśmy własnego domu ani gospodarstwa. Mielibyśmy jednak za sobą lata pracy dającej wewnętrzne zadowolenie. Któż jednak może przewidzieć bieg ludzkich losów wzajemnie się o siebie zazębiających? Co jest słuszne, a co błędne?



## OBÓZ KONCENTRACYJNY W DACHAU (1934—1938)

Przy powołaniu mnie przez Himmlera do aktywnej służby w SS, do oddziału wartowniczego przy obozie koncentracyjnym,<sup>14</sup> nie zastanawiałem się nad założeniami, obozów koncentracyjnych. Pojęcie takiego obozu było mi zbyt obce: nic nie mogłem sobie wyobrazić. W samotności naszego wiejskiego życia na Pomorzu niewiele słyszeliśmy o obozach koncentracyjnych. Miałem wciąż przed oczyma tylko czynną służbę żołnierską, życie wojskowe.

Przybyłem do Dachau. Stałem się znowu rekrutem, ze wszystkimi radościami i przykrościami tego okresu.<sup>15</sup> Zostałem sam instruktorem. Życie żołnierskie porwało mnie. W czasie wykładów i pouczeń słyszałem o „wrogach państwa” — więźniach za drutami, o obchodzeniu się z nimi i ich pilnowaniu, o użyciu broni i niebezpieczeństwie grożącym ze strony tych „wrogów państwa” — jak ich nazywał Eicke,<sup>16</sup> inspektor obozów koncentracyjnych.

Widywałem więźniów przy pracy, przy wychodzeniu z obozu i powrocie; słyszałem o nich od kolegów, którzy pełnili służbę w obozie już od 1933 r.

Pamiętam dokładnie pierwszą karę chłosty, którą widziałem. Stosownie do zarządzenia Eickego przy wykonaniu tej kary musiała być obecna co najmniej jedna kompania SS. Dwaj więźniowie zostali skazani na 25 kijów za kradzież papierosów w kantynie. Oddział pod bronią ustawił się w otwarty czworobok. W środku stał kozioł do wymierzania chłosty. Obaj więźniowie zostali przyprowadzeni przez *Blockführerów*. Ukazał się komendant obozu. *Schutzhaftlagerführer* i najstarszy stopniem *Kompanieführer* złożyli meldunek, a *Rapportführer* odczytał zarządzenie o wymiarze kary.

Pierwszy musiał się położyć na koźle więzień małego wzrostu, zardzewiała, aspołeczny przestępca. Dwóch żołnierzy załogi trzymało mocno głowę i ręce, a dwaj *Blockführerzy* na zmianę wymierzali karę, cios po ciosie. Więzień nie wydał głosu. Inaczej było z drugim — mocnym, barczystym przestępcą politycznym. Już po pierwszym uderzeniu

<sup>14</sup> Pierwszy taki oddział utworzył Eicke w obozie koncentracyjnym Dachau z początkiem 1934 roku. Był to Oddział Wartowniczy Górna Bawaria (*Wachtruppe Oberbayern*), który stanowił wówczas jeszcze jednostkę ogólnej SS (*Allgemeine SS*). Dopiero w lipcu 1934 r. po mianowaniu Eickego inspektorem obozów koncentracyjnych i oddziałów trupich główek (*Totenkopfverbände*) wyłączono te oddziały z szeregów ogólnej SS. Z dotychczasowej *Wachtruppe Oberbayern der Allgemeinen SS* powstała *SS-Totenkopfstandarte Oberbayern* (Dok. Norymb. NO-2329).

<sup>15</sup> Aczkolwiek, wstępując do oddziałów wartowniczych, Höss miał w *Allgemeine SS* podoficerski stopień *SS-Unterscharführera*, został on wcielony do tego oddziału jako SS-man i przeszedł rekruckie przeszkolenie w piechocie (wyjaśnienia Hössa z dnia 28. 9. 1946 r.). W związku z tym patrz relacja Hössa o rangach w SS i wykaz stopni w SS.

<sup>16</sup> Theodor Eicke — patrz charakterystyka na s. 269.

dziko wrzasnął i chciał się wyrwać. Krzyczał aż do ostatniego ciosu chociaż komendant wielokrotnie go nawoływał, aby był cicho. Stałem w pierwszym rzędzie i byłem zmuszony dokładnie przyglądać się całemu przebiegowi kary chłosty. Mówię „zmuszony”, bo gdybym, stał w tylnym szeregu, nie patrzyłbym na to. Robiło mi się zimno i gorąco, gdy zaczęły się krzyki. Całe wydarzenie już od początku przyprawiło mnie o dreszcze. Później, na początku wojny, nie byłem tak wstrząśnięty przy pierwszej egzekucji, jak wówczas przy chłoscie. Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

Aż do rewolucji 1918 r. w ciężkim więzieniu była stosowana kara chłosty, lecz później została zniesiona. Funkcjonariusz, który stale wykonywał tę karę, pełnił jeszcze służbę; nazywano go „łamaczem kości”. Nieokrzesany, „obrzydliwy osobnik, zawsze śmierzący alkoholem wszyscy więźniowie byli dla niego tylko numerami. Łatwo można go było sobie wyobrazić, jak chłoszcze więźniów. W piwnicy więziennej widziałem też kiedyś kozioł do chłosty i kije. Przechodziły mnie ciarki, gdy wyobraziłem sobie w związku z tym „łamacza kości”.

Przy następnych karach chłosty (przy których musiałem być obecny, dopóki byłem w oddziale) zawsze stawałem z tyłu. Później, gdy byłem już *Blockführerem*, uchylałem się od asystowania przy wykonywaniu tej kary, jeśli tylko było to możliwe, a w każdym razie od bicia. Łatwo mi się to udawało, ponieważ kilku *Blockführerów* chętnie się tym trudniło. Jako *Rapportführer*, jako *Schutzhaftlagerführer* musiałem być obecny przy karaniu chłostą. Nie robiłem tego chętnie. Gdy jako komendant sam stawiałem wniosek o karze chłosty, rzadko byłem przy jej wykonywaniu. Na pewno nie stawiałem wniosku tych kar lekko-myślnie.<sup>17</sup>

Dlaczego tak się wzdragałem przed wymierzaniem kary chłosty? Mimo najlepszej woli nie potrafię powiedzieć.

W tym czasie był jeszcze jeden *Blockführer*, z którym działo się zupełnie to samo co ze mną i który również stale się uchylał od wykonywania kary chłosty; był on później *Schutzhaftlagerführerem* w Brzezince i Ravensbruck — Schwarzhuber.<sup>18</sup>

<sup>17</sup> W sprawie kary chłosty - patrz Regulamin obozów koncentracyjnych. Formularz, na którym sporządzano wniosek o zatwierdzenie wymiaru tej kary, przewidywał od 5 do 25 uderzeń. Zachowały się akta w sprawie kary chłosty wymierzonej więźniowi oświęcimskiemu nr 122060 za to, że pozwolił wyrwać sobie złoty ząb, za który otrzymał chleb. Oświęcim postawił wniosek o 20 kijów, WVHA zatwierdził 10.

<sup>18</sup> *SS-Obersturmführer* Johann Schwarzhuber należał do SS od 1933 r. Pełnił kolejno służbę w obozach koncentracyjnych w Dachau, Sachsenhausen, Oświęcim-Brzezinka i Ravensbruck. W tych ostatnich był *Lagerführerem*. Gdy dnia 12. 1. 1945 r. objął tę funkcję w Ravensbruck, liczba więźniarek wynosiła około 25 tysięcy, a gdy hitlerowcy w 3 i pół miesiąca później obóz ten rozwiązali, było już tylko 12 tysięcy więźniarek. Zaledwie Schwarzhuber przybył do Ravensbruck z niedobitkami Oświęcimia, natychmiast rozpoczęły się masowe mordy. Przyznał on, że rozstrzeliwane kobiety patrzyły śmierci w oczy z taką

*Blockführerzy*. którzy kwapili się do wykonywania chłosty, to niemal bez wyjątku podstępne, nieokrzesane, gwałtowne, często ordynarne kreatury; zachowywali się w podobny sposób również w stosunku do kolegów i swoich rodzin. Dla nich więźniowie nie byli ludźmi. (Trzech z nich powiesiło się w areszcie, gdy w późniejszych latach w innych obozach zostali pociągnięci do odpowiedzialności za maltretowanie więźniów).

Także i wśród szeregowych SS-manów było wielu takich, którzy wykonywanie kary chłosty traktowali jako interesujące widowisko, jako rodzaj wesołej zabawy ludowej. Ja z pewnością do nich nie należałem.

Jeszcze za moich rekruckich czasów w Dachau przeżyłem następujący wypadek: Podoficerowie SS razem z więźniami dokonali w rzeźni malwersacji na wielką skalę. Czterech członków SS zostało skazanych przez sąd monachijski (sądów SS wówczas jeszcze nie było) na wysokie kary pozbawienia wolności. Zostali oni w pełnym umundurowaniu przeprowadzeni przed batalionem, wartowniczym i osobiście przez Eickego zdegradowani oraz w sposób hańbiący wyrzuceni z SS. Zerwał on im własnoręcznie wyłogi i dystynkcje, kazał ich przeprowadzić przed poszczególnymi kompaniami, po czym przekazał wymiarowi sprawiedliwości w celu odbycia kary.

Wypadek ten posłużył Eickemu za temat do wygłoszenia dłuższego pouczenia i ostrzeżenia. Powiedział: „Najchętniej przebrałbym tych czterech w więzienne ubiory, ukarał chłostą i posłał do ich współników za drutami. Jednakże *Reichsführer SS* nie zgodził się na to. Podobny los oczekuje każdego, kto się zadaje z więźniami za drutami. Wszystko jedno, czy w zamiarach przestępnych, czy z powodu współczucia. I jedno, i drugie jest równie godne nagany. Każdy minimalny objaw współczucia pokazuje wrogom państwa słabą stronę, z której nie omieszkają zaraz skorzystać. Jakiegokolwiek współczucie dla wrogów państwa jest niegodne członka SS. Dla ludzi miękkiego serca nie ma miejsca w szeregach SS i dobrze by zrobili, gdyby jak najszybciej wstąpili do klasztoru. W SS potrzebni są tylko ludzie twardzi, zdecydowani, słuchający ślepo każdego rozkazu. Nie darmo noszą trupa główkę i stale nabita broń! Są oni jedynymi żołnierzami, którzy również w czasie pokoju mają dniem i nocą stać w obliczu nieprzyjaciela, nieprzyjaciela za drutami”.

Już degradacja i wyrzucenie z SS było bolesnym wydarzeniem, które musiało bardzo dotknąć każdego żołnierza, a szczególnie mnie, przeżywającego to po raz pierwszy. Lecz jeszcze więcej refleksji nasunęło mi pouczenie Eickego. Nie mogłem, jednak wyrobić sobie zdania o tych

odwagą, iż „asystując przy jednej z egzekucji, był tym głęboko poruszony” (Lord Russell of Liverpool: Pod biczem swastyki, Czytelnik 1956, s. 229). Schwarzhuber został w dniu 3. 2. 1947 r. skazany na karę śmierci i w dniu 3. 5. 1947 r. stracony.

„wrogach państwa”, „wrogach za drutami” — przecież ich dotychczas nie znałem. Wkrótce miałem ich poznać dostatecznie dokładnie.

Po półrocznej służbie w oddziale przyszedł nagle rozkaz Eickego, w myśl którego wszyscy starsi wiekiem oficerowie i podoficerowie mają opuścić oddziały i objąć stanowiska w obozie. Między nimi byłem i ja. Zostałem przeniesiony jako *Blockführer* do obozu koncentracyjnego. Wcale mi się to nie podobało. Wkrótce potem, gdy przybył Eicke, zgłosiłem się do raportu. Przedstawiłem mu prośbę, aby zechciał mnie wyjątkowo przenieść z powrotem do oddziału. „Jestem z krwi i kości żołnierzem i tylko możliwość zostania znowu żołnierzem mogła mnie w ogóle skłonić do aktywnej służby w SS”. Eicke znał dokładnie koleje mego życia i dlatego właśnie uważał, że nadaję się szczególnie do tej służby, gdyż na własnej skórze doświadczyłem niegdyś, jak się obchodzono z więźniami. Jego zdaniem nikt inny nie był bardziej odpowiedni do pracy w obozie koncentracyjnym niż właśnie ja. Eicke dodał, że nie będzie robić żadnych wyjątków, jego rozkaz jest zasadniczy i nieodwołalny.

Musiałem słuchać, bo byłem przecież żołnierzem! Sam tego chciałem. W tej chwili zatekniłem za ciężką pracą na roli i za ciężką ale swobodną drogą, którą szedłem dotychczas. Lecz nie było już powrotu!

Ze szczególnym uczuciem, wstępowałem w nowy krąg mego działania, w nowy świat, z którym miałem pozostać złączony i mocno związany przez następnych dziesięć lat.

Wprawdzie sam byłem przez sześć lat więźniem i znałem dostatecznie życie więźniów, ich przyzwyczajenia, ich jasne, a jeszcze bardziej ciemne strony, wszystkie uczucia i niedole, ale obóz koncentracyjny był dla mnie jednak czymś nowym. Zasadniczą, olbrzymią różnicę między życiem w areszcie, więzieniu a życiem w obozie koncentracyjnym miałem dopiero poznać. Poznałem ją gruntownie, często tak gruntownie, że nie było to dla mnie przyjemne.

Wraz z dwoma innymi nowicjuszami Schwarzhuberem i Remmele,<sup>19</sup> późniejszym *Kommandoführerem* w hucie Zgoda,<sup>20</sup> postawiono mnie w obliczu więźniów bez dokładniejszych instrukcji *Schutzhaftlagerführera* czy *Rapportführera*. Dosyć onieśmielony stałem przy wieczornym apelu przed powierzonymi mi więźniami skazanymi na pracę przymusową, którzy przyglądali się ciekawie nowemu *Kompanieführerowi* (jak

<sup>19</sup> *SS-Hauptscharführer* Josef Remmele (ur. 3. 3. 1903 r.) był *Rapportführerem* w Dachau. Później został przeniesiony do Oświęcimia.

<sup>20</sup> przy Hucie Zgoda (*Eintrachtshutte*) w Świętochłowicach na Śląsku znajdował się jeden z licznych oświęcimskich obozów pracy. Więźniowie tego obozu pracowali dla huty. W obozie znajdowało się 2000 więźniów, a planowano go na pomieszczenie dalszych 3000. Początkowo nosił nazwę *Lager Swientochlowitz*, którą później zmieniono na *Lager Eintrachtshutte*.

nazywali się wówczas *Blockführerzy*). Jakie pytanie malowało się na ich twarzach — mogłem zrozumieć dopiero później.

Mój *Feldwebel* (tak wówczas nazywano blokowego) miał pod swoją opieką kompanię, zwaną później blokiem. On, podobnie jak pięciu jego kaprali (sztabowych), byli więźniami politycznymi, starymi, ideowymi komunistami, dawnymi żołnierzami, którzy chętnie opowiadali o swych żołnierskich czasach. Uczyli oni więźniów, przeważnie rozwiązłych i wykończonych, porządku i czystości, do czego nie potrzebowałem się zupełnie wtrącać. Również sami więźniowie starali się usilnie o to, aby nie podpaść. Od ich zachowania się i wyników pracy zależało bowiem, czy zostaną zwolnieni po pół roku, czy też zostaną zatrzymani w celach wychowawczych na dalszy kwartał lub półrocze.<sup>21</sup>

W krótkim czasie poznałem dokładnie swoją kompanię składającą się z około 270 ludzi i mogłem wyrobić sobie pogląd na to, czy dojrzeli oni do zwolnienia. Było zaledwie kilku takich, których w okresie kierowania blokiem musiałem kazać zakwalifikować do aresztu ochronnego jako niepoprawnych, aspołecznych. Kradli jak kruki, uchylali się od wszelkiej pracy i byli hultajami pod każdym względem. Większość więźniów — poprawieni — odchodziła po upływie wyznaczonego dla nich terminu. Recydywistów prawie nie było.

Więźniów, którzy nie byli przedtem karani lub w inny sposób obciążeni jako aspołeczni, przygnębiał areszt; szczególnie ludzie starsi, którzy nigdy nie mieli konfliktów z prawem, wstydzieli się. Teraz zostali naraz ukarani, ponieważ z głupoty, z bawarskim uporem wielokrotnie uciekali z pracy, zanadto smakowało im piwo albo inne powody skłoniły ich do łąsikowania, a Urząd Pracy — do wysłania ich do obozu. Wszyscy jednak przechodzili mniej lub bardziej łatwo do porządku nad złymi stronami obozu, wiedzieli bowiem, że po upływie ich czasu znowu będą wolni.

Inaczej jednak przedstawiała się sprawa reszty, dziewięciu dziesiątych obozu: jednej kompanii Żydów, emigrantów, homoseksualistów i badaczy Pisma św., jednej kompanii aspołecznych i siedmiu kompanii więźniów politycznych, przeważnie komunistów.

Jeśli chodzi o tych więźniów politycznych, to czas ich uwięzienia był zupełnie nieokreślony, zależał od nieobliczalnych czynników. Więźniowie ci wiedzieli o tym, i dlatego tak ciężko znosili tę niepewność. Już

<sup>21</sup> Jedynie w pierwszym okresie istnienia obozów koncentracyjnych więźniowie byli w nich osadzani na ustalony okres. Od 1936 r. o zwolnieniu decydowała placówka, na której rozkaz więzień został osadzony w obozie. Decyzja zapadała na podstawie opinii kierownictwa obozu. Po wybuchu wojny w 1939 r. przyjęta została zasada osadzania więźniów w obozach koncentracyjnych na czas nie określony, w zasadzie aż do czasu zakończenia wojny. Wyjątek stanowili więźniowie skierowani do obozu „na wychowanie” (*Erziehungshaftlinge*), których czas pobytu był określony, jakkolwiek mógł być dowolnie przedłużany.

choćby dlatego życie w obozie było dla nich męką. Rozmawiałem o tym z wieloma rozsądnymi, rozumnymi więźniami politycznymi. Oświadczyli oni jednomyślnie, że mogliby się pogodzić ze wszystkimi przykrościami obozu, z samowolą SS-manów lub więźniów funkcyjnych, twardą dyscypliną obozową, wieloletnią koniecznością współżycia w grupie, jednostajnością wszystkich codziennych czynności — z tym wszystkim można się uporać, ale nie z niepewnością, jak długo będą uwięzieni. To był czynnik najbardziej rozkładowy, osłabiający nawet najmocniejszą wolę. Niepewność co do czasu uwięzienia, zależnego często od samowoli podrzędnych funkcjonariuszy, była — według moich obserwacji — tym czynnikiem, który wywierał najgorszy i najsilniejszy wpływ na psychikę więźniów.

Zawodowy przestępca skazany na przykład na 15 lat więzienia wiedział, że najpóźniej po upływie tego czasu, a przypuszczalnie o wiele wcześniej, wyjdzie na wolność.

Natomiast więzień polityczny, którego często aresztowano jedynie na podstawie nie udowodnionego doniesienia osobistego wroga, kierowany był do obozu koncentracyjnego na czas nieokreślony. To mogło trwać zarówno rok, jak i dziesięć lat. Badanie co kwartał spraw więźniów, ustalone dla niemieckich więźniów, było czystą formalnością. Decydujący głos miał organ zarządzający internowanie, a ten w żadnym razie nie chciał się przyznać do popełnionych błędów. Ofiarą pozostawał więzień, którego dola i niedola zależne były od poglądu na sprawę przysyłającej go placówki. Nie mógł on wnieść ani sprzeciwu, ani skargi. Szczęśliwy zbieg okoliczności tylko w wyjątkowych wypadkach doprowadzał do „ponownego badania” kończącego się niespodziewanym zwolnieniem. Były to jednak wszystko wyjątki. Zasadniczo czas uwięzienia pozostawiony był kaprysowi losu.

Istnieją trzy kategorie osób wśród personelu nadzorczego, niezależnie od tego, czy chodzi o areszt śledczy, więzienie czy obóz koncentracyjny. Mogą one uczynić życie więźnia piekłem, ale mogą również ułatwić i znośniej ukształtować jego ciężką egzystencję.

Złośliwe, z gruntu złe, nieokrzesane, nikczemne natury widzą w więźniach tylko przedmiot, na którym mogą wyładowywać bez żadnych hamulców i sprzeciwów swe zboczone popędy, złe nastroje i kompleksy niższości. Nie znają ani współczucia, ani żadnych cieplejszych uczuć sympatii. Korzystają z każdej nadarzającej się okazji, aby dręczyć powierzonych im więźniów, zwłaszcza tych, których nie mogą znieść, ścierpieć; dręczą ich począwszy od drobnych dokuczliwości przez całą skalę obrzydliwych machinacji wynikających ze zboczonych popędów aż do najcięższego maltretowania, zależnie od skłonności tego rodzaju typów. Szczególne zadowolenie znajdują w psychicznym dręczeniu swych ofiar.

Nawet najsurowszy zakaz nie wstrzymuje ich od takich praktyk. Tylko ścisły nadzór może ich hamować w stosowaniu pewnych rodzajów dręczenia. Stale poszukują nowych metod tortur zarówno psychicznych, jak i fizycznych. Biada powierzonym im więźniom, jeśli tego rodzaju kreatury mają przełożonych pobłażających ich złym skłonnościami, albo nawet zachęcających do tych praktyk, gdy sami mają podobne usposobienie.

Druga kategoria funkcjonariuszy — przeważająca większość — to osobnicy obojętni, indyferentni, którzy pełnią służbę z tępotą, a swoje najkomiczniejsze obowiązki wypełniają dobrze lub niedbale. Więźniowie są dla nich przedmiotami, które mają nadzorować i pilnować. Nie zastanawiają się nad więźniami ani nad ich życiem. Dla własnej wygody stosują się do wydanych przepisów, trzymając się martwej litery zarządzeń. Postępowanie w duchu przepisów jest dla nich zbyt męczące. Najczęściej są to ludzie ograniczeni, którzy w zasadzie nie chcą dokucać więźniom, ale przez swoją obojętność, wygodnictwo i ograniczenie wyrządzają wiele szkody; dręczą i ranią niektórych więźniów fizycznie i psychicznie w sposób nie zamierzony. Oni właśnie przede wszystkim umożliwiają więźniom panowanie nad współwięźniami, często w najbardziej zgubny sposób.

Trzecia kategoria dozorców to ludzie dobroduszni z natury, o dobrym sercu, zdolni do współczucia i zrozumienia czyjejs niedoli. Jednakże i oni bardzo się różnią między sobą. Istnieją tacy, którzy surowo i sumiennie stosują się do przepisów i nie tolerują u więźniów żadnych uchybień, ale dobre serce i dobra wola każą im interpretować przepisy na korzyść więźniów i próbować — o ile to leży w ich mocy — ulżyć położeniu lub przynajmniej niepotrzebnie nie utrudniać położenia więźniów. Dalej idzie wiele odmian ludzi aż do naiwnie dobrodusznych, których naiwność jest wręcz zdumiewająca, którzy z dobroduszności i bezgranicznego współczucia pozwalają więźniom na wszystko, spełniają każde ich życzenie, pomagają im, jak tylko mogą, którzy nie mogą uwierzyć, że wśród więźniów znajdują się również i źli ludzie.

Surowość idąca w parze z życzliwością i zrozumieniem działa na ogół na więźnia uspokajająco, ponieważ poszukuje on ciągle ludzkiego zrozumienia, i to tym bardziej, im cięższe jest jego położenie. Dobre spojrzenie i dobre słowo, dobrotliwe skinienie głową sprawiają często cuda, zwłaszcza u natur wrażliwych. Jeśli odczuwa, że uwzględnia się jeszcze jego stan i jego sytuację, to skutek bywa wręcz nieoczekiwany. Nawet najbardziej zrozpaczeni i zrezygnowani więźniowie nabierają znów chęci do życia, gdy zobaczą lub odczują choćby najdrobniejszą oznakę ludzkiej życzliwości.

Każdy więzień próbuje korzystniej ukształtować swój los i poprawić

swe położenie. Korzysta z okazanej mu dobroci, z ludzkiego zrozumienia. Więźniowie o charakterze bezwzględny decydują się wtedy na wszystko i próbują w tym kierunku dokonać wyłomu i przełomu. Ponieważ więzień pod względem umysłowym na ogół przewyższa niższy personel strażniczy i nadzorczy, szybko znajduje słabą stronę u natury dobrodusznym, lecz ograniczonych. I to jest odwrotna strona okazywania zbyt wielkiej dobroduszości i ufności w stosunku do więźniów. Nieraz jeden tylko dowód ludzkiej wyrozumiałości ujawniony wobec więźnia o silnej woli może pociągnąć za sobą cały łańcuch służbowych uchybień kończący się poważnym, a nawet najcięższym ukaraniem. Zaczyna się to od niewinnego przemykania listów, a kończy na pomocy w ucieczce spod straży lub z obozu.

Niech kilka przykładów zilustruje, jak postępowanie w tej samej sprawie dozorców trzech wyżej opisanych kategorii wywołać może różne skutki.

W więzieniu śledczym. Przeziębiony więzień prosi dozorcę, aby bardziej odkręcił prowadzący do celi przewód centralnego ogrzewania. Złośliwy dozorca zamyka zupełnie kaloryfer i obserwuje, jak więzień wskutek zimna biega po celi i wykonuje ćwiczenia gimnastyczne. Na nocną służbę przychodzi inny dozorca, typ obojętnego funkcjonariusza. Więzień znów prosi o ogrzanie celi. Obojętny na wszystko dozorca odkręca kaloryfer i przez całą noc nie troszczy się o celę. Po godzinie cela jest tak przegrzana, że więzień musi przez całą noc trzymać otwarte okno i w rezultacie przeziębiam się jeszcze bardziej.

W więzieniu karnym. Kąpiel o różnych porach roku. Więźniów prowadzi do kąpieli złośliwy dozorca. Każę w środku zimy szeroko otworzyć okna w rozbieralni, ponieważ jest zbyt wiele pary. Poganiając wrzaskiem więźniów do pośpiechu, pędzi wszystkich pod prysznice, odkręca je całkiem, na gorąco, tak, że nikt nie może wytrzymać, a potem zmienia na zimno i wszyscy muszą stać pod prysznicami dłużej czas. Uśmiechając się szyderczo, patrzy, jak więźniowie z zimna ledwo mogą się ubrać.

Innym razem, również w zimie, prowadzi więźniów do kąpieli dozorca obojętny. Więźniowie rozbierają się, a on siada i czyta gazetę. Po dłuższym czasie decyduje się wreszcie przerwać lekturę i odkręcić wodę. Nastawia na gorąco i zaczyna znowu czytać gazetę. Nikt nie może wejść pod strumienie wrzątku. Nawoływania więźniów nie przeszkadzają dozorcę. Dopiero po przeczytaniu gazety wstaje i zakręca kurki. Nie umywszy się wszyscy więźniowie znów się ubierają. Dozorca spogląda na zegarek — jeśli chodzi o czas, obowiązek swój spełnił.

W obozie koncentracyjnym w zwirowni. Dobroduszny nadzorca troszczy się o to, aby wagony kolejki nie były przeładowane, aby pod górę pchała podwójna załoga, aby szyny mocno przylegały do ziemi,



a zwrotnice były nasmarowane. Dzień przechodzi bez krzyków, a mimo to wymagana norma pracy zostaje osiągnięta.

Złośliwy natomiast nadzorca każe wagony nadmiernie przeładowywać, musi je pchać pod górę pojedyncza obsada, a przez całą drogę pchanie wagonów odbywa się biegiem. Uważa za zbyt uczciwe, aby jeden z więźniów kontrolował i smarował szyny. Skutek jest taki, że wagony wciąż się wykolejają, kapowie<sup>22</sup> mają okazję do bicia, a znaczna część więźniów z powodu okaleczeń stóp już w południe nie może ruszyć do pracy. Przez cały czas rozlegają się dzikie wrzaski wszystkich pilnujących nadzorców. W rezultacie okazuje się wieczorem, że została wykonana zaledwie połowa normy.

Wreszcie obojętny nadzorca. Ten w ogóle nie troszczy się o drużynę roboczą? pozwala działać kapo, którzy robią, co się im podoba; wyróżniani przez nich więźniowie nic nie robią przez cały dzień, inni zaś muszą pracować wiele ponad normę. Strażnicy nic nie widzą, dowódca straży wciąż jest nieobecny.

Te trzy przykłady wybrałem z mnóstwa do nich podobnych, przeżytych osobiście. Można by nimi wypełnić całe tomy. Mają one tylko wykazać w jaskrawy sposób, jak bardzo życie więźnia zależne jest od zachowania się i charakteru poszczególnych strażników i dozorców, niezależnie od wszystkich przepisów i zarządzeń wydawanych i w dobrej wierze.

Życie więźnia czynią tak ciężkim nie dolegliwości fizyczne, lecz głównie i przede wszystkim przeżycia czysto psychiczne nie dające się zatrzeć, powstające wskutek samowoli, nikczemności i złośliwości jednostek spośród personelu strażniczego lub nadzorczego — złych lub obojętnych na wszystko. Przed bezwzględna, lecz sprawiedliwą surowością więzień umie się bronić, natomiast samowola i jawnie niesprawiedliwe postępowanie godzą w jego psychikę jak ciosy maczugi. Jest bezsilny wobec nich i musi je znosić cierpliwie.

Dozorców i więźniów należy na ogół uważać za dwa wrogie sobie światy. Więzień jest zazwyczaj stroną atakowaną: z jednej strony przez

<sup>22</sup>Wyraz *kapo* — z włoskiego *capo* (naczelnik, szef) — zapożyczony został od robotników włoskich, zatrudnionych przy budowie dróg w południowej Bawarii. W obozach koncentracyjnych wyraz *kapo* oznaczał więźnia, który pełnił funkcję nadzorca nad innymi więźniami. Wyraz ten został po raz pierwszy wprowadzony w obozie koncentracyjnym w Dachau, a wobec tego, że obóz ten stał się pierwowzorem dla wszystkich innych obozów, przyjął się w oficjalnej terminologii hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

W ostatnim opracowaniu niemieckiego żargonu przestępców podane jest następujące objaśnienie tego wyrazu: *Kapo* to więzień obozu koncentracyjnego (1933—1945), któremu obozowa komendantura SS zleciła rozkazywanie więźniom jakiejś drużyny roboczej. Jest to skrót francuskiego wyrazu *caporal* (*Gefreiter*). Żołnierze w czasie wojny 1939—1945 nazywali *kapem* każdego podoficera (*Unterführer*). *Vorarbeiter* cieślów już od dawna nazywani jest *kapo* [SA. Wolf : *Wörterbuch des Rotwelschen. Deutsche Gaunersprache* (cyt. dalej jako: *Wörterbuch des Rotwelschen*), Mannheim 1956, s. 152, hasło 2460].

samo życie więzienne, z drugiej przez zachowanie się dozorców. Gdy chce się utrzymać na powierzchni, musi bronić swej skóry. Nie mogąc atakować tą samą bronią, musi znaleźć sobie inne środki i sposoby, aby się obronić. Zależnie od usposobienia albo pozwala, by wszystkie ataki przeciwnika rozbiły się o pancerz jego gruboskórności, i kroczy mniej lub bardziej niewzruszenie swoją własną drogą, albo staje się podstępny, skryty i fałszywy i, wprowadzając w błąd przeciwnika, uzyskuje w ten sposób ulgi i ułatwienia, albo przechodzi do obozu nieprzyjaciela i zostaje kalifaktorem, kapo, blokowym itp. i w ten sposób stwarza sobie kosztem współwięźniów znośną egzystencję, albo stawia wszystko na jedną kartę i ucieka, albo wreszcie poddaje się, załamuje, podupada fizycznie coraz bardziej i popełnia w końcu samobójstwo.

To wszystko wydaje się nieprawdopodobne, a jednak jest prawdziwe.

Uważam, że na podstawie moich przeżyć, moich wieloletnich doświadczeń i obserwacji mogę te sprawy należycie osądzić.

Praca w życiu więźnia odgrywa wielką rolę: może ona służyć do tego, aby mu stworzyć znośniejsze życie, lecz może prowadzić do jego zguby.

Dla każdego zdrowego więźnia — w normalnych warunkach — praca jest potrzebą, wewnętrzną koniecznością. Jednakże nie dla notorycznych nierobów, próżniaków i innych aspołecznych darmozjadów; ci mogą doskonale wegetować bez pracy bez najmniejszych wewnętrznych cierpień.

Praca pomaga wypełnić pustkę życia w niewoli, pozwala na zmniejszenie wszystkich niedoli powszedniego dnia więziennego. Gdy więzień wykonuje pracę dobrowolnie — rozumiem przez to wewnętrzną gotowość — daje mu ona zadowolenie. Gdy znajdzie jeszcze możliwość zatrudnienia w swoim zawodzie lub pracę, która mu się podoba i odpowiada jego uzdolnieniom, wówczas zdobywa oparcie psychiczne nie dające się tak łatwo zburzyć nawet w najbardziej nie sprzyjających okolicznościach.

Praca w więzieniu i obozie koncentracyjnym jest wprawdzie obowiązkiem, przymusem, ale na ogół każdy więzień, przy właściwym zatrudnieniu go, daje dobrowolnie z siebie dość dużo. Natomiast wewnętrzne niezadowolenie z pracy może jego całe życie uczynić bardzo uciążliwym. Ilu przykrości, cierpień, a nawet nieszczęść dałoby się uniknąć, gdyby inspektorzy i kierownicy pracy uwzględniali te fakty i chodzili po warsztatach i miejscach pracy z otwartymi oczyma!

Przez całe moje życie pracowałem chętnie i ochoczo. Często w najtrudniejszych warunkach życiowych wykonywałem ciężką pracę fizycz-

ną: w szybie węglowym, w rafinerii nafty, w cegielni, ścinałem drzewa, ciosałem podkłady, kopałem torf. Nie istnieje w rolnictwie ważniejszy rodzaj pracy, którego bym osobiście nie wykonywał. Nie tylko jednak pracowałem, ale obserwowałem dokładnie ludzi wykonujących wraz ze mną te prace: ich postępowanie, przyzwyczajenia, warunki życia.

Mam prawo twierdzić, że wiem, co to znaczy pracować, i potrafię pracę należycie ocenić. Zadowolony z siebie byłem zawsze tylko wtedy, gdy się porządnie napracowałem.

Od moich podwładnych nie wymagałem nigdy więcej pracy, niż ja sam byłem zdolny wykonać.

Nawet w areszcie śledczym w Lipsku, gdzie tyle rzeczy zaprzętało moją uwagę — samo śledztwo, obfita korespondencja, dzienniki i odwiedziny — odczuwałem brak pracy. Wreszcie poprosiłem o zatrudnienie i uzyskałem zezwolenie. Kleiłem torebki. Chociaż praca była bardzo jednostajna, jednak wypełniała mi całkowicie znaczną część dnia i zmuszała do pewnej regularności. Dobrowolnie włożyłem na siebie twarde obowiązki i to było istotne.

W więzieniu wybierałem w miarę możliwości takie prace, które zmuszały także do skupienia uwagi, a więc nie czysto mechaniczne. Tego rodzaju praca chroniła mnie przez wiele godzin dnia od niepotrzebnych, rozkładowo działających rozmyślań. Wieczorem miałem uczucie zadowolenia nie tylko dlatego, że znowu minął jeden dzień, ale i z tego powodu, że wykonałem sporo pracy. Najcięższą karą byłoby odebranie mi pracy.

Właśnie w obecnym więzieniu bardzo brak mi pracy. Jakże wdzięczny jestem za zaproponowaną mi pracę pisania, która pochłania mnie całkowicie.<sup>23</sup>

Rozmawiałem o pracy z wielu towarzyszami w więzieniu, a później z wielu więźniami w obozach koncentracyjnych, szczególnie w Dachau.

<sup>23</sup> Zdaniem Broszaty takie ustosunkowanie się Hössa do danej mu możliwości pisania odbija się w treści i w stylu jego relacji. Są one produktem sumiennie wykonanej pracy więziarskiej. Chcąc je jak najsolidniej podbudować, pisze w nich z pedantyczną skrupulatnością także o tym wszystkim, co uważa za swój szczególny dorobek praktyczny, o długoletniej dokładnej znajomości psychologii więziennej i obozowej, o mentalności dozorców i więźniów. Bez wycucia, jak takie pouczające sentencje nie przystoją komendantowi Oświęcimia, Höss przeplata swoją autobiografię takimi «fachowymi» wywodami, pisanymi w stylu obrotnego funkcjonariusza więziennego, które wykazują te same cechy gadulstwa i dyletanckiej jałowości, co i biurokratyczna niemczyzna tytułu sprawozdań grup uderzeniowych (*Einsatzgruppen*) i SD, które nadchodziły prawie codziennie do RSHA. Interesujące jest w tym chyba to, że w zasadzie wszystkie one obracają się wokół jednego zagadnienia — mianowicie techniczno-psychologicznego problemu możliwie najbardziej efektywnego obchodzenia się z więźniami. Stanowią niejako wskazówki na temat «problem kierowania więźniami w więzieniach i obozach» i mogłyby być równie dobrze skierowane do Inspektoratu Obozów Koncentracyjnych" (M. Broszat: Wstęp do edycji „Kommandant in Auschwitz", s. 21).

Wszyscy byli przekonani, że życie za kratami i za drutami byłoby na dłuższą metę nie do zniesienia bez pracy, byłoby najcięższą karą.

Praca w niewoli jest nie tylko skutecznym środkiem utrzymania dyscypliny (w dobrym znaczeniu tego słowa) ze względu na to, że pomaga więźniowi samemu utrzymać się w karbach, aby mógł się lepiej oprzeć demoralizującemu wpływowi więzienia; jest ona także środkiem wychowawczym dla więźniów o słabej woli, dla takich, których trzeba przyzwyczajać do wytrwałości, oraz dla tych, których dzięki błogosławionym skutkom pracy można jeszcze wyrwać z przestępczego środowiska.

Wszystko, co poprzednio zostało powiedziane, ma znaczenie tylko w odniesieniu do normalnych warunków. W ten sposób należy rozumieć dewizę: *praca czyni wolnym*.<sup>24</sup> Eicke zmierzał do tego, aby tych więźniów, którzy wyróżnili się wytrwałą i pilną pracą zwalniano z obozów, nawet gdyby *Gestapo* i policja kryminalna były przeciwnego zdania. Kilka takich przypadków istotnie miało miejsce. Wojna zniweczyła jednak te dobre zamiary.

Napisałem tak obszernie o pracy, ponieważ sam nauczyłem się cenić jej wartość psychiczną i chcę wykazać, jak silnie oddziałuje ona na psychikę więźnia oraz jak ja to oddziaływanie ujmowałem.<sup>25</sup>

O tym, co uczyniono z pracy więźniów, zdam sprawę później.

Jako *Blockführer* w Dachau zetknąłem się bezpośrednio z poszczególnymi więźniami nie tylko z mojego bloku. Do obowiązków *Blockführerów* należało wówczas cenzurowanie odchodzącej poczty więźniów. Kto przez dłuższy czas czyta listy więźnia, ten, posiadając dostateczną znajomość ludzi, uzyskuje dokładny wizerunek jego psychiki. Każdy więzień stara się w tych listach do żony lub matki przedstawić mniej lub bardziej otwarcie, zależnie od usposobienia, swoje potrzeby i troski. Na dłuższą metę żaden więzień nie potrafi ukryć swych myśli. Na dłuż-

<sup>24</sup> W języku niemieckim: *Arbeit macht frei*. Höss kazał umieścić taki napis nad bramą wejściową do obozu oświęcimskiego. Zachowany do dzisiaj, świadczy on o cynizmie władców SS w Oświęcimiu. „Wynurzenia Hössa wskazują, że po prostu brakowało mu organu dla zrozumienia cynizmu takiej «sentencji» nad bramą obozu oświęcimskiego i że przy swoim ograniczonym sposobie myślenia i odczuwania brał on ją w pewnym stopniu poważnie” (M. Broszat w edycji: *Kommandant in Auschwitz*, s. 63, przyp. 1). To samo odnosi się do rozmieszczanych po blokach i wymalowanych na dachu kuchni obozowej w Oświęcimiu „kamieni miłowych na drodze do wolności” o następującej treści: „Istnieje tylko jedna droga do wolności! Kamieniami węgielnymi na niej są: czystość, punktualność, posłuszeństwo, prawdomówność, pilność, ofiarność, miłość ojczyzny”.

<sup>25</sup> Höss opiera to twierdzenie na swoim osobistym doświadczeniu z pobytu w więzieniu przedhitlerowskim. Badania nad szerzącą się w hitlerowskich obozach koncentracyjnych chorobą głodową i nad *zmusulmanieniem* wykazały, że u ludzi w posuniętym stanie zagłodzenia następuje zarówno destrukcja i zanik wszystkich organów, jak i osłabienie, zwłaszcza psychicznych procesów życiowych. *Musulman* znajduje się w stadium zamierania także i pod względem psychicznym. Normalne zainteresowanie otoczeniem zanika w coraz to większym stopniu, aż w końcu wygasa także zainteresowanie własnym losem.

szą metę nie potrafi się w więzieniu maskować i oszukać wprawnego spojrzenia doświadczonego obserwatora. Podobnie i w listach.

Eicke wpoił w swoich SS-manów pojęcie „niebezpiecznych wrogów państwa” tak gruntownie i przekonująco, w ciągu lat tyle wygłosił na ten temat kazań, że każdy z SS-manów, który nie miał należycie wyrobionego poglądu, był całkowicie przesiąknięty nauką Eickego. I ja temu wierzyłem. Szukałem więc teraz „niebezpiecznych wrogów państwa” i starałem się dociec, co ich czyniło tak niebezpiecznymi. I znalazłem niewielką liczbę zawziętych komunistów i socjaldemokratów, którzy — gdyby tylko udało się im wyjść na wolność — na pewno wywołałoby niepokój wśród ludności, którzy podjęliby się wszystkiego, by prowadzić skutecznie robotę nielegalną. Przyznawali to zresztą otwarcie. A sama masa — byli to także działacze komunistyczni i socjaldemokratyczni, którzy również walczyli o swoją ideę, prowadzili robotę i osobiście przynieśli idei narodowej i NSDAP wiele uszczerbku, wyrządzając mniej lub więcej szkody. Lecz przy bliższym przyjrzeniu się i w codziennym współżyciu okazywali się niegroźnymi, spokojnymi ludźmi, którzy poznawszy, że ich świat legł w gruzach — pragnęli już tylko wziąć się spokojnie do pracy zapewniającej im byt oraz wrócić do rodziny.

Jestem przekonany, że w latach 1935—1936 śmiało można było zwolnić z Dachau trzy czwarte wszystkich więźniów politycznych, nie wyrządzając tym Trzeciej Rzeszy najmniejszej szkody. Jedna czwarta więźniów była jednak fanatycznie przekonana, że jej świat znowu odżyje. W stosunku do tej części trzeba było nadal stosować środek zabezpieczający. Na nią to składali się owi „niebezpieczni wrogowie państwa”. Łatwo było ich rozpoznać, nawet wówczas, kiedy nie przyznawali się otwarcie do swoich poglądów i usiłowali się maskować.

O wiele niebezpieczniejsi dla państwa i narodu jako całości byli zawodowi przestępcy i osobnicy aspołeczni karani już uprzednio 20—30 razy.

Eicke przez nieustanne pouczanie i odpowiednie rozkazy o przestępczości więźniów i o tym, jak niebezpieczni są oni, dążył do nastawienia SS-manów przeciwko więźniom, wywołania wrogiego do nich stosunku, tłumienia z góry jakichkolwiek odruchów współczucia. Stale oddziałując w tym kierunku, wyhodował właśnie w naturach prymitywnych antypatię i nienawiść do więźniów, jakiej ludzie postronni nie są w stanie sobie wyobrazić. Takie nastawienie rozszerzyło się na wszystkie obozy koncentracyjne, na wszystkich pełniących tam służbę SS-manów i oficerów; była to spuścizna Eickego działająca wiele lat po jego odejściu ze stanowiska inspektora. Tą pełną nienawiści postawą tłuma-

czy się maltretowanie więźniów i wszystkie ich udręki w obozach koncentracyjnych.

Tę zasadniczą postawę wobec więźniów zaostriżył jeszcze wpływ wywierany przez starych komendantów, jak Loritz<sup>26</sup> i Koch,<sup>27</sup> dla których więźniowie nie byli ludźmi, lecz „Ruskami” albo „Kanakami”.

Więźniowie oczywiście zdawali sobie sprawę z tej nienawiści sztucznie hodowanej. Fanatyków i ludzi zawziętych umacniało to w ich postawie, ludzi dobrej woli raniło i odpychało.

Każde „pouczenie” Eickego dawało się zaraz odczuć w obozie. Nastrój więźniów natychmiast się pogarszał; z lękiem obserwowano każde poruszenie SS-manów. Roilo się od pogłosek i plotek obozowych o zamierzonych zarządzeniach; powstawał powszechny niepokój. Bynajmniej nie dlatego, by wprowadzano od razu gorsze traktowanie ogółu więźniów. Nie, tylko więźniowie odczuwali bardziej wrogą postawę przeważającej części personelu wartowniczego i nadzorczego.

Muszę stale podkreślać, że więźniów w ogóle, a więźniów obozów koncentracyjnych szczególnie przygnębiały, dręczyły i doprowadzały do rozpaczki nie tyle fizyczne dolegliwości, ile przeżycia psychiczne. Dla większości więźniów nie jest obojętny fakt, czy dozorca odnosi się do nich wrogo, obojętnie czy życzliwie. Nawet wówczas, gdy dozorca nie przysparza więźniowi cierpienia fizycznych, sama jego wroga i nienawistna postawa, samo jego ponure spojrzenie zatrważa, przygnębia i dręczy więźnia. Jakże często więźniowie w Dachau zadawali mi pytania: „Dlaczego SS tak nas nienawidzi, przecież i my jesteśmy ludźmi!” Już to powiedzenie wystarcza, aby wyjaśnić, jaki stosunek panował ogólnie między SS a więźniami.

Nie wierzę, aby Eicke osobiście tak nienawidził „niebezpiecznych

<sup>26</sup> Hans Loritz (ur. 21. 12. 1895 r.), członek NSDAP (nr 298668) i SS (nr 4165), był do kwietnia 1930 r. w stopniu *SS-Standartenführera* komendantem obozu koncentracyjnego w Esterwegen, następnie, po awansowaniu na *SS-Oberführera*, został na miejsce *SS-Oberführera* Keinricha Deubela (ur. 19. 2. 1890 r., nr SS 186) komendantem obozu w Dachau, a od początku 1940 r. do 31. 8. 1942 r. był komendantem obozu w Sachsenhausen.

<sup>27</sup> Karl Otto Koch (ur. 2. 8. 1897 r.), członek NSDAP (nr 475586) i SS (nr 14830), był w 1935 r. dowódcą załogi wartowniczej obozu w Esterwegen, został w tymże roku komendantem obozu koncentracyjnego Columbia-Haus w Berlinie, a z dniem 3.4.1936 r., jako następcą Loritza, komendantem obozu w Esterwegen. W dniu 1. 8. 1937 r. objął Koch jako *SS-Standartenführer* obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie, który dopiero pod jego rządami został w zasadzie wybudowany i którego komendantem pozostał aż do grudnia 1941 r. Z powodu nadużyć natury finansowej oraz despotycznego i barbarzyńskiego — nawet według kryteriów prawnych SS — terroru w Buchenwaldzie musiał wreszcie zostać odwołany. Aresztowany z końcem 1941 r., został za wstawiennictwem Himmlera zwolniony i mianowany komendantem obozu koncentracyjnego na Majdanku pod Lublinem, skąd w sierpniu 1942 r. przeszedł do straży pocztowej. Aresztowany ponownie w grudniu 1943 r., został skazany przez sąd SS na karę śmierci i z początkiem 1945 r. stracony (Dok. Norymb. NO-2366).

wrogów państwa" i tak nimi pogardzał, jak to nieustannie przedstawiał oddziałom wartowniczym. Sądzę raczej, że jego ciągle podjudzanie przeciwko więźniom miało tylko na celu zmuszanie SS-manów do nąjbacniejszej uwagi, do ciągłej czujności i gotowości. Tle złego to wyrazi i jak daleko sięgać będą skutki świadomego „podjudzania” — nad tym, się już nie zastanawiał.

Tak wychowany i wyszkolony w duchu Eickego, miałem pełnić służbę w obozie koncentracyjnym: w charakterze *Blockführera*, *Rapportführera*, zarządcy magazynu, i tutaj muszę przyznać, że pełniłem zawsze służbę sumiennie i starannie, ku zadowoleniu wszystkich; nie pobłażałem więźniom, byłem surowy, a często twardy, ale sam byłem zbyt długo więźniem, aby nie widzieć ich niedoli. Nie bez wewnętrznego współczucia odnosiłem się do wszystkich „wydarzeń” w obozie.

Zewnętrznie zimny, wręcz kamienny, lecz wewnętrznie najgłębiej wzburzony, uczestniczyłem w wizjach lokalnych z okazji samobójstw, zastrzeżeń przy próbie ucieczki (dobrze potrafiłem przy tym rozpoznać, które z nich było sfingowane, a które rzeczywiste), wypadków przy pracy, „pójścia na druty”, przy sądowych oględzinach zwłok w pokoju sekcyjnym; uczestniczyłem przy karach chłosty i wykonaniu innych kar, które Loritz wyznaczał i najczęściej osobiście nadzorował, przy „jego” robotach karnych, przy „jego” wykonywaniu kary. Z powodu mojej kamiennej maski Loritz był głęboko przekonany, że nie potrzebuje mnie „hartować”, jak to czynił z upodobaniem w stosunku do tych SS-manów, którzy wydawali mu się zbyt łagodni.

I tu właśnie zaczyna się moja wina. Uświadomiłem sobie wyraźnie, że nie nadawałem się do tej służby, gdyż nie zgadzałem się wewnętrznie z takim życiem i postępowaniem w obozie koncentracyjnym, jakiego wymagał Eicke. Byłem wewnętrznie zbyt mocno związany z więźniami, ponieważ zbyt długo sam żyłem ich życiem, sam przeżywałem ich niedolę.

Wówczas powinienem był udać się do Eickego lub do *Reichsführera SS* i powiedzieć im, że nie nadaję się do służby w obozie koncentracyjnym, gdyż mam zbyt wiele współczucia dla więźniów. Nie zdobyłem się na tę odwagę! Nie chciałem bowiem kompromitować się, nie chciałem przyznać się do mojej miękkości; byłem zbyt uparty, aby się przyznać, że poszedłem błędną drogą, gdy odstąpiłem od zamiaru osiedlenia się na roli.

Do aktywnej służby w SS poszedłem dobrowolnie, czarny mundur stał się dla mnie zbyt drogi, abym mógł chcieć go zrzucić w taki sposób. Przyznanie się, że jestem zbyt miękki do służby w SS, pociągnęłoby

za sobą niewątpliwie usunięcie z szeregów, a co najmniej zwykłą dymisję. A tego nie zniósłbym.

Długi czas walczyło we mnie moje wewnętrzne przekonanie z poczuciem obowiązku wierności wobec przysięgi SS i uroczystego ślubowania *führerowi*.<sup>28</sup> Czy miałem zostać dezertorem?

Nawet moja żona nic nie wie o tej mojej rozterce, o tym przekonaniu. Do tej pory stanowiło to moją tajemnicę.

Jako stary narodowy socjalista byłem głęboko przekonany o konieczności istnienia obozów koncentracyjnych. Prawdziwi wrogowie państwa musieli zostać internowani; aspołeczni i zawodowi przestępcy, których na podstawie obowiązujących wówczas praw nie można było ukarać, powinni byli zostać pozbawieni wolności, aby zabezpieczyć naród przed ich zgubnym działaniem. Byłem również głęboko przekonany, że zadanie to przeprowadzić może tylko SS jako siła ochronna nowego państwa.

Nie zgadzałem się jednak z poglądami Eickego na mieszkańców obozu, z rozbudzaniem przez niego w personelu strażniczym najniższych uczuć nienawiści, z jego polityką personalną polegającą na tym, że przydzielał do służby ludzi bez kwalifikacji, że pozostawiał na stanowiskach ludzi nieodpowiednich, często wręcz nie do zniesienia. Nie zgadzałem się z samowolą, od której zależał czas trwania uwięzienia.

Jednakże na skutek pozostania w obozie koncentracyjnym przyswoiłem sobie obowiązujące tam poglądy, rozkazy i zarządzenia. Pogodziłem się z moim losem, który dobrowolnie sobie wybrałem, wierząc skrycie, że później dostanę przecież inny przydział służbowy. Na razie jednak nie można było o tym myśleć, gdyż według opinii Eickego nadszedłem do pracy wśród więźniów.

Przyzwyczailem się wprawdzie do wszystkiego, czego w obozie koncentracyjnym nie można było zmienić, nigdy jednak nie stępiełem na ludzką niedolę. Widziałem i odczuwałem ją zawsze. Najczęściej musiałem jednak przechodzić nad nią do porządku, ponieważ nie wolno mi było być miękkim. Chciałem, by mnie okrzyczano jako twardego, ponieważ nie chciałem uchodzić za miękkiego.

<sup>28</sup> Tekst przysięgi składanej przez członków formacji wojskowej SS brzmiał: „Składam przed Bogiem świętą przysięgę, że będę bezwzględnie posłuszny *führerowi* Rzeszy i narodu niemieckiego Adolfowi Hitlerowi - naczelnemu dowódcy *Wehrmachtu* i że jako dzielny żołnierz będę gotów w każdej chwili w imię tej przysięgi oddać życie”. Tekst ślubowania miał następujące brzmienie: „Przysięgam ci, Adolfie Hitlerze, jako *führerowi* i kanclerzowi Rzeszy, że będę ci wierny oraz mężny, i ślubuję tobie oraz wyznaczonym przez ciebie przełożonym posłuszeństwo aż do poświęcenia życia. Tak mi dopomóż Bóg!” Członkowie SS składający przysięgę czy ślubowanie podpisywali jednocześnie protokoły zawierające ich teksty.



## OBÓZ KONCENTRACYJNY W SACHSENHAUSEN (1938—1940)

Przeszedłem do Sachsenhausen jako adiutant.<sup>29</sup> Tam zaznajomiłem się z Inspektorem Obozów Koncentracyjnych, jego pracą, jego zwyczajami.<sup>30</sup> Poznałem bliżej Eickego i jego wpływ na obóz i załogę. Zetknąłem się z *Gestapa*.<sup>31</sup> Z korespondencji poznałem związki, które łączyły wyższe placówki SS. Krótko mówiąc, uzyskałem szerszy horyzont.

Przez kolegę ze sztabu łączności Hessa<sup>32</sup> słyszałem o wielu sprawach z otoczenia *führera*. Pewien długoletni mój towarzysz zajmował kierownicze stanowisko w Urzędzie do Spraw Młodzieży,<sup>33</sup> inny w sztabie Rosenberga<sup>34</sup> jako referent prasowy, jeszcze inny w Izbie Lekarskiej. Z tymi dawnymi kolegami z czasów korpusu ochotniczego<sup>35</sup> spotykałem się teraz często w Berlinie i lepiej niż dotychczas poznałem i zostałem wtajemniczony w idee partii i jej zamiary.

W owych latach dawał się zauważyć w Niemczech ogromny postęp: przemysł i handel znajdowały się w rozkwicie, jakiego nigdy przedtem nie było, sukcesy Adolfa Hitlera w polityce zagranicznej były dosta-

<sup>29</sup> Zadania adiutanta opisał Höss w Regulaminie obozów koncentracyjnych. Najogólniej można je określić jako zadania kierownika biura komendanta obozu (*Seschäftsführer des Kommandanten*).

<sup>30</sup> Siedzibą Inspektoratu był obóz koncentracyjny w Oranienburgu, założony już w 1933 r. przez berlińską SA. Oddalony o kilka kilometrów znacznie większy obóz koncentracyjny w Sachsenhausen został utworzony przez SS w latach 1935-1936. Po jego założeniu obozy w Oranienburgu, Esterwegen i Columbia-Haus utraciły samodzielność organizacyjną. Część więźniów z tych obozów przeniesiono do obozu w Sachsenhausen, z resztą więźniów podlegały cne temu obozowi jako obozy poboczne (*Aussenkommandos*). Ze względu na bliskie sąsiedztwo obóz w Sachsenhausen podlegał w szczególnej mierze bezpośredniej kontroli i nadzorowi Eickego.

<sup>31</sup> Patrz Wykaz niemieckich terminów i skrótów — Gestapo i RSHA.

<sup>32</sup> Rudolf Hess (ur. 25.11. 1900 r.), członek NSDAP od 1920 r., a od 1933 r. zastępca Hitlera jako *führera* tej partii. W maju 1941 r. zbiegł samolotem do Anglii, gdzie był internowany do końca wojny. Wyrokiem Międzynarodowego Trybunału Wojskowego (MTW) w Norymberdze z dnia 1.10. 1946 r. został skazany na karę dożywotniego więzienia.

Informatorem Hössa mógł być ówczesny *SA-Standartenführer* Mackensen, który również wstąpił do partii w 1922 r. i w 1939 r. był *Stabsgeschäftsführerem* w placówce „zastępcy *führera*” w Monachium.

<sup>33</sup> *Reichsjugendführung* — naczelną placówką organizacyjną młodzieży hitlerowskiej z Baldurem von Schirachem na czele. Schirach skazany został w Norymberdze przez MTW na karę 20 lat więzienia.

<sup>34</sup> Alfred Rosenberg, autor osławionej pracy „Mit XX wieku”, był teoretykiem ideologii hitleryzmu. W 1934 r. został mianowany zastępcą Hitlera do spraw wychowania członków NSDAP w światopoglądzie narodowosocjalistycznym. W czasie wojny został powołany na stanowisko ministra Rzeszy dla okupowanych terenów wschodnich. Wyrokiem MTW został skazany na karę śmierci i stracony za udział w spisku i za zbrodnie przeciwko pokojowi.

<sup>35</sup> Patrz Wstęp i uwagi G. Reitlingera, który pisze, że brak jest wyraźnej granicy, gdzie kończą się korpusy ochotnicze, a zaczynają hitlerowskie SA i SS. Hitlerowcy nie wstąpili na miejsce członków korpusów, lecz ci zostali wciągnięci przez partię hitlerowską i złączyli się z nią. Partia przejęła od korpusów ochotniczych swastykę, sposób pozdrawiania się, brunatne koszule i skomplikowane stopnie w SA i w SS. Rudolf Höss był produktem korpusów ochotniczych, a prawie każdy znaczniejszy oficer SS z pewnych roczników był członkiem tych Korpusów (G. Reitlinger: *Die SS*, s. 12, 15, 16, 278).

tecznie oczywiste, aby zamknąć usta każdemu niedowiarkowi czy przeciwnikowi. Partia opanowała państwo. Sukcesy były niezaprzeczalne. Droga i cel NSDAP były słuszne. Wierzyłem w to mocno i bez najmniejszej wątpliwości. Moja wewnętrzna udreka — czy mam nadal pozostać w obozie koncentracyjnym, mimo że się do tego nie nadaję — ustąpiła na plan dalszy, ponieważ nie stykałem się już tak bezpośrednio z więźniami jak w Dachau. Poza tym w Sachsenhausen nie było takiej atmosfery nienawiści, jaka panowała w Dachau, mimo iż na miejscu była placówka Eickego. Inna jednak była załoga: wielu młodych rekrutów, wielu młodych oficerów ze szkół junkierskich. Starzy „dachauowcy” byli nieliczni.

Komendant był inny.<sup>36</sup> Wprawdzie bardzo surowy i twardy, ale przecież obdarzony dużym poczuciem sprawiedliwości i fanatycznym poczuciem obowiązku. Jako stary oficer SS i narodowy socjalista stał się dla mnie wzorem. Widziałem w nim nieustannie własne odbicie w powiększonym formacie. Także i on miał momenty, kiedy występowała na jaw jego dobroduszość, jego miękkie serce, a mimo to we wszystkich sprawach służbowych był twardy i nieubłagany surowy.

W ten sposób unaoczniał mi on stale, jak wymagana w SS twarda konieczność powinna zmuszać do milczenia wszystkie odruchy łagodności.

\*

Nadeszła wojna, a wraz z nią wielka zmiana w życiu obozów koncentracyjnych. Lecz któż mógł wówczas przewidzieć, jakie straszliwe zadania zostaną powierzone w ciągu wojny obozom koncentracyjnym?

W pierwszym dniu wojny Eicke wygłosił przemówienie do dowódców formacji zapasowych, które zluźowały jednostki czynnej SS na terenie obozów. Podkreślił w nim, że teraz twarde prawa wojny stawiają swe żądania: każdy SS-man bez względu na dotychczasowe życie musi całkowicie oddać się sprawie. Każdy rozkaz musi być uważany za święty i nawet najcięższy i najtrudniejszy ma być wykonany bez wahania. *Reichsführer SS* wymaga od każdego oficera SS wzorowego poczucia obowiązku i poświęcenia się dla narodu i ojczyzny aż do zupełnego wyrzeczenia się siebie. Głównym zadaniem SS w tej wojnie jest ochrona państwa Adolfa Hitlera, przede wszystkim wewnątrz kraju, przed każdym niebezpieczeństwem. Rewolucja, jak w 1918 r., strajk robotników fabryk amunicji, jak w 1917 r.,<sup>37</sup> są wykluczone. Każdy po-

<sup>36</sup> Komendantem obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen był od początku 1938 r. *SS-Standartenführer* Hermann Baranowski (ur. 11. 6. 1884 r., nr NSDAP 34321, nr SS 24009), który poprzednio (od 1936 r.) pełnił pod kierownictwem Loritza funkcje *Schutzhaftlagerführera* w Dachau. Baranowski zmarł w 1939 r. Jego następcami w Sachsenhausen byli: *SS-Standarteuführer* Walter Eisfeld, członek NSDAP (nr 4802) i SS (nr 1996), a następnie Loritz.

<sup>37</sup> Chodzi prawdopodobnie o strajk w styczniu 1918 r.

jawiający się przeciwnik państwa, każdy sabotażysta wojenny powinien być zniszczony. *führer* żąda od SS, aby broniła ojczyzny przed wszelkimi wrogimi knowaniami.

Dlatego on, Eicke, żąda, aby dowódcy wychowywali żołnierzy z formacji zapasowych, pełniących teraz służbę w obozach, w duchu nieubłaganej surowości w stosunku do więźniów. Będą musieli wykonywać najcięższą służbę i twarde rozkazy. Ale po to są teraz tutaj. SS ma pokazać, że słuszne było surowe wychowanie, które otrzymała w czasie pokoju. Tylko SS może uchronić państwo narodowosocjalistyczne od wszelkich niebezpieczeństw wewnętrznych. Wszystkim innym organizacjom brakuje niezbędnej do tego surowości.

Tego samego wieczoru wykonano w Sachsenhausen pierwszą egzekucję wojenną. Pewien komunista odmówił udziału w pracach przy obronie przeciwlotniczej w zakładach Junkersa w Dessau. Wskutek doniesienia straży fabrycznej został aresztowany przez miejscowe Stapo, przewieziony do *Gestapo* w Berlinie i poddany przesłuchaniu. Raport przedstawiono *Reichsführerowi* SS, który zarządził natychmiastowe rozstrzelanie. W myśl tajnego rozkazu mobilizacyjnego wszystkie egzekucje zarządzane przez *Reichsführera*. SS lub przez *Gestapa* miały być wykonywane w najbliższym obozie koncentracyjnym.

O godzinie 22 zatelefonował Müller z *Gestapa*, że kurier z rozkazem jest w drodze. Rozkaz ma być natychmiast wykonany. Wkrótce potem nadjechało auto osobowe z dwoma urzędnikami policji i jednym cywilem w kajdanach. Komendant otworzył awizowane pismo; znajdowały się w nim tylko następujące słowa: „N.N. ma być rozstrzelany na rozkaz *Reichsführera* SS. Należy mu to oznajmić w areszcie, a w godzinę potem rozkaz wykonać”.

Komendant zakomunikował skazanemu otrzymany rozkaz. Skazany był całkowicie opanowany, jakkolwiek nie liczył się z rozstrzelaniem, jak to później powiedział. Mógł napisać do rodziny i otrzymał papiery, o które prosił.

Eicke został zawiadomiony przez komendanta i przyszedł w oznaczonym terminie. Jako adiutant byłem szefem sztabu komendy i w tym charakterze — stosownie do tajnego rozkazu mobilizacyjnego—miałem przeprowadzić egzekucję.

Gdy raniem po ogłoszeniu o wybuchu wojny komendant otworzył rozkazy mobilizacyjne, obaj nie myśleliśmy, że przepis o egzekucjach znajdzie zastosowanie już tego samego dnia.

Wyszukałem szybko trzech starszych, spokojnych podoficerów sztabu, powiedziałem im, co ma nastąpić, pouczyłem o zachowaniu się i przeprowadzeniu egzekucji. Na dziedzińcu szybko wkopano pal.

Zaraz też nadjechały auta. Komendant polecił skazanemu, aby ustawił się przy palu. Podprowadziłem go. Ustawił się spokojnie. Cofnąłem się i dałem rozkaz ognia, skazany upadł, a ja oddałem strzał dobijający. Lekarz stwierdził trzy rany przestrzałowe serca. Oprócz Eickego było obecnych przy egzekucji jeszcze kilku oficerów formacji zapasowych.<sup>39</sup>

Po rannym przemówieniu Eickego nikt z nas nie myślał, że zapowiedź stanie się tak szybko surową rzeczywistością. Nawet Eicke, jak sam powiedział po egzekucji.

Byłem tak bardzo zajęty przygotowaniem do egzekucji, że dopiero po niej opamiętałem się naprawdę. Wszyscy oficerowie obecni przy egzekucji siedzieli potem jeszcze chwilę w kasynie. Rzecz charakterystyczna, że nie nawiązała się między nimi żadna prawdziwa rozmowa; każdy zajęty był własnymi myślami. Każdy przypominał sobie instrukcje Eickego i każdemu stawała przed oczyma z całą wyrazistością srogość wojennych wydarzeń. Wszyscy obecni — z wyjątkiem mnie — byli to starsi panowie, którzy brali udział jako oficerowie w wojnie światowej, byli od dawna oficerami SS i jeszcze w czasie bójek wiecznych w bojowym okresie NSDAP dowiedli swej odwagi. Wszyscy jednak pozostawali pod silnym wrażeniem egzekucji i ja nie mniej od nich.

W ciągu następnych dni oczekiwało nas dosyć podobnych przeżyć. Prawie dzień w dzień musiałem występować ze swym oddziałem egzekucyjnym.

Chodziło głównie o jednostki uchylające się od pełnienia służby wojskowej oraz o sabotażystów. Powodów egzekucji można się było dowiedzieć tylko od urzędników policji towarzyszących skazanym, ponieważ w rozkazie egzekucyjnym nie były one podawane.

Jeden wypadek szczególnie mnie poruszył. Pewien oficer SS, urzędnik policji, z którym miałem często do czynienia, przyprowadzał bowiem do obozu szczególnie ważnych więźniów lub oddawał komendantowi Ważne, tajne pisma, został pewnej nocy nagle dostarczony do obozu w celu natychmiastowego rozstrzelania. Jeszcze poprzedniego dnia siedzieliśmy razem w kasynie i rozmawialiśmy także o egzekucjach. Teraz przyszła kolej na niego samego, a ja musiałem wykonać rozkaz! Nawet dla mojego komendanta było tego za wiele. Po egzekucji obaj długo chodziliśmy po terenie, aby się uspokoić.

<sup>39</sup> Według Broszata chodzi najprawdopodobniej o egzekucję Johanna Heinena z Dessau, wymienionego na pierwszym miejscu na liście Ministerstwa Sprawiedliwości stanowiącej Dokument Norymberski NO-190. Jako przyczynę egzekucji podano w tej liście, że Heinen otrzymał zlecenie wzięcia udziału w pracach ziemnych przy budowie urządzeń lotniczych i zleceniu temu odmówił twierdząc, że jest bezpaństwowcem. W liście Ministerstwa podany jest 7. 9. 1939 r. jako dzień egzekucji (Kommandant in Auschwitz, s. 69, przyp. 2). Patrz również M. Broszat: *Zur Perversion der Strafjustiz im III Reich* (cyt dalej jako: *Zur Perversion der Strafjustiz*), „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte” 1958, nr 4.

Dowiedzieliśmy się od urzędnika towarzyszącego skazanemu, że ten ostatni otrzymał polecenie aresztowania byłego funkcjonariusza komunistycznego i dostarczenia go do obozu. Oficer SS od dłuższego czasu znał dobrze w wyniku inwigilacji owego osobnika, który zachowywał się zawsze bardzo spokojnie. Z dobroduszości pozwolił mu udać się do mieszkania, aby mógł się przebrać i pożegnać z żoną. Podczas gdy oficer i jego towarzysz rozmawiali w sąsiednim pokoju z żoną aresztowanego, ten uciekł przez drugi pokój. Gdy stwierdzono ucieczkę, było już za późno.

Oficer SS został natychmiast aresztowany w *Gestapa* w czasie składania meldunku o ucieczce, a *Reichsführer SS* zarządził natychmiastową rozprawę sądu wojennego. W godzinę później zapadł przeciwko oficerowi wyrok śmierci. Jego towarzysz został skazany na długoletnią karę pozbawienia wolności. *Reichsführer SS* odrzucił nawet wstawienictwo Heydricha<sup>40</sup> i Müllera o ułaskawienie. Pierwsze poważne przewinienie służbowe w czasie wojny ze strony oficera SS miało być ukarane w sposób odstrasząco surowy. Skazany był przyzwoitym, człowiekiem, lat około trzydziestu, żonatym, ojcem trojga dzieci; dotychczas pełnił służbę sumiennie i wiernie, a teraz padł ofiarą swej ufności i dobroci serca. Poszedł na śmierć opanowany i spokojny.

Nie mogę jednak pojąć do dnia dzisiejszego, jak ja mogłem spokojnie dać rozkaz ognia. Trzej żołnierze, którzy strzelali, nie wiedzieli, kogo mają zastrzelić; dobrze, że nie wiedzieli, może zdrząłyby im ręce. Wewnętrzne wzburzenie ledwie pozwoliło mi przyłożyć skazanemu pistolet do skroni, aby oddać strzał dobijający. A jednak potrafiłem się tak opanować, że obecni nie zauważyli nic szczególnego. W parę dni później rozmawiałem z jednym z trzech podoficerów oddziału egzekucyjnego i spytałem go o to.

Ta egzekucja wciąż stoi mi przed oczyma w związku z nieustannym żądaniem od nas przewycięzania się i nieugiętej surowości. Wówczas myślałem, że było to już zbyt nieludzkie, a Eicke wciąż prawił kazania, że trzeba być jeszcze twardszym. SS-man musi umieć zgładzić nawet najbliższych krewnych, gdy wykroczą przeciwko państwu lub idei Adolfa Hitlera. „Ważne jest tylko jedno: rozkaz!” To był nagłówek jego listów.

Co to znaczyło i co Eicke przez to rozumiał — dowiedziałem się

<sup>40</sup> *SS-Obergruppenführer* Keinhard Heydrich (ur. 7.3. 1904 r.) był członkiem NSDAP (nr 544916) i SS (nr 10120). W 1936 r. został powołany na Szefa Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa, a w 1939 r. - na szefa RSHA. Po rozbiorze Czechosłowacji we wrześniu 1938 r. i utworzeniu tzw. Protektoratu Czech i Moraw Heydrich został mianowany zastępcą protektora (von Neuratha). W czerwcu 1942 r. podczas pobytu w Pradze Heydrich został zgładzony przez czeski ruch oporu. Żona Heydricha — Lina pobiera pensję jako wdowa po „poległym” generale SS.

w tych pierwszych tygodniach wojny. Nie tylko ja, lecz także wielu starych oficerów SS.

Niektórzy z nich, mający wysoki stopień służbowy i od dawna należący do SS, mieli odwagę powiedzieć w kasynie, że ta katowska robota hańbi czarny mundur SS. Doniesiono o tym Eickemu. Wezwał ich do wytłumaczenia wypowiedzianych słów, potem zwołał zebranie wszystkich oficerów należących do jego oranienburskiej placówki i zwrócił się do zebranych mniej więcej w ten sposób:

Uwagi tych osób o katowskiej robocie SS świadczą, że mimo dłuższej przynależności do SS nie pojęły one jeszcze jej zadań. Najważniejszym zadaniem SS jest ochrona nowego państwa za pomocą wszystkich możliwych środków. Każdy przeciwnik — zależnie od stopnia swego niebezpieczeństwa — musi być albo należycie izolowany, albo zniszczony. I jedno, i drugie może być wykonane tylko przez SS. Jedynie w ten sposób da się zapewnić państwu bezpieczeństwo do czasu stworzenia nowych ustaw rzeczywiście chroniących państwo i naród. Zniszczenie wroga państwa wewnątrz kraju jest takim samym obowiązkiem jak zniszczenie go na froncie, a więc nigdy nie może być nazywane obelżywie. Poczynione wypowiedzi wskazują na obciążenie dawnymi, mieszczańskimi poglądami, które wskutek rewolucji Adolfa Hitlera stały się od dawna przestarzałe. Wypowiedzi te świadczą o miękkości i niegodnym oficera SS uczuciowym mazgajstwie, które może się stać nawet niebezpieczne. Dlatego też musi on winnych zameldować *Reichsführerowi SS* do ukarania. Wyprasza sobie raz na zawsze takie ślamazarne nastawienie. W swoich szeregach potrzebuje tylko ludzi bezwzględnie twardych, którzy rozumieją znaczenie trupiej główki noszonej jako szczególna odznaka honorowa.

*Reichsführer SS* nie ukarał wprost tych oficerów. Zostali tylko ostrzeżeni przez niego osobiście i odpowiednio pouczeni. Nie awansowali jednak i przez całą wojnę pozostali tylko *Obersturmführerami* i *Hauptsturmführerami* w SS. Musieli też pozostać w zasięgu władzy inspektora obozów koncentracyjnych aż do końca wojny. Ponieśli ciężkie konsekwencje, nauczyli się jednak milczeć i spełniać swoje obowiązki z zaciśniętymi zębami.

Na początku wojny więźniowie obozów koncentracyjnych godni noszenia broni stanęli przed komisjami poborowymi okręgowych komend wojskowych. Uznanym za zdolnych do służby wojskowej zgłaszano do *Gestapa* lub do RKPA; urzędy te albo kierowały takie osoby do służby wojskowej, albo też zatrzymywały je.

W Sachsenhausen było wielu badaczy Pisma św. Wielu z nich odmówiło pełnienia służby wojskowej, za co zostali skazani na śmierć przez

*Reichsführera SS*. Rozstrzelano ich w obozie w obecności wszystkich więźniów ustawionych w szeregach.<sup>41</sup> Badacze Pisma św. musieli przypatrywać się egzekucji z pierwszych szeregów.

Poznałem już wielu religijnych fanatyków: w miejscach odpustowych i w klasztorach w Palestynie, Hedżasie, Iraku i Armenii, katolików i prawosławnych, muzułmanów, szyitów i sunitów. Lecz badacze Pisma św. w Sachsenhausen, a szczególnie dwaj z nich, przewyższali to wszystko, co dotychczas widziałem. Ci dwaj, szczególnie fanatyczni, odmawiali udziału we wszystkim, co miało jakikolwiek związek ze sprawami wojskowymi. Nie stawali na baczność, a więc nie zsuwali obcasów, nie przykładali rąk do szwów spodni, nie zdejmowali czapek. Mówili, że oznaki czci należą się tylko Jehowie, a nie człowiekowi. Nie istnieją dla nich żadni przełożeni, jedynym ich przełożonym może być tylko Jehowa. Tych dwóch osobników trzeba było usunąć z bloku badaczy Pisma św. i zamknąć w areszcie, ponieważ wzywali innych badaczy Pisma św. do podobnego postępowania.

Eicke skazał ich kilkakrotnie na karę chłosty z powodu ich niezdyscyplinowanego zachowania się. Karę chłosty przyjęli z takim entuzjazmem, że można ich było posądzać niemal o perwersyjne usposobienie. Prosił komendanta o dalsze kary, aby tym lepiej mogli służyć swej idei i Jehowie. Po przeglądzie wojskowym, który — jak to zresztą było do przewidzenia — całkowicie zbojkotowali (odmówili nawet jakiegokolwiek podpisu na dokumencie wojskowym), zostali także skazani na śmierć przez *Reichsführera SS*.

Gdy im w areszcie oznajmiono o wyroku, wpadli w niepohamowaną radość i zachwyty; nie mogli doczekać się egzekucji. Wciąż składali ręce, patrzyli z zachwytem w górę i wołali bezustannie: „Już wkrótce będziemy u Jehowy, cóż za szczęście, że jesteśmy wybrańcami losu!” Parę dni przedtem byli obecni przy egzekucji swych współwyznawców i wtedy nie można ich było utrzymać — chcieli, aby również i ich rozstrzelano. Na to opętanie nie można było patrzeć. Przembcą musiano ich zabrać do aresztu. Na swoją egzekucję biegli niemal klusem. W żaden sposób nie chcieli dać się związać, aby tylko móc wznosić, ręce do Jehowy. W olśnieniu i zachwycie nie mającym już w sobie nic ludzkiego stali przed drewnianą ścianą, czekając na rozstrzelanie. W ten sposób wyobrażałem sobie pierwszych chrześcijańskich męczenników czekających na arenie, aby rozszarpały ich dzikie zwierzęta. Szli na śmierć z rozjaśnionym obliczem, z oczyma skierowanymi ku niebu, ze złożonymi do modlitwy wzniesionymi rękami.

<sup>41</sup> Nazwiska rozstrzelanych wówczas badaczy Pisma św. zawiera Dok. Norymb. NO-190. Patrz również E. K o g o n: Der SS-Staat, 1946, s. 211 i n.

Wszyscy, którzy widzieli ich śmierć, byli wzruszeni; nawet na plutonie egzekucyjnym zrobiło to wrażenie. Badacze Pisma św. tą męczeńską śmiercią swych współwyznawców zostali jeszcze bardziej umocnieni w swej wierze jako świadkowie Jehowy. Liczni z tych, którzy już podpisali zobowiązanie, że nie będą się więcej zajmować zdobywaniem nowych wyznawców dla swej wiary — zobowiązanie to miało im pomóc do wyjścia na wolność — wycofali je, gdyż chcieli nadal cierpieć dla Jehowy.

Badacze Pisma św., zarówno mężczyźni, jak i kobiety, byli w życiu codziennym spokojnymi, pracowitymi i łatwymi w obcowaniu ludźmi, zawsze chętnymi do udzielania innym pomocy. Przeważnie byli to rzemieślnicy, w Prusach Wschodnich także wielu chłopów należało do tej sekty. Dopóki w czasie pokoju ograniczali się do modłów, nabożeństw i zebrań, byli nieszkodliwi i nie byli niebezpieczni dla państwa. Gdy jednak od 1937 r. dał się zauważyć wzmożony werbunek do sekty, wówczas poddano ją inwigilacji i zatrzymano działaczy, którzy dostarczyli dowodów, że nieprzyjaciel starał się świadomie i jak najgorliwiej o propagowanie idei badaczy Pisma św., aby przy pomocy ideologii religijnej podkopać w narodzie wolę walki orężnej. Na początku wojny okazało się, na jak wielkie niebezpieczeństwo narażano by się, gdyby już od 1937 r. nie internowano najczynniejszych funkcjonariuszy i najbardziej fanatycznych wyznawców tej sekty, kładąc w ten sposób tamę propagandzie świadków Jehowy.

W obozie badacze Pisma św. byli pilnymi i zasługującymi na zaufanie pracownikami. Można ich było wysyłać do pracy nawet bez nadzoru. Chcieli cierpliwie znosić niewolę dla Jehowy. Odrzucali tylko bezwzględnie wszystko, co w jakikolwiek sposób było związane z wojkiem i wojną. Tak na przykład, badaczki Pisma św. w Ravensbrück odmawiały zawijania pakietów opatrunkowych służących do udzielania pierwszej pomocy. Fanatyczki odmawiały ustawiania się do apelu i można je było liczyć tylko w nie uporządkowanych gromadach.

Wprawdzie aresztowani badacze Pisma św. byli członkami Międzynarodowego Zjednoczenia Badaczy Pisma św., ale w rzeczywistości nie wiedzieli o organizacji swego związku. Znali tylko funkcjonariuszy, którzy rozdzielali im pisma i którzy prowadzili godziny religii i zebrań. Nie mieli pojęcia, dla jakich celów politycznych jest wykorzystywana ich fanatyczna wiara. Gdy się im o tym mówiło, śmieli się, nie mogli tego zrozumieć.

Oni mieli iść tylko za wezwaniem Jehowy i być Mu wierni. Jehowa dawał im, natchnienie, mówił do nich za pośrednictwem Biblii (gdy się ją należycie czytało) i kaznodziejów. To wszystko było dla nich szczerą prawdą nie wymagającą wyjaśnień. Pragnęli cierpieć,



wicie własnego *ja* może być jakiś światopogląd realizowany i trwale utrzymywany.

Raz jeszcze muszę powrócić do kwestii egzekucji w Sachsenhausen na początku wojny.

Jak różne było zachowanie się skazanych przed śmiercią! Badacze Pisma św. szli na śmierć w nastroju szczególnego zadowolenia, rzecz można rozpromienienia, w niewzruszonym przeświadczeniu, że teraz będą mogli dostać się do królestwa Jehowy. Skazańcy, którzy odmówili pełnienia służby wojskowej, i sabotażyści z motywów politycznych szli na egzekucję pewnie, opanowanie i spokojnie, poddając się swemu nieuchronnemu losowi. Zawodowi przestępcy i osobnicy prawdziwie społeczni zachowywali się albo cynicznie, bezczelnie, występując na pozór odważnie, lecz drżąc wewnątrz przed wielką niewiadomą, albo szaleli i bronili się, albo błagali o pociechę religijną.

Dwa jaskrawe przykłady. Bracia Sass zostali schwytani w Danii w czasie obławy na przestępców i wydani Niemcom stosownie do umów międzynarodowych. Obaj byli słynnymi włamywaczami, specjalistami od rozpruwania kas. Byli wielokrotnie karani, nigdy jednak nie odsiedzieli całkowicie kary, ponieważ zawsze udawało im się uciec. Wszelkie środki ostrożności były wobec nich bezskuteczne, gdyż zawsze umieli znaleźć okazję do ucieczki. Ostatnią ich słynną „robotą” było włamanie do najbardziej nowoczesnie zabezpieczonego skarbcza w podziemiach jednego z wielkich banków berlińskich. Zrobili podkop od grobu na cmentarzu położonym naprzeciw banku, przekopali się pod ulicą i przez podziemne chodniki dostali się do piwnicy bankowej. Udało się im zrabować złoto, dewizy i biżuterię o bardzo dużej wartości. Łup przechowywali bezpiecznie w kilku grobach i czerpali ze „swego banku” środki, dopóki nie zostali schwytani.

Te dwie sławy złodziejskie zostały skazane przez sąd berliński na 10 czy 12 lat więzienia, najwyższy wymiar kary, jaki można było zastosować na podstawie ustaw niemieckich. W dwa dni po wyroku *Reichsführer SS* na podstawie specjalnego pełnomocnictwa kazał ich przewieźć z więzienia śledczego do Sachsenhausen na egzekucję. Mieli być natychmiast rozstrzelani.

Przywieziono ich autem aż do piaskami na terenie przemysłowym obozu. Urzędnicy, którzy ich przywieźli, mówili, że w drodze zachowywali się dość bezczelnie i wyzywająco, chcieli wiedzieć, dokąd ich wiozą. Gdy się znaleźli na miejscu egzekucji, przeczytałem im rozkaz rozstrzelania. Zaczęli od razu krzyczeć: „To jest niemożliwe, skąd wam, to przyszło do głowy! Chcemy najpierw księdza!” itp. Nie chcieli się w żaden sposób ustawić przy palu, tak że musiałem kazać ich związać. Bro-

nili się z całej siły. Byłem zadowolony, gdy wreszcie mogłem dać rozkaz ognia.<sup>43</sup>

Wielokrotnie karany przestępca seksualny zwabił w Berlinie do sieni pewnego domu ośmioletnią dziewczynkę, tam ją zgwałcił i udusił. Sąd skazał go na 15 lat więzienia. Tego samego dnia został przywieziony do Sachsenhausen na rozstrzelanie. Jeszcze dziś widzę go, jak wysiada z auta przy wejściu na teren przemysłowy. Starszy osobnik o rozpustnym wyglądzie i cynicznym uśmiechu wykolejeńca — typowy aspołeczny.

Rozkaz *Reichsführera* nie zezwalał na żadną zwłokę w stosunku do takich przestępców zawodowych. Gdy oznajmiłem mu, że będzie rozstrzelany, stał się bladożółty, zaczął przeraźliwie krzyczeć, jęczeć i modlić się, potem wołał o łaskę. Odrażający widok! Także i jego musiałem kazać przywiązać do pała. Czy ci amoralni odczuwają lęk przed "światem pozagrobowym"! Nie umiem sobie inaczej wytłumaczyć ich zachowania się.

Przed Olimpiadą nie tylko oczyszczono w Niemczech ulice z żebraków i włóczęgów, którzy powędrowali do domów pracy lub obozów koncentracyjnych, ale także usunięto z miast i uzdrowisk wiele prostytutek i homoseksualistów. W obozie koncentracyjnym miano ich wychować do pożyteczniejszych zajęć.<sup>44</sup>

Homoseksualiści stali się już w Dachau problemem dla zarządu obozu, jakkolwiek było ich tam mniej niż w Sachsenhausen. Komendant i *Schutzhaftlagerführer* byli zdania, że najbardziej celowe będzie rozmieszczenie ich pojedynczo we wszystkich izbach całego obozu. Jeśli o mnie chodzi, byłem przeciwnego zdania, ponieważ znałem ich dość dobrze jeszcze z okresu mego pobytu w więzieniu.

Po krótkim czasie zaczęły przychodzić meldunki ze wszystkich bloków o szerzącym się homoseksualizmie. Kary nic nie pomagały. Zaraza się rozszerzała. Na mój wniosek wszyscy homoseksualiści zostali umieszczeni razem. Dostali sztubowego, który umiał się z nimi obchodzić. Także i podczas pracy byli zatrudniani w odosobnieniu od innych

<sup>43</sup> Opisane przez Hössa stracenie braci Sass jest jednym spośród wielu przypadków, w których od wybuchu wojny *Gestapo* rozstrzeliwało ludzi albo bez wyroku sądowego, albo nawet wbrew wyrokowi sądu. Himmler i szef RSHA Heydrich mieli w tym pełne poparcie Hitlera, którego zdaniem „sądy nie dorosły do tego, by mogły sprostać szczególnym warunkom wojny” (M. Broszat: *Zur Perversion der Strafjustiz im III Reich*).

Sprawę braci Franza i Ericha Sass opisuje M. Fabich: *Die Straftaten der Gebrüder Sass*, „*Kriminalistik*” 1941, nr 6. Relacja Hössa jest zgodna z tym opisem. Bracia Sass zostali rozstrzelani wbrew wyrokowi sądowemu. Po egzekucji podano w prasie, że zostali oni zastrzeleni, ponieważ stawiali czynny opór. Dok. Norymb. NG-390.

<sup>44</sup> Dok. Norymb. PS-2928. IMT t. XXXI, s. 299. C. Leibig: *Kriminalpolizeiliche Aufgaben während der Olympiaden in Deutschland*, „*Archiv für Kriminologie*” 1937, s. 84-87 i 204-206.

więźniów (przez dłuższy czas ciągnęli walec drogowy).<sup>45</sup> Przeniesiono do nich niektórych więźniów z innych grup, którzy również hołdowali temu nałogowi. Zaraza od razu wygasła. Jeśli nawet niekiedy zdarzały się stosunki homoseksualne, były to tylko odosobnione wypadki. W bloku tak homoseksualistów pilnowano, że nie mogło dojść do żadnych stosunków.

Jaskrawy wypadek pamiętam, dotychczas. Pewien książe rumuński, który mieszkał wraz z matką w Monachium, stał się tematem rozmów w mieście z powodu praktyk homoseksualnych. Mimo wszelkich względów związanych z jego towarzyskimi stosunkami nie można było dłużej tolerować jego zachowania się i trzeba go było osadzić w Dachau. Policja uważała, że wskutek hulaszczego życia sprzykrzyły mu się kobiety i dlatego stał się homoseksualistą, szukając w tym nowej podniety i rozrywki. *Reichsführer SS* sądził, że ciężka praca i twarde życie w obozie wkrótce go uzdrowią.

Zaraz po dostarczeniu go do obozu zwróciłem na niego uwagę, jakkolwiek nie wiedziałem jeszcze, o co chodzi. Jego błędny wzrok, wzdraganie się przy najmniejszym szmerze, miękkie, taneczne ruchy od razu zdradziły mi homoseksualistę. Zaczął płakać, gdy komendant podczas przeglądu nowych więźniów ostro go potraktował. Wstydził się także pójść do kąpieli.

Przyczynę tego zachowania zobaczyliśmy przy rozbieraniu się: całe jego ciało było wytatuowane i pokryte od szyi aż do przegubów rąk i nóg sprośnymi wizerunkami, przy czym osobliwe było to, że wizerunki te nie tylko pokazywały wszelkiego rodzaju perwersje, jakie kiedykolwiek mózg ludzki wymyślił, ale i normalne stosunki z kobietami. Seksuolog miałby niewątpliwie pole do nowych, ciekawych odkryć przy studiowaniu tej żywej książki z obrazkami. Więzień oświadczył, że wizerunki zrobione zostały według jego wskazówek we wszystkich możliwych miastach portowych starego i nowego świata.

Podczas fotografowania jego seksualnych tatuaży w biurze Służby Rozpoznawczej (wszystkie tatuaże musiały być fotografowane dla Policji Kryminalnej), przy ustawianiu i dotykaniu go popadł w stan szczególnego podniecenia. Poleciałem sztabowemu, aby ani na chwilę nie spuszczał go z oka, czyniąc specjalnie odpowiedzialnym za tego więźnia. Gdy po kilku godzinach zobaczyłem znowu tego osobliwego więźnia, sztabowy poprosił mnie, abym go niezwłocznie zwolnił, po-

<sup>45</sup> Był to walec do ugniatania budowanych przez więźniów dróg obozowych. Höss przeniósł tę praktykę do Oświęcimia, gdzie do walca wpręgano Żydów i księży, którzy musieli go ciągnąć biegiem w takt uderzeń kija. Poganiaczem był niemiecki kryminalista Krankenmann. Więzień, który padał ze zmęczenia, ginął pod ciosami jego pałki. W ten sposób wymordował on prawie wszystkich księży ze swego *kommanda* i bardzo wielu Żydów. Dr J. Sehn: *Obóz koncentracyjny Oświęcim-Brzezinka (Auschwitz-Birkenau)*, s. 70.

nieważ „nowy” go „wykańcza”. Stoi stale przy piecu i patrzy tępo przed siebie, z chwilą jednak, gdy ktoś się do niego zbliża albo usiłuje go odciągnąć od pieca, wpada znowu w podniecenie i zaczyna się onanizować.

Zaprowadziłem więźnia do lekarza. Już przy pierwszych pytaniach dotyczących jego stanu wpadł w podniecenie. Zakomunikował, że od młodości cierpi z powodu silnego popędu seksualnego, w żadnym rodzaju stosunków nie znalazł jednak pełnego zadowolenia i nieustannie go poszukuje. Lekarz sporządził raport do *Reichsführera SS* i w zakończeniu dodał, że więzień nie nadaje się do obozu koncentracyjnego, lecz kwalifikuje do zakładu leczniczego; jest z góry wykluczone, aby ciężką pracą można go było zmienić.

Raport został wysłany, a nowy więzień zgodnie z rozkazem poszedł do pracy. Miał wozic taczki z piaskiem. Zaledwie mógł podnieść pełną łopatę, upadał już przy pustych taczkach. Kazałem odprowadzić go z powrotem do izby i zameldowałem o tym komendantowi, który następnego dnia chciał zobaczyć więźnia przy pracy. (Pracować musiał, gdyż taki był rozkaz *Reichsführera SS*).

Nazajutrz ledwie można go było doprowadzić do niezbyt odległej piaskami; ledwo się tam dowlókł. O pracy nie można było nawet myśleć — przyznał to nawet Loritz. Zaprowadzono go z powrotem do izby i położono do łóżka. I to jednak okazało się zawodne — wciąż się onanizował. Lekarz mówił do niego jak do chorego dziecka, wszystko na próżno. Związano mu ręce, ale stale przecież tak być nie mogło. Dostał środki uspokajające i zimne okłady. Nic nie pomogło. Podupadał na siłach coraz bardziej. Mimo to wypełzał jeszcze z łóżka, aby dostać się do innych więźniów. Do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez *Reichsführera SS* umieszczono go w areszcie, gdyż w obozie był już nie do zniesienia. W dwa dni później nie żył: umarł w czasie onanizowania się. Ogółem był pięć tygodni w obozie.

*Reichsführer SS* zarządził sekcję sądowo-lekarską i zażądał bardzo dokładnego sprawozdania. Sekcja, przy której byłem obecny, wykazała całkowite wyniszczenie fizyczne bez jakichkolwiek anormalności. Profesor monachijskiego instytutu medycyny sądowej, który przeprowadzał sekcję, nigdy jeszcze w ciągu swej długoletniej praktyki nie zetknął się z podobnym wypadkiem, a miał przecież niemałe doświadczenie.

Byłem obecny przy tym, jak komendant pokazał zwłoki matce. Powiedziała, że śmierć jest szczęściem dla niego i dla niej, stał się bowiem nie do zniesienia wskutek swego życia seksualnego pozbawionego wszelkich hamulców. Matka radziła się najslynniejszych lekarzy specjalistów w całej Europie, jednak bezskutecznie. Uciekał z każdego sanatorium. Był również w klasztorze, ale i tam nie mógł zostać. Ona

sama namawiała go w rozpaczy do samobójstwa, nie miał jednak odwagi. Teraz ma przynajmniej spokój. Dziś jeszcze odczuwam wstrząs, gdy myślę o tym wypadku.<sup>46</sup>

W Sachsenhausen homoseksualiści byli umieszczani od razu w osobnym bloku. Również i do pracy używani byli osobno. Pracowali w glinianie wielkiej klinkiarni. Była to praca ciężka i każdy z nich musiał wykonać określoną robotę. Byli wystawieni na wszelkiego rodzaju działania atmosferyczne. Codziennie musieli przywieźć określoną liczbę wagonów z gliną. Procesu wypalania bowiem nie wolno było przerywać wskutek braku surowca; musieli więc pracować przy każdej pogodzie — zarówno latem, jak i zimą.

Wpływ tej ciężkiej pracy, dzięki której znowu mieli się stać „normalnymi” ludźmi, był różny u homoseksualistów różnego rodzaju.

Najbardziej celowa i rzeczywiście skuteczna okazywała się praca w stosunku do „łazików”.<sup>47</sup> Tak nazywano w żargonie berlińskim prostytuujących się mężczyzn szukających w ten sposób łatwego zarobku i unikających każdej, nawet najłżejszej pracy. Nie można było ich nazwać prawdziwymi homoseksualistami; był to tylko ich zawód. Surowe życie obozowe i ciężka praca szybko wychowywały ten rodzaj więźniów. Większość z nich pilnie pracowała i dokładała wszelkich starań, aby się nie narazić i aby móc uzyskać możliwie jak najszybsze zwolnienie. Unikali oni bliskiego stykania się z tymi, którzy rzeczywiście byli obciążeni tym nałogiem; chcieli w ten sposób wykazać, że z homoseksualistami nie mają właściwie nic wspólnego.

Wielu w ten sposób wychowanych odzyskiwało wolność i już nie powracało do obozu. Nauka była wystarczająco skuteczna, zwłaszcza że chodziło tu najczęściej o młodych chłopców.

Także część takich osobników, którzy stali się homoseksualistami ze skłonności, którym wskutek częstych stosunków znudziły się kobiety, którzy w swym pasożytniczym życiu szukali nowych podniet, mogła być wychowana i oduczona nałogu.

Ale nie dotyczyło to tych, którzy z powodu swych skłonności zbyt głęboko już wpadli w nałóg. Trzeba ich było traktować na równi z prawdziwymi homoseksualistami o wrodzonych skłonnościach, takich zresztą było tylko kilku. Tym nie pomagała ani najcięższa praca, ani najsurowszy dozór. Gdy tylko znajdowali okazję, leżeli w objęciach. Nawet najbardziej wyniszczeni fizycznie, tkwili nadal w niewoli nałogu. Łatwo można ich było rozpoznać. Mizdrzący się i krygujący w miękki, dziew-

<sup>46</sup> Broszat opuścił cały ten opis, uznając go za bezwartościowy i przy rozwlekłości wchodzącej w bardzo odrażające szczegóły — rzucający światło raczej na postawę samego Hössa (Kommandant in Auschwitz, s. 77 przyp. 3).

<sup>47</sup> W niemieckim oryginale: *Strichjungen*.

częcy sposób, o pieśczożliwym sposobie wyrażania się i zbyt przymilnym sposobie bycia w stosunku do podobnych sobie osobników, odróżniali się od tych, którzy albo zerwali z nałogiem, albo chcieli się od niego uwolnić. U tych ostatnich proces stopniowego uzdrawiania można było śledzić w toku dokładnej obserwacji.

Podczas gdy chcący zawrócić z dotychczasowej drogi i mający po temu silną wolę znosili nawet najcięższą pracę, inni wykańczali się fizycznie szybciej lub wolniej, zależnie od konstytucji. Ponieważ nie mogli lub nie chcieli wyzbyć się nałogu, wiedzieli, że nigdy już nie wyjdą na wolność. Ten dotkliwy uraz psychiczny przyspieszał u tych wrażliwych natur ich fizyczny upadek. Jeśli dołączała się jeszcze do tego utrata „przyjaciela” wskutek choroby lub śmierci, to można było przewidzieć koniec. Wielu popełniło samobójstwo. W takiej sytuacji „przyjaciel” był wszystkim dla tego rodzaju natur. Zdarzyło się również parokrotnie, że dwaj przyjaciele umierali razem.

W 1944 r. *Reichsführer SS* polecił przeprowadzić w Ravensbrück badanie „nawróconych”. Homoseksualistów, których uzdrowienie nie wydawało się całkiem pewne, zetknięto przy pracy niby mimo woli z prostytutkami i obserwowano ich. prostytutki otrzymały polecenie zbliżania się do homoseksualistów w sposób nie rzucający się w oczy i podniecania ich płciowo. Poprawieni natychmiast korzystali z tej okazji, nie trzeba ich było zbyt zachęcać. Nieuleczalni nie zwracali na kobiety żadnej uwagi. Gdy zbliżały się do nich w sposób niedwuznaczny, odwracali się, drżąc z obrzydzenia i odrazy.

Po takiej próbie tym homoseksualistom, których zamierzano zwolnić, dawano jeszcze okazję do obcowania płciowego z mężczyznami. Prawie wszyscy nie korzystali z możliwości i odrzucali kategorycznie próby zbliżenia się do nich prawdziwych homoseksualistów. Bywały jednak i przypadki z pogranicza — osobnicy korzystający z obu okazji. Pozostawiam sprawę otwartą, czy można ich określić mianem biseksualnych. Obserwowanie życia, obyczajów oraz psychiki homoseksualistów wszelkich odcieni było dla mnie wielce pouczające.

W Sachsenhausen przebywało wielu prominentów, a także kilku więźniów specjalnych. Jako prominentów określano tych więźniów, którzy przedtem odgrywali jakąś rolę w życiu publicznym. Najczęściej traktowano ich w obozie jako więźniów politycznych bez żadnych specjalnych ulg, razem z innymi więźniami należącymi do tej samej kategorii. Na początku wojny liczba ich wydatnie się zwiększyła na skutek ponownego uwięzienia byłych funkcjonariuszy Komunistycznej Partii Niemiec i Socjalistycznej Partii Niemiec.<sup>48</sup>

<sup>48</sup> W dniu 3. 9.1939 r. Heydrich za zgodą Hitlera i Himmlera wydał okólnik w sprawie „Zasad wewnętrznego bezpieczeństwa państwa w czasie wojny”, który wprowadzał zastrzony

Więźniami specjalnymi byli tacy więźniowie polityczni, których ze szczególnych względów państwowych umieszczano osobno w obozie koncentracyjnym albo przy obozie. Nie wolno im było stykać się z innymi więźniami. O miejscu ich uwięzienia lub w ogóle o ich uwięzieniu nie powinny być wiedzieć osoby nie wtajemniczone. Przed wojną mało było takich więźniów, lecz w ciągu wojny liczba ich wzrosła pokazanie.<sup>49</sup> Później jeszcze do tego wrócę.

W 1939 r. zostali osadzeni w Sachsenhausen czescy profesorowie i studenci,<sup>50</sup> a także polscy profesorowie z Krakowa. W obozie zostali umieszczeni w specjalnym bloku. O ile mogę jeszcze sobie przypomnieć, nie wolno ich było brać do pracy, nie było też przewidziane w stosunku do nich żadne postępowanie specjalne. Krakowscy profesorowie zostali po kilku tygodniach zwolnieni, ponieważ wielu niemieckich profesorów interweniowało w ich sprawie przez Göringa u *führera*. O ile sobie przypominam, było około stu profesorów szkół wyższych. Widziałem ich tylko podczas przybycia do obozu; w czasie ich uwięzienia nic o nich nie słyszałem.<sup>51</sup>

Jednym więźniem specjalnym muszę się zająć bliżej, gdyż jego zachowanie było osobliwe, a miałem możliwość obserwować go dokładnie

tryb postępowania w sprawach przeciwko tzw. wrogom państwa. Już w czerwcu 1939 r. Heydrich polecił sporządzić listę żyjących w Niemczech na wolności „czołowych ludzi systemu” (niehitlerowskiego), na której czele znajdowali się marksiści-komuniści (Dok. Norymb. PS-1430).

<sup>49</sup> Byli wśród nich: były kanclerz Austrii (1934-1938) Kurt von Schuschnigg, który w latach 1938-1945 więziony był w obozie koncentracyjnym, syn regenta Węgier Nikolaus Horthy i inni.

<sup>50</sup> W tzw. Protektoracie Czech i Moraw dokonano na początku wojny licznych aresztowań. W połowie listopada 1939 r. przeprowadziło *Gestapo* drugą akcję aresztowań, wywołaną demonstracjami studentów w Pradze, w związku z którymi szef RSHA Reinhard Heydrich mianowany został zastępcą protektora Konstantina von Neuratha. Aresztowano kilkuset studentów, których uwięziono w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen-Oranienburg, skąd część do 1941 r. zwolniono. Patrz G. Reitlinger: *Die SS*, s. 210 i n.; M. Broszat w edycji: *Kommandant in Auschwitz*, s. 80 przyp. 1, IMT t. XVI, s. 725 i n. oraz Dokumenty Norymberskie NG-1113 i PS-3771. Ponadto — J. Gwiazdomorski: *Wspomnienia z pobytu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w Sachsenhausen*, wyd. I 1945 r. i wyd. II 1964 r.

<sup>51</sup> W ramach akcji wymierzonej przeciwko polskiej inteligencji aresztowano podstępnie w dniu 6.11. 1939 r. 183 profesorów oraz kilku pracowników administracyjnych Uniwersytetu Jagiellońskiego, a 11.11.1939 r. — szereg profesorów Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie. Spośród 66 profesorów wywiezionych do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen w krótkim okresie 13 zmarło. Pozostałych przy życiu starszych profesorów zwolniono po 3 miesiącach. Młodszy zostali w obozach dłużej, część ich przeniesiono do obozu w Dachau (S. Skowron: *Wspomnienia z pobytu w Dachau*, Kraków 1946).

Były generalny gubernator Hans Frank zeznał w tej sprawie dnia 18. 4.1945 r. w Norymberdze, co następuje: „W dniu 7. 11. 1939 r. przybyłem do Krakowa. Przed moim przyjazdem, bo dnia 5. 11. 1939 r., SS i policja zwołała krakowskich profesorów na zebranie i następnie aresztowała tych ludzi, wśród których znajdowali się czcigodni starcy, a potem osadziła ich w jakimś obozie koncentracyjnym. Zdaje mi się, w Oranienburgu. Ja dowiedziałem się o tym już po wszystkim z przedłożonego mi meldunku. Wbrew wszystkiemu, co jest na ten temat napisane w moim dzienniku, pragnę obecnie zapewnić pod przysięgą: ja tak długo nie dawałem spokoju, dopóki ostatni spośród tych profesorów, którego mogłem jeszcze osiągnąć, nie został w marcu 1941 r. zwolniony” (IMT, t. III, s. 30 oraz M. Broszat w edycji: *Kommandant in Auschwitz*, s. 80 przyp. 2).

w różnych okolicznościach. Był to ewangelicki pastor Niemoller, w czasie pierwszej wojny światowej znany komendant łodzi podwodnej. Po wojnie został pastorem.

Niemiecki kościół ewangelicki był rozbity na wiele grup. Jedną ze znaczniejszych, mianowicie kościół wyznaniowy, prowadził Niemoller. *führer* pragnął, aby kościół ewangelicki został zjednoczony, i mianował ewangelickiego „prymasa”. Jednakże wiele grup ewangelickich nie uznawało go i gwałtownie zwalczało. Także i Niemöller. Miał on swoją gminę w Dahlem, na przedmieściu Berlina. W gminie tej zbierała się cała berlińsko-poczdamska ewangelicka reakcja, wszystkie dawne, cesarskie ekscelencje i ci, którzy nie byli zadowoleni z reżimu narodowo-socjalistycznego. Niemoller głosił w kazaniach opór i to spowodowało jego aresztowanie.<sup>52</sup>

Umieszczono go w areszcie w Sachsenhausen i dano wszelkie możliwe ułgi. Mógł pisać do żony, kiedy chciał. Co miesiąc mogła odwiedzać go żona i przynosić mu książki, papierosy i żywność — wszystko, czego sobie życzył. Mógł spacerować na podwórzu aresztu, miał także udogodnienia w celi. Krótko mówiąc, zrobiono dla niego wszystko, co możliwe. Komendant był obowiązany stale się o niego troszczyć i dowiadywać się o jego życzenia.<sup>53</sup>

*führer* był zainteresowany w tym, aby skłonić Niemöllera do wyrzeczenia się oporu. W tym celu do Sachsenhausen przyjeżdżały wybitne osobistości (nawet wieloletni przełożony z czasów służby w marynarce i wyznawca jego kościoła, admirał Lans). Jednak na próżno, Niemoller obstawał przy stanowisku, że żadne państwo nie ma prawa mieszać się do praw kościelnych, a tym bardziej do ich wydawania. Jest to jedynie i wyłącznie sprawa społeczności wyznaniowych. Kościół wyznaniowy rozwijał się nadal i Niemöller stał się jego męczennikiem. Żona pastora działała dalej w jego duchu. Ponieważ czytałem całą jego korespondencję, a także przysłuchiwałem się rozmowom w czasie odwiedzin, które odbywały się u komendanta, byłem dokładnie zorientowany w tych sprawach.

W 1938 r. Niemöller napisał do głównodowodzącego marynarki, wielkiego admirała Raedera, że rezygnuje z prawa noszenia munduru oficera marynarki, ponieważ nie zgadza się z państwem, któremu ta marynarka służy. Gdy wybuchła wojna, zgłosił się dobrowolnie do służby wojskowej i prosił o mianowanie go dowódcą łodzi podwodnej.

<sup>52</sup> Martin Niemoller został aresztowany 1. 7. 1937 r. Dnia 2. 3. 1938 r. został skazany przez sąd specjalny w Berlinie-Moabicy na karę 7 miesięcy twierdzy, uznaną za odcierpianą przez areszt tymczasowy. Po ogłoszeniu wyroku zabrało go *Gestapo* z więzienia śledczego i osadziło w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen tytułem tzw. aresztu zapobiegawczego (*Vorbeugungshaft*). Patrz M. Broszat w edycji: Kommandant in Auschwitz, s. 80 przyp. 3.

<sup>53</sup> Patrz E. Kogon: Der SS-Staat, s. 186.



Teraz *führer* odrzucił podanie, gdyż Niemöller nie chciał przecież no-  
sić munduru państwa narodowosocjalistycznego.

Z biegiem czasu Niemöller zaczął zbliżać się do kościoła katolickie-  
go. Wyszukiwał najosobliwsze argumenty przemawiające za połącze-  
niem się kościołów, między innymi za zgodnością w zasadniczych spra-  
wach jego kościoła wyznaniowego z kościołem katolickim. Jednakże  
żona odradzała mu to bardzo energicznie. Sądzę, że Niemöller przy-  
puszczał, iż zostanie zwolniony z obozu na skutek przejścia do koś-  
cioła katolickiego. Jego zwolennicy nigdy by jednak za nim nie poszli.

Często, a także szczegółowo rozmawiałem z Niemöllerem. We wszyst-  
kich innych kwestiach życiowych można się było z nim porozumieć,  
miał zrozumienie nawet dla obcych mu spraw; gdy jednak rozmowa  
schodziła na tory spraw kościelnych, zapadała żelazna zasłona. Uparcie  
wracał do swego punktu widzenia, odrzucał wszelką krytykę zajmo-  
wanego stanowiska, jakkolwiek gotowość przejścia do kościoła kato-  
lickiego musiała powodować także uznanie państwa, podobnie jak  
to uczynił kościół katolicki, przez zawarcie konkordatu.

Gorzkie rozczarowanie sprawiła Niemöllerowi jedna z jego córek.  
Miał siedmioro dzieci, które wspólnie z matką propagowały jego idee,  
o ile tylko ze względu na swój wiek nadawały się do tego. Lecz jedna  
córka wyłamała się z tego grona. Chciała koniecznie poślubić oficera  
marynarki, bogowiercę. Niemöller próbował wszystkiego, by jej to wy-  
perswadować. W czasie odwiedzin córki przytaczał wszelkie religijne  
i kościelne argumenty, jednak bezskutecznie: wyszła za mąż za tego  
officera.<sup>54</sup>

Gdy w 1941 r. na rozkaz *Reichsführera SS* wszyscy duchowni zos-  
tali przeniesieni do Dachau, również i Niemöller tam się znalazł. Wi-  
działem go w areszcie w 1944 r. Miał tam jeszcze większą swobodę  
poruszania się i przebywał razem z byłym ewangelickim biskupem kra-  
jowym z Poznania, Wurmem. Zniósł dobrze pod względem fizycznym te  
wszystkie lata uwięzienia. O jego stan cielesny troszczono się należycie  
i z pewnością nikt mu nie ubliżył. Był zawsze traktowany z grzecz-  
nością.<sup>55</sup>

<sup>54</sup> M. Broszat opuścił ten ustęp, jako dotyczący prywatnego szczegółu z życia rodziny Niemöllera (Kommandant in Auschwitz, s. 81 przyp. 1).

<sup>55</sup> Wilhelm Niemöller, brat pastora Martina Niemöllera i autor książki „Kampf und Zeugnis der Bekennenden Kirche (Bielefeld 1948 r.), po porozumieniu ze swoim bratem przesłał monachijskiemu Instytutowi — wydawcy wspomnień Hössa krytyczne uwagi do wywodów Hössa na temat sprawy M. Niemöllera. W uwagach tych, opublikowanych przez wydawcę niemieckiego, oświetlone są w inny sposób: przyczyna aresztowania, sposób trakto-  
wania w obozie koncentracyjnym, sprawa zgłoszenia się do służby wojskowej i zrzeczenia się munduru oraz sprawa biskupa Wurma. Według wyjaśnienia Niemöllerów biskup wir-  
temberski T. Wurm nie przebywał nigdy w Dachau ani nigdy nie był w Poznaniu. Pomyłkę Hössa przypisują oni temu, że równocześnie z Niemöllerem przebywał i zmarł w Sachsen-

Podczas gdy Dachau było przeważnie „czerwone”, to znaczy przeważali w nim więźniowie polityczni, Sachsenhausen było „zielone”.<sup>56</sup> Zgodna z tym była cała atmosfera obozu, mimo że najważniejsze stanowiska były obsadzone przez więźniów politycznych. W Dachau łączył więźniów duch pewnej wspólnoty, którego zupełnie nie było w Sachsenhausen. Obie główne barwy zwalczały się gwałtownie.<sup>57</sup> Zarząd obozu mógł to łatwo wyzyskać dla swoich celów, wygrywając przeciwko sobie te dwie kategorie więźniów.

Ucieczki były tu stosunkowo liczniejsze niż w Dachau, a przede wszystkim bardziej wyrafinowane i bardziej pomysłowe, zarówno jeśli chodzi o ich przygotowanie, jak i realizację. W Dachau ucieczka była wprawdzie szczególnym wydarzeniem, lecz tu traktowano ją jeszcze poważniej ze względu na obecność Eickego.

Gdy tylko zaczęła wyc syrena, natychmiast Eicke — jeżeli tylko był w Oranienburgu — zjawiał się w obozie. Chciał natychmiast wiedzieć o wszystkich szczegółach ucieczki i uporczywie poszukiwał winnych, którzy przez nieuwagę lub niedbalstwo umożliwili ją więźniowi. Szeregi wartowników stały często 3—4 dni, jeśli były dane przemawiające za tym, że więzień może znajdować się jeszcze wewnątrz łańcucha straży. Dniem i nocą wszystko wielokrotnie przeszukiwano. Ściągano w tym celu wszystkich SS-manów garnizonu. Oficerowie, a przede wszystkim komendant, *Schutzhaftlagerführer* i oficer służbowy, nie mieli spokojnej chwili, gdyż Eicke nieustannie zwracał się do nich z zapytaniem o stan poszukiwań. Jego zdaniem żadna ucieczka nie powinna się była udać.

Wprawdzie nieprzerwane trwanie straży na posterunkach doprowadzało w większości wypadków do odnalezienia więźnia, któremu udało

hausen generalny superintendent Kościoła Ewangelickiego w Polsce J. Bursche (Kommandant in Auschwitz, s. 82-83 przyp. 1).

<sup>56</sup> Od 1937 r. wprowadzono w hitlerowskich obozach koncentracyjnych system znakowania więźniów za pomocą kolorowych trójkątów. Trójkąt (w gwarze obozowej — winkel) czerwony oznaczał więźnia politycznego, zielony — przestępcę kryminalnego, czarny — tzw. elementy społeczne (włóczęgi, prostytutki, osoby uchylające się od pracy itp.), różowy — homoseksualistę, wreszcie fioletowy — więźnia należącego do sekty badaczy Pisma św. Dla Żydów kombinowano trójkąty odpowiednich kolorów, a więc np. zielony z podstawowym dla nich trójkątem koloru żółtego — w zestawieniu tworzącym gwiazdę. Trójkąt wraz z paskiem płótna, na którym wypisywano numer więźnia, był przyszyty na bluzie więźniarskiej na wysokości lewej piersi oraz na zewnętrznym szwie prawej nogawki spodni (tabela znaków - patrz dr J. Sehn: Obóz koncentracyjny Oświęcim-Brzezinka, ryć. 11 przed s. 41 i E. Kogon: Der SS-Staat, załącznik).

<sup>57</sup> Ze strony „czerwonych” była to walka z faszyzmem i jego „zielonymi” pomocnikami. Po zdobyciu „władzy” w obozie komunistyczne organizacje konspiracyjne ratowały skutecznie życie tysięcy współtowarzyszy, wychowywały ich w stałej walce z SS, prowadziły sabotaz zbrojeń. Komuniści w Sachsenhausen tworzyli zwartą partyjną organizację ruchu oporu, do której należał m.i. obecny przywódca KPD w Niemczech zachodnich — Max Reimann. „Zieloni” walczyli jedynie o władzę celem wykorzystania jej dla siebie kosztem masy więźniarskiej (patrz. H. Langbein: Die Stärkeren, Wiedeń 1949).

się gdzieś ukryć, gdzieś dać się zakopać ale jak wielkim obciążeniem było to dla obozu! Wartownicy musieli trwać na posterunkach nieprzerwanie często po 16—20 godzin. Więźniowie musieli stać aż do pierwszej zmiany wart. W okresie trwania poszukiwań nie wolno było wychodzić do pracy; tylko zakłady najniezbędniejsze dla obozu były utrzymywane w ruchu.

Jeżeli więźniowi udało się przedostać przez łańcuch straży lub uciec z drużyny pracującej poza obozem, to wówczas wprawiano w ruch olbrzymi aparat, aby go ująć. Ściągano wszystkie możliwe siły SS i policji. Strzeżone były koleje i drogi. Zmotoryzowane oddziały żandarmerii, kierowane za pomocą radia, przeszukiwały szosy i drogi. Obsadzano wszystkie liczne mosty w okolicy Oranienburga, zawiadamiano i ostrzegano mieszkańców domów położonych w pobliżu. Większość wiedziała już, o co chodzi, gdy słyszała syrenę. Wskutek współdziałania ludności istotnie ujęto paru więźniów. Okoliczna ludność wiedziała, że w obozie przebywali głównie zawodowi przestępcy, których się obawiała szczególnie podczas ich ucieczki. Swoje spostrzeżenia ludność natychmiast przekazywała do obozu lub meldowała o nich poszukującym patrolom.

Jeśli uciekiniera odnajdywano, przeprowadzano go (w obecności Eickego — jeśli tylko było to możliwe) w obozie przed więźniami ustawionymi w szeregu; nosił na sobie duży napis: *Znowu jestem tutaj*.<sup>58</sup> Musiał przy tym bić w wielki bęben, który miał zawieszony. Po tej defiladzie karano go 25 kijami i wcielano do kompanii karnej.

SS-man, który znalazł lub ujął uciekiniera, dostawał pochwałę w rozkazie dziennym i specjalny urlop. Ludzie spoza obozu — policjanci lub osoby cywilne — dostawali nagrody pieniężne. SS-man, który dzięki uważnemu, przeczernemu postępowaniu zdołał zapobiec ucieczce, był wynagradzany przez Eickego szczególnie urlopem i awansem.

Eicke chciał mieć pewność, że zrobiono wszystko, aby uniemożliwić ucieczkę, a w razie udanej ucieczki, że nie zrezygnowano z żadnej próby pochwylenia uciekiniera. SS-manów, którzy umożliwili ucieczkę, surowo karano, nawet jeśli ich wina była bardzo mała. Jeszcze surowiej karano więźniów, którzy pomagali w ucieczce.

Chciałbym tu opisać parę niezwykłych ucieczek. Siedmiu niebezpiecznym zawodowym przestępcom udało się z ich baraku, położonego najbliżej zasieków z drutów, przekopać pod zasiekami chodnik aż do lasu i uciec nocą. Wykopaną ziemię rozmieścili pod barakiem postawionym na palach. Wejście do chodnika było pod łóżkiem. Pracowali nad tym przez wiele nocy nie zauważeni przez współmieszkańców. W tydzień później jeden ze zbiegów został rozpoznany przez *Blockführera* i aresz-

<sup>58</sup> w oryginalnym brzmieniu: *Ich bin wieder da!*

towany wieczorem na ulicy Berlina. W czasie przesłuchania wydał miejsce pobytu innych zbiegów, wskutek czego wszyscy zostali ujęci.

Pewnemu homoseksualiście udało się mimo dostatecznego nadzoru i zasieków z drutu uciec z glinianki. Brak było poszlak, w jaki sposób mogła nastąpić ucieczka. Wyjeżdżające wagony z gliną były kontrolowane przez dwóch SS-manów i *Kommandoführera*. Mimo poszukiwań zakrojonych na wielką skalę i całodniowego przetrząsania sąsiedniego lasu nie można było natrafić na żaden ślad zbiega. Dokładnie po dziesięciu dniach nadszedł dalekopis z placówki granicznej w Warnemünde, że poszukiwany zbieg został przyprowadzony przez rybaków. Przywozi się go stamtąd i musi wskazać trasę ucieczki.

Okazało się, że więzień ten już od wielu tygodni myślał o ucieczce i badał wszystkie możliwości. Jediną możliwością był wyjeżdżający wagon z materiałem. Pracował pilnie, zwrócił na siebie w ten sposób uwagę i został wybrany do smarowania wagonów i dozorowania szyn. Obserwował teraz całymi dniami kontrolę wyjeżdżających pociągów. Każdy wagon był przeglądany z góry i z dołu. Przeszukiwano dieslowską lokomotywę; pod maszynę jednak nikt nie zaglądał, gdyż blachy ochronne sięgały prawie do szyn. Więzień zauważył jednak, że tylna blacha była tylko luźno zawieszona. Gdy pociąg przy wyjeździe zatrzymał się dla kontroli, więzień wpłynął szybko pod lokomotywę, wcisnął się między koła i w ten sposób wyjechał. Przy najbliższym ostrym zakręcie, kiedy pociąg jechał wolniej, opuścił się na ziemię, pociąg przejechał nad nim, po czym więzień zniknął w lesie.

Było dla niego jasne, że musi obrać północny kierunek ucieczki. Nadzorca telefonicznie zaalarmował obóz, ponieważ ucieczkę wkrótce zauważono. W takich wypadkach przede wszystkim obsadzano od razu mosty zmotoryzowanymi patrolami. Gdy więzień doszedł do wielkiego szlaku wodnego Berlin—Szczecin, zobaczył, że most jest już obsadzony. Ukrył się w spróchniałej wierzbie tak, aby mógł mieć na oku kanał i most. Ja sam wiele razy przejeżdżałem koło tej wierzby. Nocą przepłynął kanał. Trzymając się z dala od wsi i gościńców podążał wciąż w kierunku północnym (ubranie cywilne zabrał z szopy jakiejś piaskami). Żył mlekiem, dojąc krowy na pastwiskach, oraz ziemiopłodami. W ten sposób przeszedł przez Meklemburgię aż do Morza Bałtyckiego. W jakiejś wiosce rybackiej udało mu się zdobyć łódź żaglową i popłynął w kierunku Danii. Niedaleko duńskich wód terytorialnych natknął się na rybaków. Zatrzymali go, a ponieważ natychmiast powzięli przypuszczenie, że jest uciekinierem, dostawili do Warnemünde.

Pewien berliński przestępca zawodowy (były malarz) pracował w domach osady SS wewnątrz łańcucha straży. Nawiązał stosunek ze służącą pracującą u mieszkającego tam lekarza i przychodził do domu lekarza,

gdzie stale znajdował coś dla siebie do roboty. Ani lekarz, ani jego żona nie zauważyli, że służącą łączy intymny stosunek z więźniem. Lekarz z żoną wyjechali na jakiś czas, a służąca miała dostać urlop. Była to dla niego okazja do zorganizowania ucieczki.

Wszedł przez okno w piwnicy, które służąca tylko przymknęła, usunął na górze płytę ścienną i w ten sposób stworzył sobie kryjówkę między krokwiami dachu. Wywiercił potem dziurkę w drewnianej ścianie, aby móc obserwować większą część posterunku i osadę SS. Zaopatrzył się w żywność i napoje oraz pistolet na wszelki wypadek. Gdy odezwała się syrena, wpełznął do swej kryjówki, przysunął jakiś większy mebel do płyty ściennej i czekał na dalszy przebieg wydarzeń.

W wypadkach ucieczki przeszukiwano również domy osiedla. Zaraz pierwszego dnia byłem w tym domu, gdyż wydał mi się podejrzany, jako chwilowo nie zamieszkały. Nie mogłem jednak znaleźć nic podejrzanego. Byłem również w pokoju, za którego szczytową ścianą znajdował się przestępca z odbezpieczonym już pistoletem (powiedział później, że na pewno wystrzeliłby, gdyby go wykryto). Chciał wydostać się na wolność za wszelką cenę, ponieważ toczyło się przeciwko niemu śledztwo z powodu morderstwa rabunkowego dokonanego przed wieloma laty (w obozie zdradził go wspólnik powodowany zazdrością na tle homoseksualnym).

Łańcuch straży stał przez cztery dni. Piątego zbieg pojechał pierwszym rannym pociągiem do Berlina. Mógł przedtem bez żadnych przeszkód ubrać się jak najlepiej z zasobów lekarza, a w ciągu tych dni powodziło mu się bardzo dobrze, o czym świadczyło wiele pustych butelek od likieru i wina. Poza tym spakował dwa ciężkie kufrы wypełnione srebrem, aparatami fotograficznymi, bielizną i innymi cennymi przedmiotami; znalazł dość czasu na ich wyszukanie.

Po kilku dniach przypadkowo zaaresztował go patrol Policji Kryminalnej w pewnej berlińskiej speluncie, gdy usiłował spieniężyć resztki zawartości kufrów.

Służąca, z którą umówił się nawet na spotkanie, została wysłana do Ravensbrück. Lekarz był niemile zdziwiony, gdy po powrocie zobaczył swe mieszkanie. Eicke chciał pociągnąć go jeszcze do odpowiedzialności za to, że skradziono mu broń, odstąpił jednak od tego zamiaru, gdy lekarz wystąpił z żądaniem wysokiego odszkodowania za straty spowodowane kradzieżą.

Przytaczam tylko trzy przykłady, które sobie właśnie przypominam jako drobny wycinek z bogato urozmaiconego życia w obozie koncentracyjnym.

*W styczniu 1947 r. Rudolf Höss*

O ile dobrze pamiętam, zostałem *Schutzhaftlagerführerem* w Sachsenhausen około Bożego Narodzenia 1939 roku.

W styczniu 1940 r. zaskoczyła nas wizyta *Reichsführera SS*, a po niej nastąpiła zmiana na stanowisku komendanta obozu.<sup>59</sup> Przyszedł Loritz. Starał się on gorliwie o to, aby obóz, w którym — zdaniem *Reichsführera SS* — przestała panować należyta dyscyplina, uczynić znowu wzorowym. Loritz to potrafił. Już raz brałem udział w tego rodzaju akcji w 1936 r. jako *Rapportführer* w Dachau.<sup>60</sup>

Nie był to przyjemny okres. Loritz wciąż deptał mi po piętach. Zwłaszcza że był bardzo zły na mnie za moje odejście w 1938 r. na stanowisko adiutanta jego najbardziej znienawidzonego przeciwnika.<sup>61</sup> Przypuszczał, że postarałem się o to przeniesienie poza jego plecami. Tak jednak nie było. Komendant w Sachsenhausen sam mnie zażądał, ponieważ wiedział, że w Dachau usunięto mnie od wszystkiego, gdyż byłem mu zbyt oddany w okresie, gdy był *Schutzhaftlagerführerem* tego obozu. Bardzo mściwy Loritz często dawał mi odczuć swą niełaskę.

Jego zdaniem w Sachsenhausen traktowano zbyt łagodnie zarówno SS-manów, jak i więźniów. Dawny Komendant Baranowski w tym czasie już nie żył, Eicke zaś, mający skutek organizowania dywizji dość pracy gdzie indziej, nie przeszkadzał Loritzowi w jego akcji. Glücks<sup>62</sup> nigdy nie sprzyjał Baranowskiemu; ponowne powołanie Loritza do obozu było mu więc na rękę. Jako nowy inspektor miał przeciw w tym „starym komendancie dobrą dla siebie podporę.

Gdy stało się aktualne zorganizowanie Oświęcimia, nie trzeba było zbyt długo rozglądać się w Inspektoracie za komendantem. Loritz mógł się mnie pozbyć i dostać *Schutzhaftlagerführera*, który by mu bardziej odpowiadał. Był to Suhren, późniejszy komendant Ravensbrück, były adiutant Loritza w ogólnej SS.<sup>63</sup>

## OBÓZ KONCENTRACYJNY W OŚWIĘCIMIU (1940—1943)

W ten sposób zostałem komendantem organizującego się obozu-kwarantanny w Oświęcimiu.<sup>64</sup>

<sup>59</sup> Chodzi o zmianę *SS-Standartenführera* Waltera Eisfelda przez *SS-Oberführera* Hansa Loritza. Patrz o tym w charakterystyce Himmlera, s. 223-224.

<sup>60</sup> W kwietniu 1936 r. przybył do Dachau Hans Loritz na miejsce komendanta *SS-Obersturmführera*. Heinricha Deubel.

<sup>61</sup> Mowa o Baranowskim.

<sup>62</sup> Richard Glücks — patrz charakterystyka na s. 277.

<sup>63</sup> *SS-Sturmbannführer* Fritz Suhren, członek NSDAP (nr 1095G1) i SS (nr 14682), został w dniu 1.9. 1942 r. komendantem obozu koncentracyjnego dla kobiet w Ravensbrück, założonego na wiosnę 1939 r.

<sup>64</sup> Potrzebę założenia obozu i wybór miejsca uzasadniono tym, że na Śląsku i w Generalnym Gubernatorstwie przybiera na sile ruch oporu, wobec czego muszą nastąpić masowe

Było to daleko, w Polsce. Tam mógł niewygodny Höss wyładować do woli swój zapal do pracy. Tak sądził Glücks, inspektor obozów koncentracyjnych. W takich okolicznościach przystąpiłem do swoich nowych zadań. Jeśli o mnie chodzi, nigdy się nie spodziewałem, że tak szybko zostanę komendantem. Kilku starych *Schutzhaftlagerführerów* już bowiem od dawna czekało na to stanowisko.

Zadanie nie było łatwe. Z istniejącego kompleksu budynków, wprowadzie pod względem budowlanym dobrze zachowanych, ale całkowicie zaniedbanych i rojących się od robactwa, musiałem w najkrótszym czasie stworzyć obóz przejściowy dla 10 000 więźniów. Pod względem higienicznym brak było wszystkiego. Już w Oranienburgu oświadczono mi przed wyjazdem, że nie mogę spodziewać się większej pomocy i muszę sobie radzić sam w miarę możliwości. Tam, w Polsce, jest jeszcze wszystko, czego w Rzeszy brakuje już od lat!

O wiele łatwiej stworzyć całkowicie nowy obóz, niż z istniejącego konglomeratu budynków i baraków nie nadających się na obóz koncentracyjny urządzić bardzo szybko coś nadającego się do użytku, i to zgodnie z otrzymanym rozkazem bez dokonywania większych przeróbek budowlanych.

Zaraz po moim przybyciu do Oświęcimia inspektor Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa we Wrocławiu<sup>65</sup> zwrócił się do mnie z pytaniem, kiedy będę mógł przyjąć pierwsze transporty więźniów.

Wiedziałem, że z Oświęcimia można by zrobić coś użytecznego tylko dzięki niestrudzonej, uporczywej pracy wszystkich, począwszy od komendanta, a skończywszy na ostatnim więźniu. Aby wprzęgnąć wszystkich do tego zadania, musiałem łamać wszystkie tradycyjne zwyczaje i nawyki obozów koncentracyjnych. Jeśli miałem wymagać od swoich żołnierzy i oficerów jak największych osiągnięć, musiałem sam dawać dobry przykład. Kiedy budzono SS-mana, wstawałem także i ja. Byłem już w ruchu, zanim on rozpoczynał swą służbę, późno wieczorem udawałem się na spoczynek. Mało było w Oświęcimiu takich nocy, w których nie byłem niepokojony wezwaniami telefonicznymi dotyczącymi szczególnych wydarzeń. Jeśli chciałem, aby więźniowie osiągnęli w pracy

aresztowania i istniejące obozy koncentracyjne będą niewystarczające. W Oświęcimiu znajdują się koszary, w których zaraz można osadzić więźniów. Są one położone poza obszarem zwartej zabudowy miasta, w rozwidleniu rzek Wisły i Soły, co umożliwi rozbudowę obozu oraz odcięcie go od świata zewnętrznego. Ponadto podnoszono, że Oświęcim ma dogodne połączenie kolejowe ze Śląskiem, Generalnym Gubernatorstwem, Czechosłowacją i Austrią (dr J. Sehn: Obóz koncentracyjny Oświęcim-Brzezinka, s. 13-14).

<sup>65</sup> Inspektor Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa (*Sipo und SD*) we Wrocławiu, do którego kompetencji należał również „włączony” okręg rządowy w Katowicach, był miejscowym przedstawicielem RSHA. W tym charakterze był on współuprawnionym do osadzania więźniów (*Einweisung*) w obozie oświęcimskim, położonym w tym okręgu. W 1940 r. inspektorem we Wrocławiu był *SS-Oberführer* A. Wigand (ur. 13.1.1906 r.), członek NSDAP (nr 30682) i SS (nr 2999).

dobre wyniki, musieli oni być lepiej traktowani, wbrew powszechnie stosowanej praktyce. Przypuszczałem, że uda mi się zapewnić dla nich lepsze pomieszczenie i lepsze wyżywienie niż w starych obozach.

Wszystko to, co — według mego poglądu — wydawało mi się tam niesłuszne, chciałem tutaj urządzić inaczej. Sądziłem w związku z tym, że pozyskam także więźniów do chętnego wykonywania pracy. Założenia te kazały mi wymagać również od więźniów największych wysiłków. Liczyłem na to z całą pewnością.

Już w pierwszych miesiącach — mogę powiedzieć nawet, że w pierwszych tygodniach — spostrzegłem jednak, że cała dobra wola, wszystkie najlepsze zamiary muszą się rozbić o opór większości przydzielonych mi oficerów i szeregowców SS i o ich małą wartość jako ludzi. Starłem się za pomocą wszystkich środków będących w mojej dyspozycji przekonać ogół współpracowników o tym, czego chcę i do czego zmierzam, usiłowałem im wyjaśnić, że tylko w ten sposób możemy osiągnąć owocną współpracę całego zespołu i spełnić postawione nam zadanie. Stracone zachody miłosne!

Na „starych” funkcjonariuszy obozowych wieloletnie „szkolenie” Eickego, Kocha i Loritza wywarło głęboki wpływ, przeszło im w ciało i krew do tego stopnia, że nawet ci spośród nich, którzy mieli najlepszą wolę, już po prostu nie potrafili postępować inaczej, niż postępowali dotychczas w ciągu tych wszystkich lat w obozach koncentracyjnych. „Nowi” uczyli się szybko od „starych”, niestety, nie tego jednak, co było najlepsze.

Wszystkie starania w Inspektoracie Obozów Koncentracyjnych, aby uzyskać dla Oświęcimia co najmniej kilku dobrych oficerów i podoficerów SS, spełzły na niczym. Glücks po prostu nie chciał tego. Tak samo było z więźniami funkcyjnymi. *Rapportführer* Palitzsch<sup>66</sup> miał wyszukać trzydziestu odpowiednich przestępców zawodowych wszystkich zawodów (RSHA nie zwolnił dla Oświęcimia więźniów politycznych).<sup>67</sup> Spośród więźniów w Sachsenhausen, którymi mógł dysponować, wybrał trzydziestu według swego uznania najlepszych. Nawet dziesięciu nie nadawało się do tych funkcji, jeżeli wziąć pod uwagę moje zamiary. Palitzsch kierował się własnym pojęciem o traktowaniu więźniów tak, jak go nauczono i do czego się przyzwyczył. Całe jego usposobienie nie pozwalało mu postępować inaczej.

W ten sposób założenia, na których opierać się miała rozbudowa obo-

<sup>66</sup> Gerhard Palitzsch

<sup>67</sup> Było to zasadą. Jako ekipy założycielskie ze starych obozów do nowych wysyłano „najbardziej zahartowanych” złoczyńców. Ekipy takie poszły z Sachsenhausen do Buchenwaldu, z Buchenwaldu do Mauthausen i Flossenbürga. Podobnie obóz kobiecy w Oświęcimiu „zakładały” więźniarki z Ravensbrück.



zu, były od początku chybione. Od początku wprowadzono zasady, które później miały wywołać wręcz niesamowite skutki. Mimo to można je było złagodzić lub ominąć, gdyby *Schutzhaftlagerführerzy*<sup>68</sup> i *Rapportführerzy* zastosowali się do mojej woli i moich poglądów. Nie chcieli, a nawet nie byli w stanie tak postępować z powodu ograniczenia, uporu i złośliwości, a w niemałym stopniu także i lenistwa. Dla nich tego rodzaju kreatury były właśnie odpowiednie, odpowiadały ich usposobieniu i zapatrywaniom.

Właściwe rządy w obozie sprawuje *Schutzhaftlagerführer*, chociaż i komendant wyciska swoje piętno na kształtowaniu się życia więźniów, występując na widownię w większym lub mniejszym stopniu, zależnie od swej energii i zainteresowania. Komendant nadaje wprawdzie ogólny kierunek i jest ostatecznie za wszystko odpowiedzialny, ale prawdziwym władcą, który rzeczywiście panuje nad całym życiem więźniów i wewnętrznym kształtowaniem się stosunków w obozie, jest *Schutzhaftlagerführer* albo *Rapportführer*, jeśli jest człowiekiem inteligentnym i silnej woli.

Komendant wydaje wytyczne i zarządzenia dotyczące ogólnego kształtowania się życia więźniów w myśl założeń, jakie uważa za słuszne, ale to, jak to zostanie wykonane, zależy tylko i wyłącznie od kierownictwa obozu. Komendant jest całkowicie uzależniony od ich dobrej woli i rozsądku, chyba że sam, przejmie ich funkcje, jeśli im nie ufa lub też uważa ich za nie nadających się do pracy. Tylko to dawałoby mu gwarancję, że wskazówki i rozkazy zostaną wykonane w myśl jego intencji.

Nawet dowódcy pułku trudno jest dowiedzieć się, czy jego rozkazy zostały wykonane w całej pełni zgodnie z intencjami, zwłaszcza gdy chodzi o sprawy wykraczające poza ramy spraw codziennych. O ileż trudniej jest dowiedzieć się komendantowi obozu, czy jego rozkazy dotyczące więźniów, często o doniosłym znaczeniu, zostały właściwie zrozumiane i dokładnie wykonane. Najczęściej kontrola nad sprawowaniem władzy nad więźniami jest niemożliwa. Komendant ze względów prestiżowych i dyscyplinarnych nie może wypytywać więźniów o ich przełożonych z SS, poza skrajnymi przypadkami, gdy chodzi o zbadanie dokonanego przestępstwa. Nawet wówczas jednak więźniowie niemal bez wyjątku o niczym nie wiedzą albo też dają wymijające odpowiedzi w obawie przed represjami.

Poznałem te sprawy aż nazbyt dobrze w Dachau i Sachsenhausen, gdy byłem *Blockführerem*, *Rapportführerem* i *Schutzhaftlagerführerem*

<sup>68</sup> Ze względu na wielkość obozu oświęcimskiego miał on jednocześnie pierwszego i drugiego *Schutzhaftlagerführera*. Pierwszymi byli kolejno *SS-Hauptsturmführerzy*: Kart Fritsch (do końca 1941 r.) i Hans Aumeier (od stycznia 1942 r. do 18. 8. 1943 r.), drugimi - *SS-Hauptsturmführerzy* Max Meier i Fritz Seidler.

rem. Wiem dobrze, jak w obozie zmienia się, a nawet całkowicie przekręca niewygodne rozkazy w sposób nieuchwytny dla rozkazodawcy.

Upewniłem się wkrótce w Oświęcimiu, że i tutaj tak będzie. Radykalna zmiana mogłaby nastąpić tylko po natychmiastowym zwolnieniu wszystkich osób z kierownictwa obozu. Tego nigdy nie udało się uzyskać w Inspektoracie Obozów Koncentracyjnych. Nie byłem w stanie osobiście dopilnować, jak w szczegółach wykonywano moje rozkazy, chyba że zaniechałbym głównego zadania — stworzenia w najkrótszym czasie obozu nadającego się do użytku — i zacząłbym sam grać rolę *Schutzhaftlagerführera*.

Właśnie w tym pierwszym okresie funkcjonowania obozu powinienem był nieustannie być w obozie ze względu na mentalność jego kierownictwa. Musiałem jednak prawie stale przebywać poza jego obrębem ze względu na to, że większość personelu wszystkich stopni służbowych nie miała kwalifikacji do załatwiania bieżących spraw.

Aby w ogóle uruchomić obóz i zapewnić mu wyżywienie, musiałem prowadzić narady z urzędami gospodarczymi, ze starostą i prezydentem rejencji. Ponieważ mój *Verwaltungsführer* był skończonym głupcem, musiałem zamiast niego odbywać wszystkie konferencje w sprawie wyżywienia załogi i więźniów, dostawy chleba, mięsa czy ziemniaków. Musiałem nawet jeździć na wieś w poszukiwaniu słomy.

Ponieważ nie mogłem liczyć na żadną pomoc Inspektoratu Obozów Koncentracyjnych, musiałem sam, sobie radzić: wyłudzić podstępnie samochody osobowe i ciężarowe, potrzebne do nich materiały pędne, jeździć do Rabki i Zakopanego po kotły do kuchni więźniów, a w Sudety po łóżka i sienniki. Musiałem wyjeżdżać z kierownikiem budowy na poszukiwania najbardziej potrzebnych materiałów, ponieważ sam nie umiał ich zdobyć.

Tymczasem w Berlinie wciąż jeszcze trwały spory kompetencyjne w sprawie rozbudowy Oświęcimia. Zgodnie z umową cały obiekt należał do wojska i został odstąpiony SS tylko na okres wojny.<sup>69</sup>

RSHA, dowódca Policji Bezpieczeństwa w Krakowie i inspektor Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa we Wrocławiu<sup>70</sup> wciąż zapypywali, kiedy będziemy mogli przyjąć większe kontyngenty więźniów, ja zaś nie wiedziałem jeszcze, skąd zdobyć choćby 100 metrów drutu

<sup>69</sup> Patrz IMT, t. XXXVI,

<sup>70</sup> Oprócz RSHA i jego dla Oświęcimia miejscowo właściwego przedstawiciela, inspektora Sipo i SD we Wrocławiu, istotny wpływ na osadzanie więźniów w obozie oświęcimskim miał Dowódca Policji Bezpieczeństwa (BdS) w Krakowie, *SS-Brigadeführer* Bruno Streckenbach. Kompetencje BdS, któremu podlegali Komandorzy Sipo i SD w Krakowie, Lublinie, we Lwowie, Radomiu i w Warszawie, rozciągały się na obszar całego tzw. Generalnego Gubernatorstwa i były znacznie większe niż kompetencje inspektorów Sipo i SD w Rzeszy. W GG inspektorów nie było. Patrz J. Sehn: Organizacja policji niemieckiej w Rzeszy i w Generalnej Gubernii, Biuletyn III GKBZH, 1947, s. 175.

kolczastego. W Gliwicach leżały stosu drutu kolczastego w magazynie saperów, ale nie mogłem niczego dostać, gdyż należało uzyskać najpierw zezwolenie w sztabie wojsk saperskich w Berlinie. Ponieważ Inspektoratu Obozów Koncentracyjnych nie można było skłonić do interwencji, musiałem ukraść pewną ilość potrzebnego mi drutu. Kazałem rozmontowywać resztki umocnień polowych i rozbijać bunkry, aby zdobyć żelazo zbrojeniowe. Gdy tylko natrafiałem na zmagazynowany, a bardzo potrzebny mi materiał, kazałem go po prostu zabierać, nie troszcząc się o kompetencje. Miałem przecież sam sobie radzić.

Jednocześnie z tym odbywało się wysiedlanie pierwszej strefy wokół terenu obozu i zaczynało prace w drugiej strefie.<sup>71</sup> Musiałem się troszczyć o wykorzystanie uzyskanego w ten sposób obszaru.

W końcu listopada 1940 r. nastąpił pierwszy meldunek u *Reichsführera SS* i wydany został rozkaz rozszerzenia obszaru obozu. Myślałem, że w związku z budową i rozbudową właściwego obozu mam aż nazbyt dużo pracy, tymczasem pierwszy raport zapoczątkował nie kończący się łańcuch wciąż nowych poleceń i planów.

Od początku byłem całkowicie pochłonięty — wprost opętany — moim zadaniem i otrzymanym poleceniem. Wyłaniające się trudności podniecały jeszcze mój zapał. Nie chciałem kapitulować, nie pozwalała mi na to moja ambicja. Widziałem wciąż tylko swoją pracę.

Mając tak wiele różnorodnej pracy, mało czasu mogłem poświęcić życiu w obozie i samym więźniom. Jest to aż nazbyt zrozumiałe. Musiałem pozostawić całkowicie więźniów takim ujemnym pod każdym względem typom, jak Fritzsch, Meier,<sup>72</sup> Seidler,<sup>73</sup> Palitzsch, chociaż wiedziałem, że nie urządzią oni obozu dla więźniów według mojej woli i moich zamiarów. Mogłem jednak poświęcić się tylko jednemu zadaniu: albo tylko zająć się więźniami, albo z całą energią pracować nad budową i roz-

<sup>71</sup> Tzw. przez Hössa pierwsza strefa obozu zajmowała tereny położone najbliżej budynków dawnych koszar wojskowych i Polskiego Monopolu Tytoniowego, gdzie osadzono pierwszych więźniów. W czerwcu 1940 r. z pierwszej strefy wysiedlono około 2 000 mieszkańców zajmujących baraki położone obok bocznic kolejowej PMT. Druga strefa obejmowała dzielnicę Oświęcimia zwaną Zasole. W listopadzie 1940 r. wysiedlono z niej wszystkich mieszkańców, a większość ich domów zburzono. Wreszcie trzecia strefa obejmowała wsie Babice, Budy, Rajsko, Brzezinkę, Broszkowice, Pławy I Harmęże. Ludność zamieszkującą te wsie wysiedlono w końcu 1940 r. Większą część zabudowań stopniowo rozebrano. Cały wysiedlony obszar zwany strefą interesów (*Interessengebiet*) obozu zajmował około 40 km<sup>2</sup> powierzchni.

Granice tej strefy uzasadniano względami natury organizacyjnej i ekonomicznej, a konieczność wysiedlenia ludności — przede wszystkim względem na bezpieczeństwo obozu. Strefa interesów obozu oświęcimskiego tworzyła wydzielony okręg administracyjny (*Amtsbezirk*). Na jego czele stał komendant obozu jako *Amtskommissar*. Do jego kompetencji należały wszystkie sprawy administracyjne i policyjne łącznie ze sprawami stanu cywilnego, dla których okręg miał własny urząd (*Standesamt Auschwitz II*). Patrz dr J. Sehn: : Obóz koncentracyjny Oświęcim-Brzezinka, s. 15-17.

<sup>72</sup> Max Meier.

<sup>73</sup> *SS-Hauptsturmführer* Fritz Seidler (ur. 18. 7. 1907 r.), członek NSDAP (nr 3693999) i SS (nr 135387).

budową obozu. Każde z tych zadań wymagało pełnego wysiłku i całkowitego oddania się. Były one niepodzielne.

Moim zadaniem była jednak i pozostała na stałe budowa i rozbudowa obozu. Z biegiem lat przybyło jeszcze wiele innych zadań, lecz moje główne zadanie, które mnie całkowicie absorbowало, pozostało bez zmian. Jemu poświęciłem, wszystkie swoje myśli i starania jemu musiały zostać podporządkowane wszystkie inne sprawy. Tylko z tego punktu widzenia kierowałem całością spraw i widziałem wszystko tylko pod tym kątem.

Glücks mówił mi nieraz, że moim największym błędem jest to, iż wszystko robię sam, zamiast pozwolić pracować moim podwładnym. Należy się pogodzić z błędami, które popełniają na skutek swej nieudolności; nie zawsze wszystko może przebiegać tak, jak by sobie człowiek tego życzył. Nie uznał mojego zarzutu, że w Oświęcimiu mam bezsprzecznie najgorszy materiał, jeśli chodzi o oficerów i podoficerów SS, że nie tylko ich nieudolność, lecz w wyższym jeszcze stopniu świadome niedbalstwo i zła wola zmuszają mnie do tego, abym sam załatwiał najważniejsze i najpilniejsze sprawy.

Jego zdaniem komendant powinien ze swego gabinetu kierować całym obozem i za pomocą rozkazów i telefonu trzymać obóz w garści. Wystarczy w zupełności, jeśli od czasu do czasu przejdzie się po obozie. O święta naiwności! Tego rodzaju pogląd tłumaczy się tylko tym, że Glücks sam nigdy nie pracował w żadnym obozie. Dlatego nigdy nie mógł zrozumieć i pojąć moich trudności.

Ten brak zrozumienia ze strony moich przełożonych doprowadzał mnie niemal do rozpacz. Wkładałem w moje zadanie całą umiejętność, całą wolę, całkowicie się mu poświęciłem, a Glücks widział w tym tylko kaprys i zabawę. Miałem, jego zdaniem, zbyt maniacki stosunek do mego zadania i nie widziałem nic więcej.

Po wizycie *Reichsführera SS* w marcu w 1941 r., która pociągnęła za sobą nowe, większe zadania, lecz nie dała mi żadnej pomocy w najpilniejszych sprawach, straciłem resztę nadziei na uzyskanie lepszych, bardziej godnych zaufania współpracowników. Musiałem się pogodzić z dotychczasowymi „wielkościami” i dalej się martwić z ich powodu. Miałem przy sobie zaledwie kilku rzeczywiście dobrych, godnych zaufania współpracowników, którzy jednak nie zajmowali, niestety, odpowiedzialnych stanowisk. Musiałem, ich przeciążać pracą i często przekonywałem się za późno o tym, że zbyt wielkie obciążenie obowiązkami jest szkodliwe.

Otoczony ludźmi nie zasługującymi na zaufanie, stałem się w Oświę-

cimiu innym człowiekiem. Dotychczas widziałem zawsze w ludziach, zwłaszcza w kolegach, tak długo tylko dobre strony, aż się nie przekonałem o czymś przeciwnym. Moja dobra wiara często płatała mi złośliwe figle. W Oświęcimiu zmieniłem się; widziałem, jak moi tzw. współpracownicy oszukują mnie na każdym kroku, codziennie przeżywałem nowe rozczarowania. Stałem się podejrzliwy, widziałem wszędzie tylko chęć wprowadzenia mnie w błąd, tylko najgorsze rzeczy. W każdym nowo poznanym osobniku dopatrywałem się z góry zła. W ten sposób dotknąłem i zraziłem sobie wielu dzielnych i przyzwoitych ludzi.

Koleżeństwo, które dotychczas było dla mnie tak święte,<sup>75</sup> stało się rzeczą śmieszną właśnie dlatego, że starzy koledzy tak mnie rozczarowali i oszukali. Nabrałem, wstrętu do wszelkich zebrań koleżeńskich. Wciąż odraczałem, takie spotkania koleżeńskie i byłem zadowolony, gdy mogłem znaleźć jakiś odpowiedni powód, aby usprawiedliwić swą nieobecność. Koledzy robili mi zarzuty z powodu tego zachowania. Także i Glücks zwracał mi wielokrotnie uwagę, że w Oświęcimiu nie ma więzi koleżeńkiej między komendantem a jego oficerami. Po prostu nie byłem już do tego zdolny, byłem zbyt rozczarowany.

Coraz bardziej zamykałem się w sobie, stawałem się niedostępny i z każdym dniem twardszy. Moja rodzina, zwłaszcza żona, cierpiała z tego powodu; bywałem wręcz nieznośny. Nie widziałem już nic poza swoją pracą i swym zadaniem. Wszystkie ludzkie odruchy zostały przez to wyparte. Żona usiłowała wyrwać mnie z tego zasklepienia się w sobie, próbowała zapraszać naszych dobrych znajomych i wespół z moimi kolegami doprowadzić mnie do tego, abym nie zamykał się przed nimi. Organizowała w tym samym celu spotkania poza domem, jakkolwiek takie życie towarzyskie odpowiadało jej równie mało, jak i mnie. Na jakiś czas byłem wyrywany z mojego świadomego samotnictwa, jednakże nowe rozczarowania zapędzały mnie szybko z powrotem za moją szklaną ścianę.

Nawet ludzie postronni ubolewali bardzo nad moim zachowaniem. Jednak nie chciałem już postępować inaczej. Wskutek nieustannych rozczarowań stałem się pod pewnym względem mizantropem. Zdarzało się

<sup>75</sup> M. Broszat pisze na temat pojmowania koleżeństwa przez Hössa między innymi, co następuje: „Do istoty koleżeństwa należy to, że (...) nie opiera się ono na momentach osobistych i indywidualnych, lecz bywa określane przez przyjętą sytuację grupy, przez każdorazową «akcję» (*«Einsatz»*) i że darzy się nim bez różnicy każdego, kto «należy do tego». Koleżeństwo jest nakazem i obowiązkiem i nie wymaga wdawania się w przymioty osobiste i indywidualne partnera, lecz wprost przeciwnie niż przyjaźń obowiązuje bez względu na osobę. Przynależność Hössa do różnych ugrupowań koleżeńskich, czy to będzie oddział wojskowy, korpus ochotniczy, czy też SS ułatwiona przez zerwanie z rodziną i ze środowiskiem mieszczańskim po I wojnie światowej, stała się stylem jego życia i może być słusznie tłumaczona jako ucieczka od cywilnej egzystencji samodzielnej jednostki między innymi jednostkami" (M. Broszat: *Wstęp do edycji „Kommandant in Auschwitz”*, s. 20).

miał się stać potężną centralą zbrojeniową. Oświadczenia Himmlera z okazji wizyty w marcu 1941 r. nie pozostawiały pod tym względem, żadnych wątpliwości. Obóz dla 100 000 jeńców wojennych, rozbudowa starego obozu na 30 000 więźniów, przygotowanie dla *Buny* 10 000 więźniów — to mówiło samo za siebie.<sup>77</sup> W owym czasie były to liczby zupełnie nie znane w historii obozów. Już obóz liczący 10 000 więźniów uchodził wówczas za niezwykle duży.

Czujność moją wzmógł nacisk *Reichsführera SS* na możliwie jak najszybsze i najbardziej bezwzględne prowadzenie budowy obozu oraz jego niezważanie na powstające trudności i istniejące niedomagania, niemalże nie do usunięcia. Sposób, w jaki załatwił się z bardzo istotnymi zarzutami *Gauleitera* i prezydenta rejencji, kazały przypuszczać coś niezwykłego.

Przyzwyczailem się już do wielu rzeczy zarówno w SS, jak i u *Reichs-*

Dokumenty z przełomu lat 1942—1943 „o wzmożonym kierowaniu do obozów” dowodzą, że program wykorzystania tych sił w produkcji zbrojeniowej został zainicjowany przez przedsiębiorców. Potwierdzają to następujące autorytatywne wypowiedzi: „Prawie wszystkie przedsiębiorstwa zbrojeniowe zwracały się do mojego urzędu o przydział sił roboczych z obozów koncentracyjnych, a większość tych, które je zatrudniały, domagała się stale zwiększenia liczby zatrudnionych u nich więźniów” (Pohl). „Kierownicze osobistości ze sfer przemysłowych stale podkreślały podczas moich podróży służbowych, że chcą mieć więcej więźniów” (Höss). „Największym pracodawcą zatrudniającym więźniów obozów koncentracyjnych była *IG-Farbenindustrie*, której Himmler przyznał pierwszeństwo przed wszystkimi innymi przedsiębiorstwami” (Pohl). Por. dr J. Sehn: *Obóz koncentracyjny Oświęcim-Brzezinka*, s. 64 i n.

<sup>77</sup> Himmler odwiedził obóz oświęcimski po raz pierwszy w dniu 1 marca 1941 r. Po szczegółowej inspekcji rozkazał powiększyć obóz do rozmiarów opisanych przez Hössa. Budowę obozu w Brzezince rozpoczęto w październiku 1941 r. na podstawie dokumentacji opracowanej przez *Amtsgruppe C* (budownictwo) WVHA, w której zaplanowano obóz o 600 barakach dla 200 000 więźniów. Zburzono zagrody wysiedlonej już Brzezinki i zużyto materiał rozbiórkowy do budowy pól a i b późniejszego obozu kobiecego (odcinek B I). Następnie zbudowano odcinek B U i przystąpiono do budowy odcinka B III. Te trzy odcinki były obliczone na 140 000 więźniów. Czwarty odcinek, przeznaczony dla 60 000 więźniów, pozostał w planach. Było to duże miasto o 250 prymitywnych barakach z cegły lub z desek, zajmujące powierzchnię 175 ha.

Jeszcze przed urządzeniem obozu w Brzezince, bo od wiosny 1941 r., zaczęto zatrudniać więźniów oświęcimskich przy budowie dla koncernu *IG-Farbenindustrie A. G.* zakładów *Buna-Werke* w Monowicach, odległych od obozu oświęcimskiego o 7 km. O wyborze tego miejsca zdecydowało także bezpośrednie sąsiedztwo obozu, którego więźniowie stanowili niewyczerpany rezerwuar taniej niewolniczej siły roboczej (patrz wyrok Amerykańskiego Trybunału Wojkowego w Norymberdze w procesie *IG-Farbenindustrie* z dnia 29. 7. 1948 r.). Początkowo więźniowie dochodzili do pracy „na Bunie” pieszo, a następnie na żądanie koncernu zbudowano tam i uruchomiono w październiku 1942 r. koncentracyjny obóz pracy zwany *Lager IV*. Koncern *IG-Farbenindustrie* zatrudniał więźniów obozu oświęcimskiego ponadto w kopalniach *Fürstengrube* i *Janinagrube* (po sierpniu 1943 r.) oraz *Hydrierwerke Heydebreck*. Do tego ostatniego dochodzili więźniowie z oświęcimskiego podobozu *Blechhammer* (od 1. 4. 1844 r.). We wszystkich tych miejscowościach istniały poprzednio żydowskie (*Heydebreck*) albo jenieckie (*Fürstengrube* i *Janinagrube*) obozy pracy przymusowej, które zostały przejęte przez obóz oświęcimski jako jego podobozы (*Heydebreck*) lub zamienione na takie podobozы (*Fürstengrube* i *Janinagrube*). W pierwszym wypadku przejęto przeszło 3 000 Żydów w stan liczbowy i ewidencję więźniów (nr od 176512 do 179567), a obóz w *Blechhammer* jako podobóz obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. W dwu dalszych wypadkach wycofano z obozu w *Fürstengrube* i *Janinagrube* jeńców i osadzono tam na ich miejsce więźniów Żydów z obozu oświęcimskiego. Patrz J. Sehn: *Sprawa odszkodowań dla ofiar hitleryzmu, „Zeszyty Oświęcimskie” 1958, nr 3.*

*führera*. A jednak ten surowy i nieubłagany sposób, w jaki Himmler domagał się najszybszego wykonania swych obecnych rozkazów, był u niego czymś nowym. Nawet i Glücks to zauważył. Za to wszystko odpowiedzialny byłem jedynie i wyłącznie ja sam. Z niczego i bez niczego wybudować jak najszybciej (wedle ówczesnych pojęć) coś olbrzymiego — z takimi „współpracownikami”, bez żadnej istotnej pomocy przełożonych, po dotychczasowych doświadczeniach.

A jak wyglądała sprawa moich sił roboczych? Co uczyniono tymczasem z obozu więźniów? Kierownictwo obozu dołożyło wszelkich starań, aby w traktowaniu więźniów zachować tradycje Eickego. Dachau — Fritsch oraz Sachsenhausen — Palitzsch, poza tym jeszcze Buchenwald — Meier starali się prześcigać nawzajem w stosowaniu „lepszych metod”. Nie wierzyli mi, gdy wciąż wskazywałem, że metody Eickego są już od dawna przestarzałe ze względu na przeobrażenie obozów koncentracyjnych. Z ograniczonych mózgów tych ludzi nie można było wyplenić wyszkolenia, które otrzymali od Eickego. Odpowiadało ono zresztą bardziej ich mentalności. Moje rozkazy i zarządzenia stojące w sprzeczności z tym wyszkoleniem były przez nich przeinaczane. Nie ja bowiem, lecz oni nadawali ton obozowi; oni wychowywali więźniów funkcyjnych — od starszego obozu aż do ostatniego pisarza na bloku; oni wychowywali *Blockführerów* i pouczali ich, jak się mają obchodzić z więźniami.

Lecz o tym już dość powiedziałem i napisałem. Wobec biernego oporu byłem bezsilny. Zrozumiałe i wiarygodne jest to tylko dla kogoś, kto sam w ciągu lat pełnił służbę w obozie koncentracyjnym.

Już przedtem pisałem, jaki wpływ mieli na innych więźniów więźniowie sprawujący funkcje przełożonych. W obozie koncentracyjnym występowało to szczególnie wyraźnie. W olbrzymiej masie więźniów obozu Oświęcim—Brzezinka był to czynnik o decydującym znaczeniu. Zdawałoby się, że jednakowy los i wspólne cierpienie powinny prowadzić do niezniszczalnej, nierozzerwalnej wspólnoty, do niezłomnej solidarności. Nic błędniejszego. Nigdzie bezwstydnego egoizmu nie ujawnia się w sposób tak jaskrawy, jak w niewoli; im twardsze w niej życie, tym bardziej rażące jest egoistyczne zachowanie się wynikające z instynktu samozachowawczego. Nawet natury, które w normalnym życiu były dobrotliwe i chętnie śpieszyły innym z pomocą, potrafią w ciężkim więzieniu bezlitośnie tyranizować swych współtowarzyszy, jeżeli mogą dzięki temu odrobinę znośniej ukształtować swoje życie. Tym bardziej bez serca postępują ci, którzy z natury są egoistyczni, zimni lub mają skłonności przestępcze; niemilosiernie przechodzą do porządku nad niedolą swych współtowarzyszy, aby osiągnąć najdrobniejszą korzyść.

Więźniowie, których wrażliwości nie zabiła jeszcze brutalność obozowego życia, przechodzą niewypowiedziane cierpienia psychiczne wskutek

ordynarnego i nikczemnego postępowania, pomijając już fizyczne skutki takiego traktowania. Żadna, nawet najgorsza samowola, nawet najgorsze traktowanie przez dozorców nie dotyka ich tak boleśnie i nie rani tak dotkliwie jak złe ustosunkowanie się do nich współwięźniów. Druzgocąco na ich psychikę działa właśnie to, że bezsilni i bezradni muszą się przyglądać, jak tacy więźniowie sprawujący funkcje przełożonych dręczą swych towarzyszy. Biada więźniowi, który się przed tym broni lub wstawia się za pokrzywdzonymi. Terror osobników sprawujących władzę wewnątrz obozu jest zbyt silny, aby ktoś mógł się na to odważyć.

Dlaczego więźniowie na stanowiskach przełożonych, więźniowie funkcyjni traktują w ten sposób innych więźniów, towarzyszy niedoli? Postępują tak, ponieważ chcą przedstawić się w korzystnym świetle strażnikom i dozorcóm o podobnym sposobie myślenia, ponieważ chcą pokazać, jak dziarsko potrafią postępować, ponieważ mogą w ten sposób osiągnąć korzyści i przyjemniej ułożyć sobie życie — zawsze jednak kosztem współwięźniów. Tego rodzaju postępowanie i działanie umożliwia im dozorca, strażnik, który albo przygląda się temu z własnej wygody obojętnie, albo sam pochwała tego rodzaju postępowanie z niskich pobudek, ze złej woli, a nawet je prowokuje, gdyż sprawia mu szatańską radość, gdy może „podszczuwać” jednych więźniów przeciwko innym.

Wśród więźniów sprawujących funkcje przełożonych dość jest jednak i tego rodzaju kreatur, które dręczą współwięźniów fizycznie i psychicznie na skutek swego chamskiego, brutalnego i podłego usposobienia oraz zbrodniczych skłonności, a nawet swoim sadyzmem potrafią ich zaszczyć na śmierć. Właśnie w czasie mego obecnego aresztu miałem dotychczas i mam ciągle jeszcze dość sposobności, aby w wym. maleńkim polu widzenia obserwować, jak wciąż na nowo, choć w mniejszej skali, potwierdza się to, co właśnie powiedziałem.

Nigdzie prawdziwy „Adam”<sup>78</sup> nie ujawnia się tak jak w niewoli. Wszystko, co zostało zdobyte przez wychowanie, wszystko nabyte, wszystko, co nie należy do jego istoty, opada z niego. Więzienie zmusza go z biegiem czasu do zaprzestania wszelkiego udawania, wszelkiej zabawy w chowanego. Człowiek ujawnia się w całej swej nagości, taki, jaki jest w rzeczywistości — dobry albo zły.

Jak oddziaływało życie więzienne w Oświęcimiu na poszczególne kategorie więźniów?

Dla *Reichsdeutschów*, bez względu na kolor *winkla*, życie więzienne nie było problemem. Zajmowali niemal bez wyjątku „wysokie” stanowiska i posiadali wskutek tego wszystko, co niezbędne do potrzeb ciała. „Organizowali”<sup>79</sup> to, czego nie dostawali w zwykły sposób. Ta „możność

<sup>78</sup> Określenia *Adam* używa tu Höss w znaczeniu: *pierwotny człowiek*.

<sup>79</sup> *Organizować* — oznaczało w gwarze obozowej: zdobywać.



zorganizowania" istniała w Oświęcimiu dla wszystkich wysoko postawionych funkcjonariuszy bez względu na barwę winkła i na narodowość. O powodzeniu decydowała tylko inteligencja, odwaga, ryzyko i brak skrupułów. Okazji nie brakowało nigdy. Po rozpoczęciu akcji żydowskiej nie było już właściwie nic, czego by nie można było „zorganizować”. Wysoko postawieni więźniowie funkcyjni mieli również niezbędną do tego swobodę ruchów.

Główny kontyngent obozu stanowili aż do początku 1942 r. polscy więźniowie.<sup>80</sup> Wszyscy oni wiedzieli, że muszą pozostać w obozie koncentracyjnym przynajmniej do końca wojny. Większość z nich wierzyła, że Niemcy przegrają wojnę; po Stalingradzie wierzyli w to wszyscy. Mając wiadomości pochodzące od nieprzyjaciela, byli dokładnie zorientowani w prawdziwym położeniu Niemiec. Słuchanie wiadomości nieprzyjacielskich nie było trudne; nie brakowało w Oświęcimiu sprzętu radiowego. Nawet w moim domu słuchano wiadomości radiowych. Poza tym było dość sposobności do przemykania na szeroką skalę listów za pośrednictwem robotników cywilnych, a nawet SS-manów. Było więc dość źródeł wiadomości. Także nowo przybywający więźniowie przywozili najświeższe nowiny. Ponieważ według nieprzyjacielskiej propagandy klęska mocarstw „osi” była tylko kwestią czasu, polscy więźniowie nie mieli powodu do rozpaczki, jeśli rozpatrywać to z tego punktu widzenia.

Pytano się tylko, kto będzie miał szczęście przetrwania obozu. I ta niepewność sprawiała, że pobyt w obozie był dla Polaków tak ciężki pod względem psychicznym. Dołączał się do tego lęk przed przypadkowymi wydarzeniami, które mogły codziennie każdego spotkać. Mógł paść ofiarą choroby epidemicznej, której nie był w stanie fizycznie przetrzymać; mógł zostać nieoczekiwanie rozstrzelany albo powieszony jako zakładnik; mógł być nieoczekiwanie wezwany przed sąd doraźny i skazany na śmierć w związku z ruchem oporu; mógł być zlikwidowany w wyniku represji; mógł go spotkać śmiertelny wypadek przy pracy spowodowany przez kogoś źle mu życzącego; mógł wreszcie umrzeć wskutek skatowania albo z powodu podobnych wypadków, na które był nieustannie narażony.

Pytanie napawające go lękiem: czy zdoła przetrwać obóz fizycznie przy coraz gorszym odżywianiu, w coraz bardziej przepelnionych pomieszczeniach, pogarszających się warunkach higienicznych, często bę-

<sup>80</sup> Ten „polski” charakter obozu utrzymał się do końca, mimo poważnych zmian w składzie osobowym obozu. Wprawdzie od 1942 r. Żydzi z innych krajów stanowili ilościowo główny kontyngent więźniów, zwłaszcza w Brzezince i wszystkich podobozach. Jednakże Polacy byli w Oświęcimiu na swojej ziemi i wśród swej ludności. Wynikające z tego możliwości wykorzystywali Polacy w interesie ogółu więźniów w ramach demokratycznego Ruchu Oporu, zorganizowanego na platformie międzynarodowej.

dać narażonym podczas ciężkiej pracy na wszelkiego rodzaju działania atmosferyczne.

Do tego dołączała się stała troska o rodzinę, o krewnych. Czy znajdowali się wciąż jeszcze na miejscu? Czy nie zostali również aresztowani lub zesłani gdzieś do pracy? Czy w ogóle jeszcze żyli?

Wielu nęciła ucieczka, aby się wyrwać z tego nędznego bytowania. W Oświęcimiu było to nietrudne: istniały niezliczone możliwości ucieczki. Można było łatwo stworzyć sobie do tego odpowiednie warunki; można było zmylić czujność strażników, wystarczyło trochę odwagi i odrobina szczęścia. Gdy się jednak stawia wszystko na jedną kartę, należy się również liczyć z możliwością niepowodzenia, z tym, że może się to skończyć śmiercią.

Myślom o ucieczce stały jednak na przeszkodzie represje: aresztowanie rodzin, likwidowanie po dziesięciu albo i więcej towarzyszy niedoli. Wielu uciekających nie troszczyło się zbyt o represje — ryzykowali ucieczką mimo to. Gdy znajdowali się już poza łańcuchem straży, pomagała im okoliczna ludność. Potem wszystko już szło gładko. Jeśli mieli pecha, wszystko się skończyło. I tak, i tak zginę — oto było ich hasło.<sup>81</sup>

Ich towarzysze niedoli, współwięźniowie musieli maszerować w szeregach obok zwłok więźnia zastrzelonego podczas ucieczki, aby wiedzieli, czym może się skończyć ucieczka. Widok ten wprawdzie wielu odstraszał, ale ludzie twardzi decydowali się na ryzyko mimo wszystko. Mogli mieć szczęście i należeć do tych 90%, którym się udawało uciec.

Co mogli odczuwać maszerujący wówczas więźniowie? Jeśli potrafię

<sup>81</sup> Pierwszą udaną ucieczką z obozu oświęcimskiego była ucieczka więźnia Tadeusza Wiejowskiego w dniu 6. 7. 1940 r. W związku z tą ucieczką Höss zażądał od przybyłego do obozu w dniu 18. 7. 1940 r. von dem Bacha zgody na przeprowadzenie akcji, która by uświadomiła ludności polskiej, że obóz koncentracyjny jest obiektem zarządzanym przez SS i nie może być porównywany z podobnymi obiektami zarządzanymi przez *Wehrmacht* lub policję. Potrzebę takiego uświadomienia motywował pisemnie tym, że „ludność miejscowa jest fanatycznie polska i — jak ustalono w drodze wywiadu — gotowa do każdego wystąpienia przeciwko znieprawionej załodze obozowej SS. Każdy więzień, któremu uda się ucieczka, może liczyć na wszelką pomoc, skoro tylko dotrze do pierwszej polskiej zagrody”. Mimo surowych represji ucieczki powtarzały się. W późniejszym okresie (od 1943 r.) przybrały na sile. Höss często z własnej inicjatywy zarządzał odwetowe i represyjne rozstrzelania za ucieczkę, wykonywane razem z, egzekucjami nakazanymi przez *Gestapo*, zwłaszcza *Gestapo* z GG. Również z jego rozkazu aresztowano rodziców zbiegłego więźnia. Stali oni w widocznym miejscu obozu z tablicą, na której napisano, że rodzice pozostaną tak długo w obozie, dopóki ich zbiegły syn nie zostanie ujęty (H. Langbein: *Die Stärkeren*, s. 121). Wreszcie Höss przy współudziale innych SS-manów wybierał zakładników spośród więźniów w odwet za ucieczkę więźnia. Zakładników osadzano w bunkrze bloku 11, gdzie nie otrzymywali żadnego jedzenia ani picia. Z wpisów w książce bunkra wynika, że pierwsze tego rodzaju wydarzenie miało miejsce w dniu 23.4.1941 r., kiedy to osadzono w bunkrze dziesięciu więźniów wybranych przez Hössa z bloku 2. Następnym dziesięciu więźniów z tego samego bloku wybrano i osadzono w bunkrze w dniach 17 i 24. 6. 1941 r. W obu przypadkach wszyscy więźniowie zmarli w bunkrze śmiercią głodową (F. Broł, G. Włoch, J. Pilecki: *Książka bunkra w bloku 11 hitlerowskiego obozu w Oświęcimiu*, „Zeszyty Oświęcimskie” 1957, nr 1; T. Iwaszko: *Ucieczki więźniów z obozu koncentracyjnego Oświęcim*, „Zeszyty Oświęcimskie” 1963, nr 7).

czytać w twarzach, to widziałem w nich: osłupienie wywołane losem uciekiniera, współczucie dla nieszczęśliwego i zapowiedź zemsty, odwetu, gdy czas po temu nadejdzie. Takie same twarze widziałem podczas egzekucji przez powieszenie w obecności zebranych więźniów; wówczas jednak jeszcze bardziej uwidaczniało się przerażenie, obawa przed podobnym losem.

Muszę jeszcze wspomnieć tutaj o sądzie doraźnym i likwidowaniu zakładników, ponieważ wchodzili tu w grę wyłącznie polscy więźniowie. Zakładnicy siedzieli w obozie przeważnie dłuższy czas; ani oni, ani kierownicy obozu nie wiedzieli o tym, że byli zakładnikami. Nagle przychodził dalekopis z rozkazem dowódcy Policji Bezpieczeństwa albo RSHA: „Niżej wymienieni więźniowie mają być rozstrzelani albo powieszani jako zakładnicy”. W ciągu paru godzin należało zameldować o wykonaniu egzekucji.

Więźniów tych zabierano z miejsca pracy albo wyciągano z szeregu podczas apelu i prowadzono do aresztu. Ci, którzy siedzieli już dłuższy czas w obozie, wiedzieli wówczas, co ich czeka, lub przynajmniej przeczuwali swój los. W areszcie odczytywano im rozkaz egzekucji. W pierwszym okresie, tj. 1940—1941, zakładników rozstrzeliwał oddział egzekucyjny, później wieszano ich lub zabijano pojedynczo z karabinu małokalibrowego wystrzałem w kark.<sup>82</sup> Obłożnie chorych likwidowano w rewirze<sup>83</sup> za pomocą zastrzyków.

Sąd doraźny z Katowic przyjeżdżał zazwyczaj co 4—6 tygodni do Oświęcimia i odbywał rozprawy w areszcie. Więźniów podległych kompetencji sądu doraźnego sprowadzano przed sąd, badano za pośrednictwem tłumacza i pytano, czy przyznają się do winy. Widziałem, jak więźniowie podczas przesłuchania przyznawali się do swych czynów szczerze i dobrowolnie; szczególnie odważnie zachowywały się niektóre kobiety. W większości wypadków wydawano wyrok śmierci, po czym niezwłocznie następowała egzekucja.<sup>84</sup> Wszyscy ci więźniowie, podobnie jak i zakładnicy, szli na śmierć odważnie i spokojnie w przekonaniu, że składają życie w ofierze ojczyźnie. Często widziałem w ich oczach fanatyzm, który mi przypominał badaczy Pisma św. i ich zachowanie się przed śmiercią.

Inaczej umierali więźniowie kryminalni, którzy zostali skazani przez

<sup>82</sup> Egzekucje odbywały się początkowo w dołach żwirowni na terenie obozu macierzystego, później na podwórzu bloku 11.

<sup>83</sup> Rewir (skrót od *Krankenrevler*) — szpital obozowy, określany w Oświęcimiu również jako *Krankenbau* (dla więźniów).

<sup>84</sup> W toku śledztwa w sprawie zbrodni popełnionych w Oświęcimiu nie udało się ustalić ani jednego przypadku, w którym „sąd” urzędujący w bloku 11 wydałby wyrok uniewinniający. Höss stwierdził w swych ustnych wyjaśnieniach, że gestapowcy przywozili gotowy wyrok, zatwierdzony już do wykonania.

sąd doraźny za napady rabunkowe, kradzieże dokonane w bandzie — albo zachowywali się z tępą obojętnością, albo jęczeli, lamentowali i zebrali o łaskę.

W Oświęcimiu występowało to samo zjawisko co podczas egzekucyj w Sachsenhausen: ci, którzy umierali w imię pewnej idei, szli na śmierć śmiało i spokojnie, aspołeczni zaś zachowywali się bądź obojętnie, bądź bronili się przed śmiercią.

Chociaż ogólne warunki bytowania były w Oświęcimiu naprawdę złe, to jednak żaden polski więzień nie chciał być przeniesiony do innego obozu. Z chwilą, gdy więźniowie dowiadawali się, że mają być przeniesieni, używali wszelkich środków, aby móc pozostać w Oświęcimiu. Gdy w 1943 r. przyszedł ogólny rozkaz, na mocy którego wszyscy Polacy mieli być przeniesieni do obozów w Rzeszy, zostałem zasypany prośbami ze wszystkich placówek pracy, uzasadniającymi nieodzowną obecność Polaków. Trzeba było zarządzić przymusową wymianę procentową. Nigdy nie słyszałem o tym, aby jakiś polski więzień zgłosił się dobrowolnie do innego obozu. Nie mogłem się nigdy dowiedzieć, jaki był powód tego kurczowego trzymania się Oświęcimia.

Polscy więźniowie dzielili się na trzy wielkie grupy polityczne, których zwolennicy gwałtownie się zwalczyli. Najsilniejsza wśród nich była nacjonalistyczno-szowinistyczna. Walczyły one między sobą o wpływe stanowiska. Więzień, który osiągał ważne stanowisko w obozie, szybko ściągał do siebie tych więźniów, którzy należeli do jego grupy, i usuwał z zasięgu swojej władzy członków innych grup, nierzadko przy pomocy nikczemnych intryg. Nie waham się powiedzieć, że niektóre przypadki tyfusu plamistego lub brzusznego ze śmiertelnym wynikiem należy zapisać na konto tych walk o władzę. Nieraz słyszałem od lekarzy, że właśnie w rewirze stale odbywały się gwałtowne walki o wpływy. To samo działo się na terenie Oddziału Zatrudnienia. Szpital i Oddział Zatrudnienia stanowiły przecież kluczowe pozycje w życiu obozowym; kto je umiał opanować, ten rządził. Rządzono się tam, i to bynajmniej nie wstrzemięźliwie. Zajmując ważne stanowiska, można było umieszczać swoich przyjaciół na takich placówkach, gdzie się chciało ich mieć. Można było także przenosić lub w ogóle pozbywać się innych więźniów będących w niełasce. W Oświęcimiu wszystko to było możliwe.<sup>85</sup>

<sup>85</sup> Wielu szczerze patriotycznych i demokratycznych więźniów Polaków rozumiało znaczenie międzynarodowej solidarności w walce z faszyzmem niemieckim i rodzimym i pracowało ofiarnie w obozowym Ruchu Oporu. Celem tej walki nie był kawałek chleba, ale między innymi izolowanie i likwidacja „zielonego” (kryminalnego) pomocniczego aparatu terroru w obozie. We wszystkich „czerwonych” obozach szpital był w tej walce prawdziwą twierdzą więźniów politycznych. Podobnie szpital oświęcimski był siedzibą władz Ruchu Oporu, miejscem wykonywania wyroków na zdrajcach, centralą konspiracyjnych dostaw

Te walki polityczne o władzę toczyły się w Oświęcimiu nie tylko między polskimi więźniami. Antagonizmy polityczne istniały we wszystkich obozach i wśród wszystkich narodowości. Nawet wśród czerwonych Hiszpanów w Mauthausen istniały dwie grupy zwalczające się gwałtownie.

Nawet w czasie odsiadania kary przeze mnie byłem niegdyś świadkiem tego, jak zwalczali się wzajemnie więźniowie należący do prawicy i lewicy.

Kierownictwo obozu koncentracyjnego gorliwie popierało te antagonizmy, a nawet podjudzało, aby nie dopuścić do trwałej jedności wszystkich więźniów. Nie tylko polityczne, lecz jeszcze bardziej „kolorowe” antagonizmy odgrywały tu dużą rolę.

Żadnemu, nawet najsilniejszemu kierownictwu obozu nie udało się utrzymać w karchach tysięcy więźniów i kierować nimi, gdyby nie przychodziły mu z pomocą wzajemne antagonizmy więźniów. Im liczniejsze są antagonizmy i im gwałtowniejsze toczą się walki o władzę pomiędzy więźniami, tym łatwiej można kierować obozem.

*Divide et impera!* — ta zasada jest ważna nie tylko w wielkiej polityce, ale i w obozie koncentracyjnym stanowi czynnik, który nie powinien być niedoceniany.

Drugi większy kontyngent stanowili radzieccy jeńcy, którzy mieli

dużej ilości leków, placówką ratującą zdrowie i życie współtowarzyszy. W „Rezolucji więźniów politycznych” napisanej i wysłanej z obozu oświęcimskiego w lecie 1914 r. przez więźnia tego obozu Józefa Cyrankiewicza czytamy „Chociaż w obozach niewoli, to jednak ludzie wolności — ślemy wolnemu światu wieść o naszym istnieniu, o naszej nierównej walce o prawa więźniów politycznych. Jesteśmy za drutami, jako żołnierze i jako członkowie swoich narodów — żądamy traktowania nas jako żołnierzy — żądamy praw ludzkich, praw jeńca wojennego w niewoli. Wiemy, że tylko zdecydowana postawa wolnego świata może nam takie prawa zapewnić. Żądamy takiej zdecydowanej postawy, bo będzie ona także wyrazem wspólnej walki o wolność narodów, o wolność świata, o poszanowanie człowieka. (...) Oczywiście nie chcemy, aby nasze wołanie o akcję i interwencję było zrozumiane albo przez kogoś odczute jako zaprzątanie głowy ludziom zajęтым wojną przez ludzi tak czy owak biernych — w pewnym sensie bezużytecznych. Nie. My zagadnienie więźniów politycznych — zagadnienie obozów koncentracyjnych staramy się traktować niezależnie od tego, że w nich siedzimy. (...) jako problem moralny w stosunku do człowieka, jako jedno z zagadnień, o które toczy się wojna w swojej części ideologicznej. To, że w tych obozach siedzimy — pozwala nam to zagadnienie uczynić czymś plastycznym — pozwala nam po prostu jako świadkom wyliczyć wszystkie zbrodnie, których obiektem jest człowiek. (...) Hitlerizm uważamy we wszystkich jego przejawach w stosunku do narodów i w stosunku do człowieka za najbardziej cyniczny, zbrodniczy i najlepiej zorganizowany zamach na wszystko, co się nazywa człowieczeństwem. W tym sensie my, więźniowie polityczni hitlerizmu, jesteśmy tylko sprawozdawcami z jednego odcinka, dość ważnego zresztą — rozprawy hitlerizmu z człowieczeństwem. I dlatego pomoc dla nas traktujemy nie tylko jako jakąś sumę praktycznych dla nas korzyści w formie poprawy warunków, ale jako pewnego rodzaju egzamin postawy moralnej wolnego świata. (...) Właśnie chodzi nam o to, aby z chwilą, gdy mówi się o tym, co się dzieje w obozach koncentracyjnych — mówiło się nie tylko dlatego, aby nam pomóc, ale żeby to była sama w sobie część walki z hitleryzmem, w której my, więźniowie, nie jesteśmy jakimś balastem, ale po prostu odcinkiem frontu”. Tom II Materiałów Pomocy Więźniom Obozów Koncentracyjnych - PWOK - k. 41 i n.

wybudować obóz dla jeńców w Brzezince. Przywieziono ich z obozu dla jeńców w Łambinowicach<sup>86</sup> na Górnym Śląsku w stanie całkowitego wyczerpania. W Łambinowicach znaleźli się po wielotygodniowych marszach; po drodze nie otrzymywali prawie żadnego wyżywienia, podczas przerw w marszu prowadzono ich na najbliższe pola i tam jedli wszystko, co tylko było jadalne. W obozie w Łambinowicach było podobno 200 000 radzieckich jeńców wojennych. Mieszkali oni przeważnie w ziemiankach, które sami wykopali. Wyżywienie otrzymywali zupełnie niewystarczające i nieregularnie. Gotowali sobie sami w dołach ziemnych. Większość „pożerała” — bo jedzeniem nie można już było tego nazwać — swój przydział zaraz na surowo.

Wehrmacht nie był przygotowany w 1941 r. na to, że takie masy jeńców wojennych znajdą się w niewoli. Aparat zajmujący się jeńcami wojennymi był zbyt sztywny i zbyt mało ruchliwy, aby potrafił coś szybko zaimprovizować. Zresztą po klęsce w maju 1945 r. niemieckim jeńcom wojennym także nie powodziło się lepiej. Z tym masowym zjawiskiem także i alianci nie mogli sobie dać rady. Jeńców spędzano po prostu na nadający się do tego kawałek pola, grodzono prowizorycznie drutem kolczastym i pozostawiano własnemu losowi. Powodziło się im dokładnie tak jak Rosjanom.<sup>87</sup>

Przy pomocy takich jeńców, często ledwie się trzymających na nogach, miałem budować obóz dla jeńców w Brzezince. Według zarządzenia *Reichsführera SS* do Oświęcimia miano sprowadzić w tym celu tylko takich jeńców radzieckich, którzy byli szczególnie silni i całkowicie nadawali się do pracy. Oficerowie konwoju mówili, że wybrali najlepszy materiał ludzki spośród masy jeńców, którymi dysponowali.

Jeńcy radzieccy byli chętni do pracy, lecz z powodu osłabienia niczego nie mogli dokonać. Wiem dokładnie, że dawaliśmy im, gdy byli jeszcze w obozie macierzystym, stałe dodatki żywnościowe, ale nie odniosło to żadnego skutku — wyniszczone organizmy nie mogły już nic strawić, organizm był już niezdolny do funkcjonowania. Jeńcy wymierali jak muchy z ogólnego wycieńczenia albo na skutek najłżejszej choroby, przed którą organizm nie mógł się już bronić. Widziałem, jak wielu umierało w czasie połykania buraków lub ziemniaków.

<sup>86</sup> W Łambinowicach w woj. wrocławskim (niemiecka nazwa: Lamsdorf) w 1939 r. został założony obóz jeńców polskich, a później obóz dla jeńców narodowości zachodnioeuropejskich (Stalag VIII B). W 1941 r. założony został oddzielny obóz dla jeńców radzieckich, w którym warunki były pod każdym względem o wiele gorsze niż w obozach dla jeńców innych narodowości. Zginęło w nich z głodu, wycieńczenia i chorób około 40 000 jeńców radzieckich.

<sup>87</sup> W rzeczywistości zachodziła zasadnicza różnica między obu sytuacjami. Polegała ona na tym, że jeńcy radzieccy byli skazani na zagładę, a jeńcy niemieccy, wśród nich także i członkowie formacji SS, przeżyli te chwilowe, początkowe trudności i jeżeli ich nie skazano sądownie jako zbrodniarzy wojennych, zostali z niewoli zwolnieni.

Około 5 000 Rosjan zatrudniałem przez jakiś czas prawie codziennie przy wyładowywaniu wagonów brukwi. Cały tor kolejowy był już zapchany, góry brukwi leżały na szynach kolejowych i nie można było dać sobie z tym rady. Rosjanie nie byli już w stanie nic robić. Chodzili wkoło bez żadnego celu i sensu albo chowali się w jakąś bezpieczną dziurę, aby przełknąć cokolwiek nadającego się do jedzenia, albo szukali jakiegoś cichego miejsca, gdzie mogliby spokojnie umrzeć.

Najgorzej było w czasie odwilży w zimie 1941—1942 r. Zimno znosili lepiej niż wilgoć, nieustanne moknięcie. W prymitywnych, kamiennych barakach na wpół gotowych, naprędce skleconych w pierwszym okresie Brzezinki, śmiertelność wciąż wzrastała. Nawet spośród tych jeńców, którzy dotychczas wykazywali pewną odporność, z każdym dniem pozostawało coraz mniej. Nie pomagały już dodatki żywnościowe; połykali wszystko, co tylko mogli zdobyć, lecz nigdy nie byli syci.

Kiedyś widziałem, jak na drodze między Oświęcimiem a Brzezinką cała kompania jeńców złożona z kilkuset ludzi nagle uciekła z drogi w kierunku najbliższych położonych kopców ziemniaczanych, a całkowicie zaskoczona straż nie mogła sobie dać rady. Na szczęście właśnie wówczas nadjechałem i opanowałem sytuację. Jeńcy rozkopywali kopce i nie dawali się od nich odpędzić; niektórzy z nich umarli podczas jedzenia, trzymając w dłoniach pełno ziemniaków. Nie mieli już dla siebie żadnych względów; instykt samozachowawczy w swej najjaskrawszej postaci nie dopuszczał żadnych ludzkich odruchów.

Wypadki ludożerstwa nie należały w Brzezince do rzadkości. Ja sam natknąłem się na Rosjanina leżącego pomiędzy zwałami cegły, któremu rozpruto brzuch jakimś tępym narzędziem i w którego zwłokach brak było wątroby. Zabijali się nawzajem, aby zdobyć coś nadającego się do zjedzenia. Jadąc konno zauważyłem jakiegoś Rosjanina, jak drugiego, skulonego za stertą kamieni i żującego kawałek chleba, uderzył cegłą w głowę, aby mu porwać chleb. Zanim jednak dostałem się na miejsce przez bramę — znajdowałem się bowiem poza ogrodzeniem — leżący za stertą był już nieżywy: miał on rozbitą czaszkę. W kłębiącej się masie Rosjan nie zdołałem, już wykryć sprawcy.

Podczas plantowania pierwszego odcinka budowlanego wielokrotnie znajdowano przy kopaniu rowów zwłoki Rosjan, którzy — zabici przez innych i częściowo pożarci — znikali w jakimś błotnistym dole. W ten sposób wyjaśniło nam się zagadkowe zniknięcie wielu Rosjan.<sup>88</sup>

Z mojego mieszkania widziałem, jak jakiś Rosjanin włókł kocioł po

<sup>88</sup> O wypadkach spożywania przez głodzonych z premedytacją radzieckich jeńców wojennych części ciała zmarłych współtowarzyszy wspomina także sprawozdanie radzieckiej Komisji do Badania Zbrodni Niemieckich Popołnionych na Radzieckich Jeńcach Wojennych w Twierdzy Dęblińskiej z dnia 28. 8. 1944 r.

jedzeniu za blok przy komendzie i łąpczywie go wyskrobywał. Nagle zza rogu ukazał się drugi, przystanął na chwilę, następnie rzucił się na wyskrobującego kocioł, pchnął go na ogrodzenie naładowane prądem i zniknął z kotłem. Strażnik na wieży także obserwował to, ale nie zdążył strzelić do uciekającego. Natychmiast zatelefonowałem do służbowego *Blockführera*, poleciłem wyłączyć prąd z ogrodzenia i poszedłem do obozu sam poszukiwać sprawcy. Pchnięty na druty był martwy. Tego drugiego nie udało się odszukać. To już nie byli ludzie; zezwierzęceli w ciągłych poszukiwaniach jedzenia.

Z liczby przeszło 10 000 radzieckich jeńców, którzy mieli stanowić główną siłę roboczą przy budowie obozu jeńców w Brzezince, pozostało przy życiu do lata 1942 r. zaledwie kilkuset. Tę resztę stanowili najbardziej wytrzymali. Ci, którzy przetrwali, pracowali znakomicie i byli zatrudnieni jako lotne drużyny robocze wszędzie tam, gdzie należało szybko ukończyć prace. Nigdy jednak nie mogłem się pozbyć uczucia, że ci, którzy pozostali przy życiu, przetrwali tylko kosztem swych współwięźniów, ponieważ byli od nich bardziej bezwzględni i twardsi.

W lecie 1942 r. — o ile sobie przypominam — udała się tym jeńcom masowa ucieczka. Większość z nich została zastrzelona, wielu jednak udało się uciec. Ci, którzy zostali schwytani, jako powód masowej ucieczki podawali lęk przed zagazowaniem, który ich ogarnął, gdy im oznajmiono, że zostaną przeniesieni na nowy, świeżo wykończony odcinek obozu. Nie wierzyli w przeniesienie, uważali, że się ich oszukuje, chociaż tych jeńców nigdy nie zamierzano zagazować. Zapewne wiedzieli o likwidowaniu radzieckich „politruków” i komisarzy i dlatego obawiali się, że i ich czeka podobny los. W ten sposób może powstać masowa psychoza, która pociąga za sobą takie skutki.<sup>89</sup>

<sup>89</sup> W związku z opisem przez Hössa losu jeńców radzieckich w Oświęcimiu należy nadmienić, że na podstawie wytycznych Hitlera z dnia 30.3. 1941 r. i opracowanych przez OKW „Zasad traktowania komisarzy politycznych” z dnia 6.6.1941 r. (Dok. Norymb. NOKW-1076) szef RSHA, *SS-Gruppenführer* Reinhard Heydrich wydał w dniu 17. 7. 1941 r. rozkaz nakazujący zabijanie wszystkich radzieckich jeńców, którzy są lub mogą być niebezpieczni dla narodowego socjalizmu. Według rozkazu przede wszystkim dotyczyło to wszystkich wybitniejszych funkcjonariuszy państwowych i partyjnych, a zwłaszcza „zawodowych rewolucjonistów”, wszystkich komisarzy ludowych Armii Radzieckiej, kierowniczych osobistości w życiu państwowym, radzieckiej inteligencji, wszystkich Żydów i tych wszystkich osób, co do których ustalono, że są agitatorami albo „fanatycznymi komunistami”.

W dniu 8. 9. 1941 r. generał Hermann Reinecke (szef Wydziału Jeńców w OKW) wydał rozkaz zawierający m.i. następujące przepisy: „Żołnierz bolszewicki utracił wszelkie prawo, aby być traktowany jako honorowy żołnierz według konwencji genewskiej. Brak subordynacji oraz czynny lub bierny opór należy natychmiast złamać przy użyciu broni. Kto do wykonania rozkazu nie użyje broni lub użyje jej nie dość energicznie, będzie karany. Do zbiegów należy strzelać natychmiast i bez uprzedzenia. Nie wolno nigdy strzelać na postrach. Użycie broni przeciwko radzieckim jeńcom jest z zasady zgodne z prawem”. W poufnym rozkazie Glücksa z dnia 15.1.1942 r. jest mowa o selekcji radzieckich jeńców kierowanych do obozów koncentracyjnych na wyniszczenie. Nawet Canaris stał na stanowisku, że wszystkie te rozkazy są sprzeczne z zasadami prawa międzynarodowego, według których zabijanie lub kaleczenie bezbronnych ludzi jest



Następny główny kontyngent więźniów stanowili Cyganie. Znaleźli się oni w obozach koncentracyjnych już na długo przed wojną, w ramach akcji przeciwko aspołecznym. W Urzędzie Policji Kryminalnej Rzeszy jedna placówka zajmowała się wyłącznie nadzorowaniem Cyganów. W obozach cygańskich wyszukiwano osoby niecygańskiego pochodzenia; które przyłączyły się do Cyganów, i umieszczano je w obozach koncentracyjnych jako jednostki wykazujące wstręt do pracy lub aspołeczne. Poza tym w obozach cygańskich stale przeprowadzano selekcję według kryteriów biologicznych.

*Reichsführer SS* chciał zachować dwa główne, wielkie szczepy cygańskie (nazw tych szczepów nie mogę już sobie przypomnieć).<sup>90</sup> Jego zdaniem byli to w prostej linii potomkowie indogermańskich ludów pierwotnych i zachowali zarówno swój typ, jak i obyczaje w stanie stosunkowo czystym. Mieli oni stać się przedmiotem specjalnych badań, mieli zostać dokładnie zarejestrowani i objęci ochroną. Zamierzano zebrać ich potem z całej Europy i przydzielić ograniczone obszary zamieszkania. W 1937—1938 r. wszyscy wędrowni Cyganie zostali zgromadzeni w tak zwanych obozach mieszkalnych położonych przy większych miastach, aby można było nad nimi lepiej sprawować nadzór.

W 1942 r. wydany został rozkaz, w myśl którego na obszarze Rzeszy wszyscy Cyganie oraz cygańscy mieszkańcy powinni być aresztowani i wysłani do Oświęcimia — niezależnie od wieku i płci. Wyjątek stanowili tylko Cyganie uznani za czystych pod względem rasowym, należący do obu głównych szczepów; tych miano osiedlić w okręgu Odenburg nad jeziorem Neusiedler. Cyganie przywiezieni do Oświęcimia mieli pozostać na czas wojny w obozie rodzinnym.

Wytyczne jednak, na których podstawie przeprowadzono aresztowania, nie były dostatecznie dokładne. Poszczególne placówki Policji Kryminalnej różnie je interpretowały i w ten sposób doszło do aresztowania osób, które nie powinny były się znaleźć wśród internowanych. Niejednokrotnie aresztowano żołnierzy urlopowanych z frontu, którzy mieli

sprzeczne z poglądami żołnierskimi, a sam Rosenberg określał los radzieckich jeńców w Niemczech jako największą tragedię (*eine Tragödie grössten Ausmasses*). Szef Głównego Dowództwa Sił Zbrojnych (OKW) Wilhelm Keitel odpowiedział na zastrzeżenia Canarisa, że opierają się one na poglądach żołnierskich o wojnie rycerskiej. W wypadku jeńców radzieckich chodzi natomiast o zniszczenie światopoglądu i dlatego on, marszałek Keitel, zatwierdza wydane zarządzenia i popiera je osobiście.

Patrz też zeznania obecnego dyrektora Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, K. Smolenia z dnia 15. 12. 1947 r. (Dok. Norymb. NO-5849). M. Broszat w edycji: Kommandant in Auschwitz, s. 121 przyp. 2, dr J. Sehn: Obóz koncentracyjny Oświęcim-Brzezinka, s. 102 i n.

<sup>90</sup> Według Broszata chodziło o Cyganów szczepów Sinte i Lallerie (Kommandant in Auschwitz, s. 104, przyp. 4). Patrz również W. Polzer: Gauner-Wörterbuch, s. 35, S. A. Wolf: Wörterbuch des Rotwelschen, H. Eller: Die Zigeuner - ein Problem, „Kriminalistik“ 1954, nr 5 oraz J. Brandhuber: Jeńcy radzieccy w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, „Zeszyty Oświęcimskie“ 1960, nr 4.

wysokie odznaczenia, byli kilkakrotnie ranni, a których ojciec, matka albo dziadek itd. byli Cyganami lub cygańskimi mieszkańcami. Znalazł się między nimi nawet jeden z najstarszych towarzyszy partyjnych, którego dziadek przywędrował do Lipska jako Cygan; on sam miał wielkie przedsięwzięcie w Lipsku i był uczestnikiem wojny światowej wielokrotnie odznaczonym orderami. Była też między nimi studentka, przywódczyni Związku Niemieckich Dziewcząt w Berlinie. Zdarzyło się jeszcze wiele innych podobnych wypadków. Złożyłem o tym raport do RKPA, wskutek czego przeprowadzono badania w obozie cygańskim i zarządzono wiele zwolnień; jednakże ledwie dało się to odczuć w takiej masie uwięzionych.

Nie pamiętam już, ilu Cyganów i cygańskich mieszkańców było w obozie oświęcimskim. Wiem tylko, że zapełnili całkowicie odcinek obozu obliczony na 10 000 osób.<sup>91</sup> Ogólne warunki egzystencji w Brzezince absolutnie nie pozwalały na urządzenie obozu rodzinnego; brak podstawowych warunków uniemożliwiało zatrzymanie tam, Cyganów choćby tylko do końca wojny. Nawet należyte odżywianie dzieci było zupełnie niemożliwe, jakkolwiek przez pewien czas, powołując się podstępnie na rozkaz *Reichsführera SS*, otrzymywałem w urzędach żywnościowych pożywienie dla małych dzieci. Lecz i to wkrótce się skończyło, gdyż Ministerstwo Wyżywienia odmówiło obozom koncentracyjnym jakichkolwiek specjalnych przydziałów dla dzieci.

W lipcu 1942 r. przyjechał do Oświęcimia *Reichsführer SS*. Pokazałem mu dokładnie obóz cygański. Obejrzał wszystko gruntownie; widział przepełnione baraki mieszkalne, niezadowalające warunki higieniczne, baraki szpitalne pełne chorych, oddział dla zakaźnie chorych, widział dzieci chore na nome,<sup>92</sup> chorobę, która mnie zawsze przejmowała grozą, gdyż przypominała chorych na trąd, nieszczęsnych trędowatych, których widziałem niegdyś w Palestynie — te wymizerowane ciała dziecięce z wielkimi dziurami w policzkach, ten powolny rozkład żywego ciała!

Himmler wysłuchiwał liczb dotyczących śmiertelności wśród Cyganów.

<sup>91</sup> Obóz cygański mieścił się na odcinku B IIe w Brzezince. W pierwszych miesiącach 1942 r. przybyło do obozu około 14 000 Cyganów. Wkrótce liczba ta powiększyła się do około 20 000. Na podstawie odnalezionych w 1947 r. obozowych ksiąg ewidencyjnych Cyganów (częściowo zniszczonych i nieczytelnych) można stwierdzić, że w okresie od marca do września 1943 r. zmarło z chorób i z wycieńczenia przeszło 7 000 Cyganów. L. Adelsberger podaje, że na wiosnę 1942 r. przebywało w Brzezince 16 000 Cyganów. Autorka ta od maja 1943 r. przez przeszło rok pracowała w obozie cygańskim jako więźniarka-lekarka i na tej podstawie stwierdza, że w obozie tym bloki były przepełnione: 800, 1000 a nawet więcej ludzi w jednym bloku było regułą [L. Adelsberger: *Auschwitz, Ein Tatsachenbericht* (cyt. dalej jako: *Auschwitz*). Berlin 1956, s. 54]. Los Cyganów w Oświęcimiu opisał J. Ficowski: *Cyganie polscy*, 1953, S. 173-181 i 231-233.

<sup>92</sup> Noma, czyli rak wodny (*Cancer aquaticus*) — najcięższa forma wrzodowego schorzenia błony śluzowej jamy ustnej, występująca zwłaszcza u dzieci na skutek wygłodzenia i osłabienia organizmu. Jest to najczęściej choroba śmiertelna.

W zestawieniu z ogólną śmiertelnością w obozie była ona stosunkowo niska, natomiast śmiertelność wśród dzieci była niezwykle wysoka; nie sądzę, żeby spośród noworodków wiele żyło dłużej niż kilka tygodni. Himmler obejrzał wszystko dokładnie i dał mi rozkaz, żeby zlikwidować Cyganów po uprzednim wybraniu zdolnych do pracy, podobnie jak to robiono z Żydami. Zwróciłem mu wtedy uwagę, że Cyganów kierowanych do obozu nie wybierano zgodnie z planem, który przewidywał on dla Oświęcimia. Wówczas Himmler zarządził, aby RKPA jak najszybciej przeprowadził odpowiednią selekcję uwięzionych.

Trwało to dwa lata. Cyganie zdolni do pracy zostali przeniesieni do innych obozów. Do sierpnia 1944 r. pozostało w Oświęcimiu około 4000 Cyganów, którzy musieli iść do komór gazowych. Do ostatniej chwili nie wiedzieli, co ich czeka; zorientowali się dopiero wówczas, gdy prowadzono ich do I krematorium. Nie było rzeczą łatwą wprowadzić ich do komór.<sup>93</sup> Nie widziałem tego, lecz mówił mi Schwarzhuber,<sup>94</sup> że żadna akcja likwidacyjna Żydów nie była tak ciężka jak likwidacja Cyganów. Dla niego była ona szczególnie ciężka, gdyż dobrze znał prawie wszystkich Cyganów i pozostawał z nimi w dobrych stosunkach, a cechowała ich tak wielka ufność, jaką spotyka się u dzieci.

O ile mogłem zauważyć, większość Cyganów mimo ciężkich warunków niezbyt cierpiała psychicznie wskutek uwięzienia, jeśli pominąć fakt, że sparaliżowany został ich popęd do włóczęgostwa. Do ciasnoty pomieszczeń, kiepskich warunków higienicznych i częściowo także do skąpego pożywienia byli przedtem przyzwyczajeni, prowadząc prymitywny tryb życia. Nie brali również bardzo tragicznie choroby i wysokiej śmiertelności. W istocie swej pozostali dziećmi: byli lekkomyślni, bawili się chętnie także i przy pracy, której nigdy nie brali zbyt poważnie, w najgorszym nawet szukali dobrych stron, byli optymistami.

U Cyganów nie zauważyłem nigdy ponurych, pełnych nienawiści spojrzeń. Gdy się przychodziło do obozu, wychodzili zaraz z baraków, grali na instrumentach, kazali dzieciom tańczyć, pokazywali zwykłe swoje sztuczki. Był tam duży ogródek dla dzieci, w którym mogły do woli bawić się wszelkimi zabawkami. Gdy się do nich mówiło, odpowiadali swobodnie i ufnie, wypowiadali wszystkie swe życzenia. Zawsze miałem wrażenie, że niezupełnie zdawali sobie sprawę z tego, iż są w więzieniu.

We wzajemnych stosunkach byli bardzo wojowniczy. Powodowała to różnorodność szczepów i rodów, a poza tym sama krew cygańska, gorąca

<sup>93</sup> Zagłada ostatnich Cyganów w Brzezince nastąpiła w nocy z 31. 7. na 1. 8. 1944 r. Opisuje ją szczegółowo L. Adelsberger, która zgodnie z Hösem podaje liczbę zabitych tej nocy w komorach gazowych na 3 500-4 000 Cyganów (L. Adelsberger: Auschwitz, s. 109 i n.).

<sup>94</sup> *SS-Obersturmführer* Johann Schwarzhuber był w 1944 r. *Schutzhaftlagerführerem* obozu koncentracyjnego Oświęcim II — Brzezinka (Dok. Norymb. DS-3686).

i skora do kłótni. W obrębie poszczególnych rodów byli jednak bardzo zespoleni i przywiązani do siebie. Gdy w obozie wybierano zdolnych do pracy i wskutek tego konieczne było rozdzielanie rodzin, dochodziło do wzruszających scen, pełnych cierpienia i łez. Uspokajali się nieco i pocieszali, gdy mówiono im, że później będą znowu wszyscy razem.

Przez pewen czas zdolni do pracy Cyganie przebywali w macierzystym obozie w Oświęcimiu; robili wszystko, aby móc widywać rodziny, choćby tylko od czasu do czasu i nawet tylko z daleka. Często podczas apelów musieliśmy szukać młodszych Cyganów? wymykali się oni podstępnie do obozu cygańskiego z tęsknoty za swoimi rodzinami.

Gdy byłem już w Oranienburgu, w Inspektoracie Obozów Koncentracyjnych, Cyganie, którzy znali mnie z Oświęcimia, pytali często o swoich krewnych — jeszcze wtedy, kiedy tamci już dawno byli zagazowani. Trudno mi było dawać wymijające odpowiedzi dlatego właśnie, że tak bardzo mi ufali. Jakkolwiek w Oświęcimiu miałem z nimi dużo kłopotu, byli jednak moimi ulubionymi więźniami — jeśli w ogóle można się tak wyrazić.

Nie potrafili długo wytrzymać przy jednej pracy, chętnie wałęsali się „po cygańsku”. Najbardziej odpowiadała im drużyna transportowa; chodzili wtedy wszędzie, mogli zaspokajać swą ciekawość — i mieli również okazję do kradzieży. Popęd do kradzieży i włóczęgostwa jest u Cyganów wrodzony i nie można go wykorzenić. Mają także zupełnie inne poglądy na moralność. Kradzież nie jest dla nich niczym złym; nie mogą pojąć, jak można za to karać.

Mówię to wszystko o większości uwięzionych Cyganów, o takich, którzy rzeczywiście stale się włóczyli, a także o podobnych do nich mieszkańcach, którzy stali się Cyganami, a nie o osiadłych Cyganach przebywających w miastach. Ci przejęli już zbyt wiele z cywilizacji, chociaż nie to, niestety, co jest w niej najlepszego.

Byłoby rzeczą interesującą przyglądać się życiu i obyczajom Cyganów, gdyby nie przejmujący grozą rozkaz zniszczenia, który aż do połowy 1944 r. znali w Oświęcimiu oprócz mnie jedynie lekarze. Lekarze w myśl rozkazu *Reichsführera SS* powinni byli likwidować w dyskretny sposób chorych, a zwłaszcza dzieci. One zaś miały właśnie takie zaufanie do lekarzy! Nie ma nic bardziej ciężkiego niż konieczność przechodzenia nad tym do porządku w sposób zimny, bezlitosny, pozbawiony współczucia.<sup>95</sup>

A jak pozbawienie wolności oddziaływało na Żydów, którzy od 1942 r. stanowili w Oświęcimiu główny kontyngent więźniów? Jakie było ich zachowanie się?

<sup>95</sup> Patrz L. Adelsberger: *Auschwitz*; Dok. Norymb. PS-3548; H. Langbein: *Die Slärkeren*, s. 122 i n.

Żydzi od początku przebywali w obozach koncentracyjnych, byli mi więc dobrze znani jeszcze z Dachau. Wówczas Żydzi mieli jednak możliwość wyemigrowania, jeżeli jakieś państwo udzielało im zezwolenia na wjazd. Ich pobyt w obozie był tylko kwestią czasu albo pieniędzy i zagranicznych kontaktów. Wielu Żydów otrzymywało w ciągu kilku tygodni potrzebne wizy i mogło wyjść z więzienia. Tylko winni zhańbienia rasy<sup>96</sup> albo Żydzi, którzy w okresie przedhitlerowskim byli szczególnie aktywni politycznie lub odegrali pewną rolę w skandalicznych procesach, musieli nadal pozostawać w obozie.

Ci, którzy mieli możliwość wyemigrowania, myśleli tylko o tym, aby ich życie w obozie upływało możliwie bez tarć. Pracowali pilnie, jeśli tylko mogli — większość ich nie była przecież przyzwyczajona do pracy fizycznej — zachowywali się możliwie najspokojniej i skrupulatnie wypełniali swoje obowiązki.

Egzystencja Żydów w Dachau nie była lekka. Musieli wykonywać bardzo ciężkie prace fizyczne w żwirowni. Stosunek do nich strażników był szczególnie wrogi na skutek wpływów Eickego i Sturmera,<sup>97</sup> wywieszonego wszędzie w koszarach i kantynach. Byli prześladowani jako „szkodnicy wywierający zgubny wpływ na naród niemiecki” także przez współwięźniów.

Wpływ *Stürmera*, wywieszonego także w obozie koncentracyjnym, dawał się odczuć również wśród więźniów, którzy nie byli antysemitami. Żydzi bronili się przed tym przekupując współwięźniów? mieli dość pieniędzy, mogli więc w kantynie kupować wszystko, co chcieli, a znajdowali wielu więźniów nie mających pieniędzy, którzy za papierosy, słodycze, kiełbasę itp. gotowi byli do usług. Łżejszą pracę wyjednywali sobie przez kapo, pobyt w rewirze przez więźniów spośród personelu pielęgniarskiego. Pewien Żyd dał sobie kiedyś — za wynagrodzeniem w postaci jednego pudełka papierosów — zedrzeć paznokcie z wielkich palców u nóg, aby w ten sposób dostać się do rewiru.

Dręczyli ich jednak najczęściej Żydzi więźniowie zajmujący stanowiska *Vorarbeiterów* lub sztabowych. Wyróżnił się przy tym ich blokowy Eschen (powiesił się później, obawiając się kary, kiedy uwikłał się

<sup>96</sup> W myśl tzw. ustaw norymberskich, czyli ustawy z dnia 15.9.1935 r., o ochronie niemieckiej krwi i niemieckiej czci (RGBl I, s. 1146), pomiędzy osobami narodowości niemieckiej i żydowskiej były zakazane małżeństwa (§ 1), jak również stosunki cielesne (§ 2). Za przekroczenie przepisu § 1 przewidziana była kara ciężkiego więzienia. Mężczyzna, który przekroczył przepis § 2, podlegał karze ciężkiego więzienia lub więzienia. „Przestępstwa” przewidziane w § 1 i 2 wymienionej ustawy nazywano potocznie zhańbieniem rasy (*Rassenschande*).

<sup>97</sup> *Der Stürmer* — antysemityczny tygodnik, którego redaktorem i wydawcą był Julius Streicher, jeden z pierwszych członków NSDAP. Streicher był jednym z głównych rzeczników narodowosocjalistycznej propagandy przeciwko Żydom. Wyrokiem MTW został skazany na karę śmierci za zbrodnie przeciwko ludzkości i stracony.

w aferę homoseksualną.) Ten właśnie blokowy dręczył ich nie tylko fizycznie wszelkiego rodzaju szykanami, lecz przede wszystkim psychicznie. Wywierał na nich nieustanną presję; namawiał do przekraczania regulaminu obozowego, a potem wnosił skargi; podburzał do wzajemnych agresywnych wystąpień, aby móc składać meldunki. Na ogół jednak nie robił doniesień, lecz utrzymywał Żydów pod nieustanną groźbą zameldowania. Był wcieleniem zła. W stosunku do SS-manów odznaczał się obrzydliwą służalnością, wobec współwięźniów tej samej rasy gotów był popełnić każdą podłość.

Chciałem go kilkakrotnie usunąć, ale okazało się to niemożliwe, gdyż Eicke osobiście obstawał przy pozostawieniu go.

Eicke wymyślił dla Żydów specjalnego rodzaju karę zbiorową. Gdy na całym świecie znowu rozpoczęto akcję propagandową przeciwko obozom koncentracyjnym, kazał Żydom pozostawać w łóżkach w ciągu miesiąca, a nawet całego kwartału; mogli wstawać i wychodzić poza blok tylko na posiłki i apele; pomieszczenia nie wolno było wietrzyć, a okna zostały zaśrubowane. Była to ciężka kara, wywierająca szczególnie ujemny wpływ na psychikę. Wskutek nieustannego przymusowego leżenia więźniowie stawali się tak podnieceni, że jeden na drugiego nie mógł już patrzeć; dochodziło do dzikich bójek.

Eicke był zdania, że nagonkę propagandową mogli wszcząć tylko Żydzi, którzy wyszli z Dachau, i że dlatego wszyscy Żydzi powinni ponieść dotkliwą karę.

Muszę tu zaznaczyć, że byłem przeciwnikiem antysemitckiego tygodnika *Stürmer* wydawanego przez Streichera, z powodu jego obrzydliwych chwytów obliczonych na oddziaływanie na najniższe instynkty. W dodatku to wysuwanie na plan pierwszy kwestii seksualnych, często w obrzydliwej, pornograficznej formie. Pismo to narobiło wiele złego; poważnie pojętemu antysemityzmowi nie pomogło, przeciwnie, przyniosło mu ujmę. Nic dziwnego, że po klęsce okazało się, iż pismo redagował Żyd i on pisał najobrzydliwsze artykuły podburzające.<sup>98</sup>

Jako fanatyczny narodowy socjalista byłem głęboko przekonany, że nasza idea, przekształcając się zgodnie z indywidualnymi właściwościami poszczególnych narodów, rozpowszechni się we wszystkich krajach i zapanuje w nich. W ten sposób zostałyby także usunięta dominacja żydostwa. Antysemityzm nie był przecież niczym nowym na całym świecie. Przejawiał się on silnie zawsze wtedy, gdy Żydzi pchali się zanadto do władzy, gdy ich nędzne sprawy stawały się zbyt widoczne dla opinii publicznej. Moim zdaniem nie służyło się antysemityzmowi przez upra-

<sup>98</sup> M. Broszat podkreśla że nie wiadomo, na czym Höss opiera to swoje twierdzenie, dla którego nie można znaleźć żadnego potwierdzenia (Kommandant in Auschwitz; s. 109 przyp. 1).

wianie dzikiego podjudzania, jak to robił *Stürmer*. Chcąc ideowo zwalczać Żydów, należało używać lepszej broni. Wierzyłem, iż to, co jest w naszej idei lepsze i mocniejsze, utoruje sobie drogę.<sup>99</sup>

Nie spodziewałem się, aby kara zbiorowa zastosowana przez Eickego mogła odnieść najmniejszy nawet efekt, jeśli chodziło o zwalczanie wiadomości o okropnościach obozów koncentracyjnych. Nagonka odbywałaby się dalej, gdyby nawet rozstrzelano z tego powodu setki i tysiące ludzi. Uważałem jednak wówczas za rzecz słuszną, aby ci Żydzi, którzy znajdowali się w naszych rękach, zostali ukarani za szerzenie przez ich rodaków wiadomości o okropnościach obozowych.

Nadeszła „noc kryształowa” zainscenizowana w listopadzie 1938 r. przez Goebbelsa, kiedy to, w odwet za zastrzelenie von Ratha w Paryżu przez Żyda, zdemolowano w całej Rzeszy żydowskie sklepy (co najmniej zaś wybito szyby), a we wszystkich synagogach wzniecono pożary, których nie pozwolono gasić straży ogniowej. Wszyscy Żydzi, którzy odgrywali jeszcze jakąś rolę w handlu lub przemyśle, zostali aresztowani i osadzeni przewencyjnie w obozie koncentracyjnym „dla zapewnienia im ochrony przed gniewem ludu”.<sup>100</sup>

Dopiero wówczas poznałem ich w masie. Dotąd w Sachsenhausen Żydów niemal nie było, teraz nagle nastąpiła żydowska inwazja. Dotychczas przekupstwo w Sachsenhausen prawie nie istniało, obecnie stało się zjawiskiem masowym i przybierało najrozmaitsze formy. Więźniowie kryminalni powitali Żydów radośnie jako obiekt eksploatacji. Trzeba było zabronić Żydom podejmowania pieniędzy, w przeciwnym bowiem razie wtargnęłoby do obozu rozprzeżenie niemożliwe do opanowania.

Szkodzili sobie nawzajem, gdzie tylko mogli. Każdy starał się uzyskać jakąś funkcjkę; co więcej — korzystając z pobłażliwości usłużnie nastawionych kapo — wymyślał wciąż takie nowe funkcjki, aby wykręcić się od pracy. Dla zdobycia „spokojnego stanowiska” nie wahali się usuwać współwięźniów przez fałszywe oskarżenie ich. Gdy już „stali się czymś”, bezlitośnie i chamsko dręczyli swych współplemieńców. Pod każdym względem prześcigali „zielonych”. W tym czasie wielu Żydów było doprowadzonych takim traktowaniem do rozpacz i w celu

<sup>99</sup> Höss tłumaczy antysemitizm jako antysemita. Hitlerizm uczynił z antysemityzmu główny oręż bestialskiego rasizmu. Uporczywie sugerował on masom, że głównym wrogiem Niemiec jest światowe żydostwo, kierując w ten sposób walkę klasową na tory walki rasowej.

<sup>100</sup> W dniu 7.11.1938r. w gmachu ambasady niemieckiej w Paryżu sekretarz ambasady Ernst von Rath został zastrzelony przez Herszela Grynszpana i w wyniku zamachu zmarł dnia 9.11. Wykorzystując ten fakt jako pretekst, rząd III Rzeszy wydał szereg rozporządzeń eliminujących Żydów od udziału w życiu gospodarczym, kulturalnym itp. w Niemczech i jednocześnie na wszystkich Żydów posiadających obywatelstwo III Rzeszy nałożył kontrybucję w wysokości 1 miliarda marek. Partia hitlerowska zorganizowała szereg „spontanicznych” ekscesów przeciwżydowskich, a władze policyjne otrzymały rozkaz nieprzeciwdziałania im.

uwolnienia się od tej udręki poszło na druty, podejmowało ucieczki, aby ich zastrzelono, czy też powiesiło się. Komendant meldował Eicke-mu o mnożeniu się takich wypadków. Eicke odpowiedział: Tylko nie przeszkadzajcie im, niech się Żydzi sami nawzajem pożerają.

Chciałbym tu jeszcze zaznaczyć, że jeśli o mnie chodzi, to osobiście nigdy nie czułem nienawiści do Żydów. Uważałem ich wprawdzie za wrogów naszego narodu, ale dlatego właśnie sądziłem, że należy ich traktować na równi z innymi więźniami i tak samo z nimi postępować. Nigdy nie robiłem żadnych różnic pod tym względem. Uczucie nienawiści jest mi w ogóle obce. Wiem jednak, co to jest nienawiść i jak ona wygląda. Widziałem ją i odczułem jej skutki na sobie.

Gdy *Reichsführer SS* pierwotny swój rozkaz z 1941 r., według którego wszyscy bez wyjątku Żydzi mieli zostać zniszczeni, zmienił o tyle, że Żydów zdolnych do pracy należało zatrudniać w przemyśle zbrojeniowym, wówczas Oświęcim stał się obozem żydowskim, żydowskim obozem zbiorczym o nie znanych dotychczas rozmiarach.

Gdy w poprzednich latach uwięzieni Żydzi liczyli na to, że pewnego dnia zostaną zwolnieni, i wskutek tego ciężar obozu był dla nich psychicznie o wiele lżejszy, to w Oświęcimiu Żydzi nie mieli żadnej nadziei co do tego. Wszyscy bez wyjątku wiedzieli, że są skazani na śmierć i tylko tak długo będą żyli, jak długo będą mogli pracować. Większość nie miała żadnych złudzeń co do zmiany swego smutnego losu. Byli fatalistami; cierpliwie i obojętnie znosili nędzę i udrękę obozu. Brak nadziei na uniknięcie przewidzianego końca powodował u nich zupełną obojętność wobec otaczającego świata. To załamanie psychiczne przyspieszało koniec fizyczny. Nie mieli już woli życia, wszystko stawało się dla nich obojętne; najłżejsza choroba powodowała zgon. Wcześniej czy później czekała ich pewna śmierć.

Na podstawie obserwacji twierdzę stanowczo, że wysoka śmiertelność Żydów była wynikiem nie tylko ciężkiej pracy, do której większość nie była przyzwyczajona, nie tylko wynikiem niedostatecznego wyżywienia, zatłoczonych pomieszczeń i innych trudności i niedomagań obozowego życia, lecz że uwarunkowana była przede wszystkim ich stanem psychicznym. Śmiertelność Żydów w innych miejscach pracy, w innych obozach, gdzie o wiele korzystniejsze były ogólne warunki egzystencji, nie była przecież o wiele mniejsza; była ona zawsze stosunkowo znacznie wyższa niż śmiertelność innych więźniów. W czasie moich podróży inspekcyjnych z ramienia D I dość się na to napatrzyłem i dostatecznie wiele o tym słyszałem.

Jeszcze wyraźniej można to było zauważyć u kobiet żydowskich; ginęły znacznie szybciej niż mężczyźni, jakkolwiek na podstawie własnych spostrzeżeń twierdzę, że kobiety są na ogół o wiele bardziej odporne



i wytrzymałe niż mężczyźni, zarówno pod względem psychicznym, jak i fizycznym.

To, co powiedziałem, odnosi się do większości żydowskich więźniów. Inaczej zachowywali się Żydzi inteligentniejsi, psychicznie silniejsi i mający więcej woli życia, pochodzący przeważnie z krajów zachodnich. Właśnie oni, zwłaszcza jeśli byli lekarzami, wiedzieli dobrze, jaki koniec ich czeka; mieli jednak nadzieję i liczyli na jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności, który może kiedyś nastąpi i uratuje im życie. Liczyli wreszcie na klęskę Niemiec, ponieważ nieprzyjacielska propaganda z łatwością docierała także i do nich.

Najważniejszą dla nich rzeczą było zdobycie jakiejś posady, jakiegoś stanowiska, dzięki któremu mogliby wydostać się z masy więźniów i uzyskać szczególne korzyści, takiego stanowiska, które do pewnego stopnia uchroniłoby ich przed przypadkową śmiercią i poprawiło materialne warunki egzystencji. Aby zdobyć taką „pozycję życiową” w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu, wysilali całą swą umiejętność i uporczywą wolę. Im bezpieczniejsze było stanowisko, tym bardziej go pożądanego, tym gwałtowniej o nie walczono. Nie zważano na żadne względy — w walce tej chodziło o życie. Nie cofano się przed użyciem wszelkich środków, aby spowodować opróżnienie dobrego stanowiska lub aby je móc otrzymać. Najczęściej zwyciężał ten, którego postępowanie odznaczało się większym brakiem skrupułów. Ustawicznie słyszałem, o walkach w celu usunięcia kogoś. W różnych obozach poznałem już dostatecznie metody walk o władzę toczonych pomiędzy poszczególnymi barwami i grupami politycznymi, walk i intryg o wyższe stanowiska. Jednakże od Żydów w Oświęcimiu mogłem się jeszcze pod tym względem wiele nauczyć. „Potrzeba jest matką wynalazków” — a tutaj naprawdę szło o nagie życie.

Zdarzało się nieraz, że liczba więźniów zajmujących bezpieczne stanowiska nagle malała; ludzie ci umierali po dowiedzeniu się o śmierci najbliższych członków rodziny, jakkolwiek nie było żadnego fizycznego powodu — ani choroby, ani złych warunków życia. Żydzi w ogóle odznaczają się silnym poczuciem rodzinnym i śmierć najbliższych krewnych sprawia, że życie staje się dla nich czymś bezwartościowym, czymś o co nie warto już walczyć.

Ale widziałem także coś zupełnie innego podczas akcji masowej zagłady; o tym jednak napiszę później.

Wszystko, co powiedziałem powyżej, odnosi się odpowiednio także do kobiet,<sup>101</sup> więźniarek poszczególnych kontyngentów, z tą tylko róż-

<sup>101</sup> Obóz dla więzionych kobiet mieścił się początkowo w odgradzonej murem części obozu macierzystego w Oświęcimiu, obejmującej bloki 1-10. W dniu 26. 3. 1942 r. przywieziono tam pierwszy transport z Ravensbrück w liczbie 999 więźniarek i drugi również w liczbie

nicą, że dla kobiet wszystko było o wiele cięższe, o wiele bardziej przytłaczające i dotkliwsze, gdyż warunki życia w obozie kobiecym były bez porównania cięższe. Kobiety miały o wiele mniej przestrzeni, warunki higieniczne i sanitarne były znacznie gorsze. W obozie kobiecym nigdy nie można było zaprowadzić należytego porządku wskutek panującego tam od samego początku przepelnienia i jego skutków. Tam było wszystko bardziej zmasowane niż u mężczyzn. Gdy kobiety osiągały pewien punkt zerowy, wówczas szybko następował koniec. Snuły się po terenie jak widma, całkowicie pozbawione woli, aż wreszcie pewnego dnia cicho umierały. Te chodzące zwłoki stanowiły potworny widok.

„Zielone” więźniarki (element kryminalny) były szczególnego rodzaju. Sądzę, że w Ravensbrück wyszukano dla Oświęcimia naprawdę najgorszy element spośród więźniarek.<sup>102</sup> Przewyższały one znacznie więźniów kryminalnych w podłości, chamstwie i nikczemności. Były to przeważnie prostytutki wielokrotnie już karane, często kobiety budzące wstręt. Było do przewidzenia, że takie bestie będą maltretować podległe im więźniarki, ale nie można było tego uniknąć. *Reichsführer SS* podczas pobytu w Oświęcimiu w 1942 r. uważał je za szczególnie odpowiednie na kapo dla Żydówek. Niewiele spośród nich umarło, poza przypadkami chorób zakaźnych. Duchowe cierpienia były im zupełnie obce.

Rzeź w Budach<sup>103</sup> dziś jeszcze stoi mi przed oczyma. „Zielone” wymordowały tam francuskie Żydówki; rozrywały je, dusiły, zabijały sie-

999 Żydówek ze Słowacji. W czasie istnienia obozu dla kobiet w obozie macierzystym zarejestrowano tam 17 316 więźniarek. Dnia 16 sierpnia 1942 r. przeniesione więźniarki do nowego obozu żeńskiego na odcinku BI a w Brzezince, a dnia następnego przystąpiono w obozie macierzystym do dezynfekcji bloków i rozbiórki murów, które otaczały obóz kobiecy. Obóz żeński w Brzezince stał się centralnym obozem dla kobiet niemieckich i innych narodowości. Już w dniu 10 lipca 1942 r. ukazało się zarządzenie RSHA, według którego w przyszłości należy kierować wszystkie więźniarki do oddziału żeńskiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (Ogólny Zbiór Zarządzeń RSHA, 2 F a s. 18).

<sup>102</sup> Himmler zarządził dnia 29. 9. 1942 r., że obóz koncentracyjny Ravensbrück ma być „judenfrei” i wszystkie Żydówki należy przenieść do oddziału żeńskiego obozu oświęcimskiego (Pismo okólne RSHA z dnia 2. 10. 1942 r. Dok. Norymb. PS-2524). Już przedtem przesiano tam z Ravensbrück przede wszystkim kryminalne i asocjalne „założycielki”, które objęły w Oświęcimiu stanowiska funkcyjnych.

<sup>103</sup> W czerwcu 1942 r. utworzono karną kompanię kobiet we wsi Budy. Umieszczono tam wówczas w budynku szkolnym 400 więźniarek oświęcimskich: 200 Polek przybyłych z Krakowa transportami dnia 27. 4. i 28. 5. 1942 r., Niemki, Żydówki ze Słowacji, a później Żydówki z Francji. Były one zatrudnione przy oczyszczaniu i pogłębianiu stawów oraz przy robotach ziemnych nad Wisłą.

W Budach rządy grozy sprawowały elementy kryminalne. Latem 1942 r. wybuchł tam bunt maltretowanych więźniarek, krwawo stłumiony przez kapo — zawodowe przestępczynie. W toku przesłuchania w dniu 11. 11. 1946 r. Höss wyjaśnił, że w czasie buntu „więźniarki za pomocą kamieni i drągów próbowały sterroryzować kapo i wyłamać się z obozu. Akcją kierowały Żydówki francuskie, które w tym czasie stanowiły większość załogi obozu. W czasie bójki, która się wywiązała między więźniarkami funkcyjnymi a więźniarkami francuskimi, zginęło 90 więźniarek francuskich. Akcja miała miejsce późną nocą. Po otrzy-

kierami. Było to okropne. Nie sędę, aby mężczyźni mogli przeistoczyć się w takie bestie.

Na szczęście nie wszystkie „zielone” i „czarne” więźniarki były takimi wykolejonymi istotami. Było wśród nich także kilka takich kobiet, które okazywały serce współwięźniarkom, za co jednak prześladowały je ich towarzyszki. Także większość dozorczyń nie miała dla nich zrozumienia.

Zupełne przeciwieństwo, nader pomyślne, stanowiły badaczki Pisma św., zwane „pszczołami biblijnymi”, „molami biblijnymi”. Było ich, niestety, zbyt mało. Mimo swej mniej lub więcej fanatycznej postawy były elementem bardzo pożądanym; pracowały w domach SS-manów mających liczne dzieci, w oficerskim kasynie SS, a głównie w gospodarstwach rolnych, jak np. w fermie drobiu na Harmężach<sup>104</sup> i na różnych folwarkach. Nie trzeba było ich nadzorować, niepotrzebne były posterunki; pracowały pilnie i chętnie, gdyż takie było przykazanie Jehowy. Były to przeważnie Niemki w starszym wieku, lecz również pewna liczba młodych Holenderek.

Dwie starsze kobiety pracowały w moim gospodarstwie domowym przeszło trzy lata. Moja żona mówiła mi nieraz, że ona sama nie mogłaby lepiej dbać o wszystko niż te dwie badaczki Pisma św. Szczególnie wzruszająco troszczyły się o dzieci — zarówno duże, jak i małe. Dzieci nasze były do nich tak przywiązane jak do osób należących do rodziny. Początkowo obawialiśmy się, że kobiety zechcą pozyskać dzieci dla Jehowy, okazało się jednak, że tego nie robiły; nigdy nie mówiły z dziećmi o sprawach religijnych. Było to właściwie dziwne, gdy wziąć pod uwagę ich fanatyczną postawę

Wśród badaczek Pisma św. znajdowały się także osobliwe istoty. Jedna z nich pracowała u oficera SS i starała się z oczu odczytywać wszystkie jego życzenia, ale odmawiała z zasady czyszczenia munduru,

maniu wiadomości udałem się zaraz do obozu i stwierdziłem, że Francuzki zostały zabite dragami, siekierami, niektóre miały zupełnie oderżnięte głowy, inne poniosły śmierć wyrzucane przez okno z piętra. Z walki wyszły zwycięsko funkcyjne — zawodowe przestępczynie. Były to same Niemki. Kilka z nich odniosło rany. (...) W toku dochodzeń ustalono, że strażnicy przerzucali przez ogrodzenie funkcyjnym przestępczyniom zawodowym swoje pałki. Pozostałe przy życiu więźniarki Francuzki tłumaczyły się, że do buntu porwały się z rozpacz, ponieważ kapo maltretowały je i szykanowały" (tom 21 akt dochodzeń w sprawie Hössa).

Dnia 16.8. 1942 r. przeniesiono do nowo utworzonego obozu żeńskiego w Brzezince 137 więźniarek z Bud i umieszczono je w bloku nr 2. Dnia 24.10.1942 r. sanitariusz SS Josef Klehr zabił dosercowymi zastrzykami fenolu 6 więźniarek, które brały udział w buncie, o czym wspomina w swym pamiętniku obozowy lekarz SS dr Johann Kremer.

<sup>104</sup> W Harmężach znajdowało się oświęcimskie *Aussenkommando* w zamku i w majątku barona Gustawa Zwillinga. Więźniowie pracowali przy hodowli drobnego inwentarza oraz w zakładach przetworów rybnych. Patrz T. Borowski: Dzień na Harmężach, Wybór opowiadań, Warszawa 1959, s. 59-89, A. Ziemia: Pajda chleba, Poznań 1957.

czapki, butów, tego wszystkiego, co miało związek z wojskiem; nie chciała nawet dotykać tych przedmiotów.

Na ogół badaczki Pisma św. były zadowolone ze swego losu. Wierzyły, że cierpiąc w niewoli dla Jehowy, uzyskają potem należne im miejsce w Jego królestwie, które wkrótce nadejdzie. Dziwne, że były one wszystkie przekonane, iż obecne cierpienia i śmierć Żydów są słuszną karą za to, że ich przodkowie zdradzili Jehowę. Badaczy Pisma św. zawsze uważałem za biednych obłąkańców, którzy jednak byli na swój sposób szczęśliwi.

Pozostałe więźniarki — narodowości polskiej, czeskiej, ukraińskiej i rosyjskiej — były używane do pracy w rolnictwie, jeśli tylko nadawały się do tych robót. W ten sposób unikały przebywania w przepelnionym obozie i jego złych skutków. W pomieszczeniach na folwarkach i w Rajsku<sup>105</sup> było im o wiele lepiej. Stale stwierdzałem, że więźniowie, którzy pracowali w gospodarstwie rolnym i mieli oddzielne pomieszczenia, sprawiali zupełnie inne wrażenie. Nie cierpieli tak na skutek psychicznego ucisku jak inni więźniowie w obozach masowych. Gdyby było inaczej, nie wykonywaliby tak chętnie wymaganej od nich pracy.

Natłoczony od samego początku obóz kobiecy oznaczał dla więźniarek zagładę psychiczną, po której wcześniej czy później następowało załamanie się fizyczne. W obozie kobiecym panowały warunki najgorsze pod każdym względem (i to od samego początku, gdy był jeszcze częścią obozu macierzystego). Z chwilą przybycia transportów Żydów ze Słowacji<sup>106</sup> baraki w ciągu paru dni zostały zapełnione aż do strychu; instalacje wodne i klozetowe wystarczały, z trudnością zaledwie dla jednej trzeciej ogółu kobiet.

Do utrzymania należytego porządku w tych rojących się mrowiskach potrzebne były inne siły niż te nieliczne dozorcynie przydzielone mi przez Ravensbrück. Muszę zaznaczyć, że znów nie przysłano mi najlepszych dozorczyń spośród tamtejszego personelu. Dozorcynie w Ravensbrück były przyzwyczajone do bardzo dobrych warunków. Robiono dla nich wszystko, aby je zatrzymać w obozie, a przez stworzenie szczególnie korzystnych warunków życiowych starano się pozyskiwać nowe dozorcynie. Miały najlepsze mieszkania, były opłacane według stawek, których nie mogły osiągnąć gdzie indziej, nie przeciążano ich obowiązkami służbowymi — krótko mówiąc, *Reichsführer SS*, a szczególnie

<sup>105</sup> Majątek Rajsko stanowił własne gospodarstwo rolne SS na obszarze interesów obozu oświęcimskiego. Więźniarki z tamtejszego podobozu pracowały na roli, w szczególności przy uprawie koksagizu (*Teraxacum*). jest to roślina z rodziny mieczowatych której korzenie zawierają kauczuk.

<sup>106</sup> Deportacja rozpoczęła się z końcem marca, a największe nasilenie osiągnęła w kwietniu 1942 r. W miesiącach tych zarejestrowano w Oświęcimiu 6 250 Żydówek ze Słowacji. Patrz R. Reitlinger. *Die Endlösung*, s. 440.

Pohl życzyli sobie, aby z dozorczyńcami jak najbardziej się liczyć. Obozowe warunki w Ravensbrück były do tego czasu normalne; nie można było jeszcze mówić o przepelnieniu. Teraz te dozorczyńce przybyły do Oświęcimia — przy czym żadna z nich nie przyjechała dobrowolnie — aby budować od nowa obóz w najcięższych warunkach.

Już na samym początku większość z nich chciała uciec z powrotem do spokojnego i wygodnego życia w Ravensbrück.

Ówczesna *Oberaufseherin*, p. Langenfeld,<sup>107</sup> mimo iż nie miała kwalifikacji, aby sprostać zadaniom w tej sytuacji, jednak uporczywie odrzucała wszelkie wskazówki *Schutzhaftlagerführera*. Gdy przekonałem się, że tego rodzaju nieporządek nadal trwać nie może, na własną rękę podporządkowałem obóz kobiecy *Schutzhaftlagerführerowi*. Nie zdarzało się niemal, aby przy apelu zgadzała się liczba więźniarek. W tym rozgardiaszu dozorczyńce biegały jak rozdrażnione kwoki i nie wiedziały, co począć. Trzy czy cztery dobre zostały ogłupione przez pozostałe. *Oberaufseherin* uważała się jednak za samodzielną kierowniczkę obozu i wniosła zażalenie przeciwko podporządkowaniu jej komuś innemu, kto był jej równy rangą. W rezultacie musiałem odwołać swoje zarządzenie.

W czasie odwiedzin Oświęcimia przez *Reichsführera SS* w lipcu 1942 r. przedstawiłem mu w obecności *Oberaufseherin* wszystkie niedomagania i powiedziałem, że p. Langenfeld nigdy nie będzie w stanie należycie kierować obozem kobiecym i jego rozbudową, oraz prosiłem o podporządkowanie jej *Schutzhaftlagerführerowi* obozu. Odmówił mi mimo najbardziej przekonujących dowodów świadczących o nieprzydatności zarówno kierowniczką, jak i ogółu dozorczyń. Wyraził życzenie, żeby obozem kobiecym kierowała kobieta i aby przydzielić jej tylko do pomocy jednego oficera SS. Który oficer chciałby się jednak podporządkować kobiecie? Każdy oficer, z konieczności tam przydzielony, prosił mnie, aby go możliwie jak najszybciej odwołać. Przy nadejściu większych transportów sam kierowałem akcją, jeśli tylko miałem czas.

W ten sposób od samego początku obóz kobiecy przeszedł w ręce więźniarek. W miarę, jak obóz stawał się większy i mniej dostępny dla kontroli, coraz wyraźniej zaczęło występować zjawisko samorządu więźniarek. Ponieważ w samorządzie przeważały „zielone” — bardziej przebiegłe i bezwzględne, one właściwie rządziły w obozie kobiecym, mimo że stanowisko „starszej obozu” oraz inne najważniejsze funkcje sprawowały „czerwone”. Jako kapo pracowały przeważnie „zielone” lub „czarne”. Tylko wskutek tego w obozie kobiecym panowały wciąż najbardziej opłakane stosunki.

Dawne dozorczyńce przewyższały jednak o całe niebo te, które przy-

<sup>107</sup> Funkcja *Oberaufseherin* odpowiadała funkcji *Schutzhaftlagerführera* w obozie męskim.

szy później. Dobrowolnie — mimo gorliwej akcji werbunkowej prowadzonej przez narodowosocjalistyczne organizacje kobiece — do służby w obozach koncentracyjnych zgłaszało się bardzo niewiele kandydatek.

Wzrastające z każdym dniem zapotrzebowanie trzeba więc było pokrywać w drodze przymusowej. Każde przedsiębiorstwo zbrojeniowe, któremu miano przydzielić do pracy więźniarki, musiało przeznaczyć pewien procent swoich pracowników do obozów w charakterze dozorczyń. Jest rzeczą zrozumiałą, że w związku z wywołaną wojną powszechnym brakiem wykwalifikowanych sił kobiecych firmy nie oddawały do dyspozycji najlepszego materiału ludzkiego. Takie dozorczyńie „szkolono” przez kilka tygodni w Ravensbrück, po czym przydzielano do obozów. Ponieważ wybór i przydziały dokonywane były w Ravensbrück, Oświęcim znowu znalazł się na samym końcu. Ravensbrück zatrzymywał dla siebie siły, które wydawały się najlepsze, gdyż miały tam powstać nowe kobiece obozy pracy.

Tak wyglądała sprawa dozoru w kobiecym obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Poziom moralny dozorczyń był z zasady niezmiernie niski; wiele dozorczyń stawało przed sądem SS za kradzież wartościowych przedmiotów uzyskanych podczas Akcji Reinhardt,<sup>108</sup> lecz tylko niektóre spośród nich zostały schwytane na gorącym uczynku. Mimo najbardziej odstraszaających kar kradły nadal i w dalszym ciągu posługiwały się więźniarkami jako pośredniczkami.

Dla ilustracji jaskrawy przykład. Pewna dozorczyńi upadła tak nisko, że utrzymywała stosunki płciowe z więźniami, przeważnie „zielonymi” kapo, przy czym kazała sobie dawać wynagrodzenie w postaci biżuterii, złota itp. Dla zamaskowania bezecnego procederu nawiązała stosunek z pewnym *Stabscharführerem*, u którego przechowywała „ciężko zapracowane” dochody. Ten głupi człowiek nie miał pojęcia o sprawkach swojej najdroższej i był bardzo zdziwiony, gdy znaleziono u niego skradzione przedmioty. Dozorczyńi została skazana przez *Reichsführera SS* na dożywotnie zamknięcie w obozie koncentracyjnym i karę chłosty (dwa razy po 25 kijów).

Podobnie jak homoseksualizm w obozach męskich, grasowała w obozie kobiecym epidemia miłości lesbijskiej. Nie można było jej zwalczyć nawet za pomocą najsurowszych kar czy wysyłania do kompanii karnej. Wciąż donoszono mi o tego rodzaju stosunkach między dozorczyńiami a więźniarkami. Wszystko to świadczy o poziomie dozorczyń. Jest rzeczą oczywistą, że nie przejmowały się one zbytnio służbą i swymi

<sup>108</sup> Kryptonim używany na zakonspirowane oznaczanie zabierania i wykorzystywania wszelkiego mienia Żydów zabijanych masowo w komorach gazowych, łącznie ze złotem z protez dentystycznych i włosami kobiecymi. W różnych dokumentach występuje różna pisownia, najczęściej Reinhardt. Jest to właściwa pisownia tego imienia.

obowiązkami, że najczęściej nie można było na nich polegać. Niewielkie były możliwości ukarania ich za przestępstwa służbowe. Areszt domowy można było uważać raczej za przywilej, ponieważ nie musiały wówczas wychodzić w czasie złej pogody. Wszystkie kary wymagały uprzedniego zezwolenia inspektora obozów koncentracyjnych albo Pohla, przy czym należało stosować możliwie jak najmniej kar; usterki miały być wyrównywane przez dobrotliwe pouczenia i odpowiednie kierowanie. Dozorczynie wiedziały, oczywiście, o tym wszystkim i większość z nich odpowiednio się zachowywała.

Zawsze miałem wielki szacunek dla kobiet. W Oświęcimiu zrozumiałem jednak, że zasadnicze moje stanowisko musi ulec ograniczeniu i że należy najpierw dobrze obserwować kobietę, zanim można ją będzie traktować z całym szacunkiem.

To, co powiedziałem powyżej, odnosi się do większości dozorczyń. Były jednak wśród nich także kobiety dobre, godne zaufania i wysoce przyzwoite, jakkolwiek było ich niewiele. Nie trzeba chyba podkreślać, że bardzo cierpiały, znajdując się w takim otoczeniu i w takich warunkach. Nie mogły się z nich wydostać, gdyż były zobowiązane do służby wojskowej. Niektóre z nich skarżyły mi się — a jeszcze częściej mojej żonie — na swą niedolę. Można je było pocieszać jedynie w ten sposób, że wojna się skończy. Była to naprawdę słaba pociecha.

Kobiece drużyny robocze pracujące poza obozem były nadzorowane również przez psy. Już w Ravensbrück przydzielano dozorczyńom psy w celu zmniejszenia personelu dozoru zewnętrznego drużyny robocze. Wprawdzie dozorczyńe były uzbrojone w pistolety, lecz *Reichsführer SS* spodziewał się, że psy podziałają na więźniarki odstraszająco. Kobiety bowiem zazwyczaj bardzo się boją psów, gdy mężczyźni mniej się z nimi liczą.

W Oświęcimiu, gdzie były takie masy więźniów, nadzór nad drużynami pracującymi poza obozem był zawsze problematyczny, gdyż liczebność załogi była stale niedostateczna. Przy dozorowaniu większych miejsc pracy pomocny był łańcuch posterunków. System ten nie mógł jednak znaleźć zastosowania w rolnictwie, przy kopaniu rowów itp. ze względu na wciąż zmieniające się miejsca pracy, które nieraz przesuwały się w ciągu tego samego dnia. Ponieważ było mało dozorczyń, stało się niezbędne użycie możliwie licznych oddziałów z psami. Jednak nawet 150 psów okazało się liczbą niewystarczającą. *Reichsführer SS* liczył, że użycie jednego psa pozwoli zaoszczędzić dwóch strażników. Jeśli chodzi o drużyny kobiece, było to możliwe wskutek powszechnego lęku przed psami.

Oświęcimska „psia kompania” była z pewnością, jeśli chodzi o żół-

nierzy, czymś najbardziej doborowym, co kiedykolwiek istniało — ale w ujemnym sensie. Gdy zaczęto poszukiwać ochotników do przeszkolenia na przewodników psów, zgłosiła się aż połowa batalionu. Kandydaci spodziewali się, że będą mieli w tych drużynach lżejszą i bardziej urozmaiconą służbę. Ponieważ nie można było uwzględnić zgłoszeń wszystkich ochotników, kompanie znalazły szczególnie chytrze pomyślane wyjście z sytuacji — zgłosiły wszystkich najgorszych żołnierzy, aby się ich pozbyć z oddziałów. Niech się teraz inni martwią z ich powodu. Wśród zgłoszonych kandydatów mało było takich żołnierzy, którzy by nie mieli kar dyscyplinarnych. Gdyby dowódca oddziału dokładnie rozpatrzył zgłoszenia, to nie wysłałby tych ludzi na przeszkolenie. W okresie szkolenia w specjalnym zakładzie w Oranienburgu odesłano niektórych kandydatów jako całkowicie nie nadających się do pracy.

Przeszkoleni żołnierze wrócili do Oświęcimia i utworzono z nich „psią kompanię”. Od razu było widać, z jaką wspaniałą jednostką ma się do czynienia. A cóż dopiero przy pracy! Albo bawili się z psami, albo leżeli w jakiejś kryjówce i spali, pies przecież obudzi ich w razie „zbliżenia się nieprzyjaciela”, albo też zabawiali się rozmową z dozorczyńcami czy więźniarkami. Wielu spośród nich miało regularne stosunki z „zielonymi” instruktorkami. Ponieważ byli stale zatrudnieni w obozie kobiecym, stałe przychodzenie do „swojej” drużyny nie stanowiło dla nich trudności.

Z nudów i dla zabawy szczuli psami więźniarki. Jeśli chwytano ich na gorącym uczynku, tłumaczyli się, że pies sam rzucił się na więźniarkę na skutek jej podejrzanego zachowania się, że zgubił smycz itp. Wy-mówki zawsze mieli w pogotowiu.

W myśl regulaminu musieli pracować codziennie nad dalszym wy-szkoleniem psów. Ze względu na to, że kształcenie nowych specjalistów było bardzo uciążliwe, przeszkolonych żołnierzy można było zwalniać tylko z powodu szczególnie ciężkich uchybień, jak na przykład w razie ukarania przez sąd SS, złego obchodzenia się z psami lub bardzo po-ważnego zaniedbania obowiązków.

Stary wachmistrz policji opiekujący się psami, który od przeszło 25 lat miał z nimi do czynienia, wpadał często w rozpacz z powodu zachowania się żołnierzy należących do psiej drużyny. Wiedzieli oni, że nic poważnego im nie grozi, że nie zostaną tak łatwo zwolnieni ze służby. Inny dowódca i tę bandę nauczyłby rozumu, ale ci panowie mieli o wiele ważniejsze zadania. Ile zmartwień miałem z powodu tej psiej drużyny, ileż starć z dowódcą załogi.<sup>109</sup> Glücks uważał, że nie wykazywałem nigdy zrozumienia dla rzeczywistych interesów załogi i dlatego też nigdy

<sup>109</sup> Był nim SS-Obersturmbannführer Fritz Hartjenstein.



nie mogłem doprosić się u niego zwolnienia ze służby oficera, który był już nie do zniesienia w obozie. Bardzo wiele złego dałoby się uniknąć, gdyby stosunek Glücksa do mnie był inny.

*Reichsführer SS* dążył podczas wojny do coraz większego zastępowania personelu nadzorczego przez różne mechaniczne środki — przez stosowanie łatwo przenośnych zapór z drutu, przez zabezpieczanie miejsc pracy naładowanymi elektrycznością zaporami z drutu, a nawet polami minowymi, przez posługiwanie się w szerszym zakresie psami. Komentant, który by wynalazł rzeczywiście dobry sposób zmniejszenia personelu nadzorczego, miał otrzymać natychmiast awans. Nic jednak z tego wszystkiego nie wyszło.

*Reichsführer SS* łudził się, że psy można tak wytresować, aby nieustannie otaczały więźniów — podobnie strzegą stada owiec — i aby w ten sposób udaremniały ucieczkę. Sądził, iż jeden strażnik z kilkoma psami mógłby wówczas spokojnie nadzorować nawet stu więźniów. Próby tego rodzaju nie dawały jednak żadnych wyników, ludzie to nie bydło. Psy są i pozostaną zawsze tylko zwierzętami, nad którymi człowiek góruje nawet wówczas, gdy wpoi się psu największe uczulenie na strój i odór więźniów, kiedy jak najdokładniej wytresuje się go w ten sposób, aby nie pozwalał więźniom na jakiegokolwiek zbliżanie się. Jeśli więźniom udało się w jakimś miejscu odwrócić uwagę psów, wówczas pozostawiały one bez ochrony znaczny odcinek, który można było wykorzystać do ucieczki. Psy nie potrafiły również przeszkodzić więźniom w ucieczce zbiorowej. Mogłyby wprawdzie przysporzyć wiele złego kilku więźniom, ale zostałyby jednak zabite wraz ze swymi „pasterzami”.

Himmler chciał dalej, aby psy zastąpiły posterunki na wieżach strażniczych. Psy miały krążyć na pewnych odcinkach wokół obozu lub stałych miejsc pracy pomiędzy zaporami z drutu i dawać znać o ewentualnym zbliżaniu się więźniów oraz uniemożliwiać przerywanie zapory. I to jednak nie dało wyników. Psy bądź zasypiały w jakimś miejscu, bądź dawały się wprowadzić w błąd przez więźniów. Przy sprzyjającym wietrze przeciwnym pies w ogóle nic nie zauważył lub też jego szczekanie nie dochodziło do posterunków podsłuchowych.

Zaminowanie terenu było bronią obosieczną. Miny należało dokładnie układać i precyzyjnie rozmieszczać na planie pola minowego, gdyż po upływie kwartału stawały się bezużyteczne i trzeba je było wymieniać. Części tego terenu musiano z różnych powodów używać i dlatego więźniowie mogli zauważyć, które miejsca są wolne od min.

Głobocnik zastosował minowanie wokół miejsc masowej zagłady. Mimo gruntownego zaminowania Sobiboru Żydzi, znając drogi wolne od

min, potrafili z niego uciec, zabili przy tym prawie wszystkich dozorców.<sup>111</sup> Wobec inteligencji człowieka bezsilne jest zarówno zwierzę, jak i technika. Nawet podwójnie zabezpieczoną zaporę naładowaną elektrycznością można w okresie suszy pokonać działając rozważnie, z zimną krwią i posługując się najprostszymi środkami. Wielokrotnie udawały się takie próby. Natomiast żołnierze, którzy od zewnątrz podchodzili zbyt blisko do zapory, musieli nieraz przepłacać tę nieostrożność życiem. Mówiłem już w wielu miejscach o tym, że za swoje główne zadanie uważałem rozbudowę za pomocą wszelkich możliwych środków wszystkich zakładów należących do SS w zasięgu obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Jeżeli w jakimś spokojniejszym okresie zdawało mi się, że widzę już koniec zarządzeń i zaleceń *Reichsführera SS* oraz zakończenie robót budowlanych, wówczas nagle przychodziły znowu plany i znów coś innego było gwałtownie potrzebne.

Ten ciągły pośpiech, to wieczne naglenie przez *Reichsführera SS*, przez trudności wynikłe wskutek wojny, przez niemal codziennie powstające niedomagania w obozach wynikłe z nieprzerwanego napływu więźniów — sprawiały, że myślałem wyłącznie o swej pracy, że patrzyłem na wszystko tylko z tego punktu widzenia. Będąc sam przynaglany do działania, nie dawałem także wytchnienia ogółowi moich podwładnych: SS-manom, cywilnym funkcjonariuszom, zainteresowanym komórkom, firmom i więźniom. Istniało dla mnie już tylko jedno: posuwać się w pracy jak najszybciej naprzód, aby stworzyć lepsze warunki i móc wykonać otrzymane rozkazy.

*Reichsführer SS* żądał od każdego, aby przy wypełnianiu obowiązków dawał z siebie wszystko aż do samozaparcia się. Każdy człowiek w Niemczech powinien być w całej pełni wykorzystany, abyśmy mogli wygrać wojnę. Zgodnie z wolą *Reichsführera SS* obozy koncentracyjne zostały włączone w dzieło wzmoczenia zbrojeń. Temu zadaniu należało podporządkować wszystko z całą bezwzględnością. O stanowisku Himmlera świadczyło wymownie jego świadome przechodzenie do porządku nad stosunkami panującymi w obozie, które stawały się nie do zniesienia. Zbrojenia trwały i należało pokonywać wszystkie przeszkody.

<sup>111</sup> W dniu 14. 10. 1943 r. w obozie zagłady w Sobiborze wybuchło powstanie więźniów. Powstanie było przygotowane przez tajną organizację więźniów, na której czele stał Jeniec, kapitan armii radzieckiej Sasza Pieczerski oraz Żyd Leon Feldhendler, pochodzący z Żółkiewki. Chodziło o około 150 Żydów radzieckich, polskich i holenderskich. Moment wybuchu powstania został przyspieszony, na skutek wstrzymania transportów Żydów przeznaczonych na zagładę, co pozwalało przypuszczać, że obóz zostanie w niedługim czasie zlikwidowany wraz z resztą znajdujących się w nim więźniów. Więźniowie zabili kilkunastu SS-manów i kilku nacjonalistów ukraińskich należących do straży obozowej. Kilkunastu więźniom udało się przejść bez szwanku pola minowe otaczające obóz i ukryć się w lasach. Tylko ci ocaleli, reszta została wymordowana. Dnia 2 września 1943 r. miał miejsce podobny bunt w Treblince. Patrz G. Reitlinger: *Die Endlösung*, s. 160-161.

Nie wolno mi było pozwolić sobie na żadne uczucia, które by mogły się temu przeciwstawić. Musiałem być jeszcze bardziej surowy, nieczuły i coraz bardziej bezlitosny wobec niedoli więźniów. Widziałem wszystko zupełnie dokładnie, czasem aż nazbyt realnie, ale nie wolno mi się było temu poddać. W obliczu ostatecznego celu — konieczności wygrania wojny — wszystko, co ginęło po drodze, nie powinno mnie być powstrzymywać od działania i musiało być uważane za pozbawione znaczenia.

W taki właśnie sposób pojmowałem wówczas swoje zadanie. Nie wolno mi było pójść na front, musiałem więc w ojczyźnie czynić dla frontu wszystko, co było w mojej mocy.

Dzisiaj widzę, że także i moje wysiłki nie mogły wpłynąć na wygranie wojny. Wówczas jednak głęboko wierzyłem w nasze zwycięstwo, dla którego, jak sądziłem, powinienem pracować i nie wolno mi niczego zaniedbać.

Zgodnie z wolą *Reichsführera SS* Oświęcim stał się największym w dziejach zakładem uśmiercania ludzi. Gdy w lecie 1941 r. Himmler osobiście wydał mi rozkaz przygotowania w Oświęcimiu miejsca masowej zagłady ludzi, nie potrafiłem sobie wówczas nawet w najmniejszym stopniu wyobrazić jego rozmiarów ani skutków. Wprawdzie rozkaz był czymś niesłychanym i potwornym, ale jego uzasadnienie sprawiło, że akcja eksterminacyjna wydała mi się słuszna. Wówczas nie zastanawiałem się nad tym, otrzymałem rozkaz i miałem go wykonać. Nie mogłem sobie pozwolić na sąd o tym, czy masowe uśmiercanie Żydów jest konieczne, czy nie; tak daleko patrzeć nie mogłem. Jeśli sam *führer* nakazał „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”, stary narodowy socjalista, a tym bardziej oficer SS nie mógł się nad tym zastanawiać. „*führer* rozkazuje, my jesteśmy posłuszni” — hasło to bynajmniej nie było przez nas uważane za frazes. Pojmowaliśmy je bardzo poważnie.

Od czasu mojego uwięzienia mówiono mi wiele razy, że mogłem sprzeciwić się temu rozkazowi, że nawet mogłem zastrzelić Himmlera. Nie sądzę, aby wśród tysięcy oficerów SS choć jeden pozwolił sobie na samą myśl o tym. Było to po prostu niemożliwe. Wprawdzie wielu oficerów SS szemrało, a nawet urągało z powodu niejednego surowego rozkazu *Reichsführera SS*, ale wykonywali oni wszystkie rozkazy. *Reichsführer* boleśnie dotknął wielu oficerów SS swoją nieubłaganą surowością, lecz ani jeden spośród nich nie odważyłby się — według mego najgłębszego przekonania — targnąć na niego nawet w swych najskrytszych myślach. Osoba *Reichsführera SS* była nietykalna. Jego zasadnicze rozkazy wydawane w imieniu *führera* były święte. Nie było możliwości zastanawiania się nad nimi i interpretowania ich. Wykonywane

były aż do ostatecznych konsekwencji, aż do świadomego oddania życia, jak to uczyniło niemało oficerów SS podczas wojny.

Nie na darmo w czasie szkolenia zwracano szczególną uwagę SS-manów na przykłady poświęcania się Japończyków dla państwa i cesarza, który był zarazem ich bogiem. Szkolenie SS nie miało bez śladu jak wykłady uniwersyteckie. Tkwiło głęboko w żołnierzach SS i *Reichsführer SS* dobrze wiedział, czego można żądać od swych sztafet ochronnych.

Osoby postronne nie mogą zrozumieć, że nie było ani jednego oficera SS, który by mógł odmówić wykonania rozkazu *Reichsführeria* lub zabić go z powodu wydania okrutnego rozkazu. Każdy rozkaz *führera*, a dla nas również rozkaz *Reichsführeria SS*, był zawsze słuszny. Nawet Anglicy wyznają w sprawach państwowych zasadę *right or wrong — my country*,<sup>112</sup> którą kieruje się każdy Anglik mający wyrobioną świadomość narodową.

Zanim zaczęła się masowa zagłada Żydów, w latach 1941—1942 prawie we wszystkich obozach koncentracyjnych zlikwidowano radzieckich „politruków” i komisarzy politycznych.

Stosownie do tajnego zarządzenia *führera*<sup>113</sup> specjalne jednostki *Gestapo* wyszukiwały „politruków” i komisarzy politycznych w obozach jeńców. Ci, których znaleziono, byli przenoszeni do najbliższego obozu koncentracyjnego i tam likwidowani. Jako przyczynę zastosowania tego środka podano do powszechnej wiadomości, że Rosjanie zabijają na miejscu każdego niemieckiego żołnierza, który jest członkiem partii lub należy do jakiegokolwiek komórki NSDAP, szczególnie członków SS, oraz że funkcjonariusze polityczni Armii Radzieckiej mają polecenie w razie dostania się do niewoli siać niepokój w obozach jeńców i sabotować pracę.

Wybrani w ten sposób w obozach jeńców funkcjonariusze polityczni Armii Radzieckiej przysłani zostali również do Oświęcimia. Pierwsze, mniejsze transporty zostały rozstrzelane przez oddziały egzekucyjne.<sup>114</sup> W czasie mojej nieobecności spowodowanej podróżą służbową mój zastępca *Schutzhaftlagerführer* Fritsch zastosował przy zabijaniu gaz, preparat kwasu pruskiego — cyklon B,<sup>115</sup> używany w obozie do niszcze-

nia robactwa. Zapas cyklonu znajdował się zawsze na miejscu. Po moim powrocie Fritzsch zameldował mi o tym <sup>116</sup> i przy następnym transporcie znów użyto tego gazu. Zagazowanie przeprowadzano w aresztach bloku 11. Ja sam, mając na twarzy maskę gazową, przyglądałem się uśmiercaniu. W zapchanych celach śmierć następowała natychmiast po wrzuceniu cyklonu. Krótki, już prawie zdławiony krzyk — i już było po wszystkim.

Pierwszy wypadek stracenia ludzi za pomocą gazu nie dotarł należycie do mojej świadomości, być może dlatego, że byłem pod silnym wrażeniem całej procedury. Lepiej przypominam sobie zagazowanie 900 Rosjan; odbyło się ono wkrótce potem w starym krematorium, ponieważ korzystanie z bloku 11 wymagało zbyt wiele zachodu.

W czasie wyładowywania transportu zrobiono w suficie kostnicy kilka dziur. Rosjanie musieli rozebrać się w przedsionku, po czym wchodzili zupełnie spokojnie do kostnicy, powiedziano im bowiem, że mają być odwzieszeni. Transport wypełnił akurat całą kostnicę. Następnie zamknięto drzwi, a przez otwory wsypano gaz. Nie wiem, jak długo trwało uśmiercanie, ale przez dłuższy czas słychać było jakiś szmer. Przy wrzucaniu gazu kilku jeńców krzyknęło *gaz*, po czym rozlekl się głośny ryk i za-

do obozu oświęcimskiego była spółka dra Tescha i Stabenowa, znana pod firmą *Testa*. Z zachowanych dokumentów wynika, że cyklon przywożono do Oświęcimia samochodami ciężarowymi SS wprost ze składów tej firmy w Dessau. Zestawienie obrotów firmy *Degesch* i *Testa* dowodzi, że w 1942 r. dostarczyły one do Oświęcimia 7 478,6 kg, a w 1943 r. — 12174,09 kg cyklonu B. Czysty zysk tych firm z handlu ludobójczą trucizną wzrósł z 45 735,78 marek w 1941 r. do 127 985,79 marek w 1943 r. Dr Bruno Tesch został po wojnie skazany na karę śmierci. Generalny dyrektor firmy *Degesch*, dr Gerhard Peters, osiem razy stawał przed sądami niemieckimi. Tłumaczył się on między innymi tym, że produkując cyklon B, działał w najlepszej wierze, iż „przynosi ulgę ludziom i tak skazanym na śmierć”. Po raz ostatni zasiadł Peters na ławie oskarżonych w 1955 r. przed sądem przysięgłych we Frankfurcie nad Menem, który uniewinnił go „z braku dowodów winy”. W motywach wyroku sąd przysięgłych podkreślił, „że wprawdzie Peters zgodził się dobrowolnie dostarczać trującego gazu do obozu, ale dzisiaj nie można bez zarzutu dowieść, czy rzeczywiście przy użyciu cyklonu B uśmiercano ludzi w Oświęcimiu”.

<sup>116</sup> Przygotowanie i wykonanie tego pierwszego masowego zabijania ludzi za pomocą cyklonu B miało następujący przebieg: Dnia 2.9.1941 r. Fritzsch w bunkrze bloku 11 pozostawił 10 więźniów osadzonych tam dnia poprzedniego w związku z ucieczką więźnia z karnej kompanii. Pozostali z tej grupy w liczbie 9 oraz inni więźniowie karnej kompanii wynieśli na strych wszystkie łóżka z bloku 11. Całą karną kompanię skierowano po pracy do bloku 5 a. Dnia 3 września przeniesiono do bunkra 250 chorych więźniów z bloków szpitalnych i wpędzono tam około 600 radzieckich jeńców, po czym zasypano okna bunkrów ziemią. Gaz wsypywali SS-mani przez drzwi, które następnie zamknięto. Dnia 4. 9. 1941 r. *Rapportführer* Palitzsch w masce gazowej otworzył drzwi bunkrów. Okazało się, że niektórzy ludzie jeszcze żyją, wobec czego dosypano jeszcze cyklonu B i znów zamknięto drzwi. Wieczorem dnia 5. 9. 1941 r. zabrano 20 więźniów z karnej kompanii (blok 5 a) oraz pielęgniarzy z bloków szpitalnych i przeprowadzono ich na podwórze bloku 11, gdzie znajdowali się oficerowie SS Fritzsch, Meier, Palitzsch i lekarz dr Entress. Więźniom wydano maski gazowe, rozkazano wejść do bunkrów i wynosić zwłoki na podwórze, skąd do późnej nocy przewożono je wozami do krematorium. Wśród zabitych znajdowały się zwłoki 10 więźniów osadzonych w bunkrze w związku z ucieczką więźnia z karnej kompanii. Patrz D. Czech: *Kalendarz wydarzeń w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka*, „Zeszyty Oświęcimskie” 1959, nr 2.

często napierać od wewnątrz na drzwi. Jednakże drzwi wytrzymały napór. Dopiero po kilku godzinach otwarto i przewietrzono pomieszczenie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem w takiej masie zwłoki zagazowanych. Jakkolwiek gorzej wyobrażałem sobie śmierć wskutek zagazowania, to jednak poczułem się nieswojo: ogarnęło mnie uczucie grozy. Śmierć taką wyobrażałem sobie zawsze jako pełne męczarni zaduszenie, tymczasem na zwłokach nie było widać jakichkolwiek śladów skurczów. Jak mi wyjaśnili lekarze, kwas pruski działa paraliżująco na płuca, lecz działanie jest tak szybkie i silne, że nie wywołuje objawów uduszenia, jak to jest na przykład przy gazie świetlnym lub całkowitym braku tlenu. Nad samą kwestią zabijania radzieckich jeńców nie zastanawiałem się wówczas. Taki był rozkaz i musiałem go wykonać. Otwarcie jednak powiem, że zagazowanie tego transportu podziało na mnie uspokajająco, wkrótce przecież trzeba było rozpocząć masowe uśmiercanie Żydów, a dotychczas ani ja, ani Eichmann<sup>117</sup> nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, w jaki sposób będzie się odbywać masowe zabijanie. Miał być użyty jakiś gaz, ale nie wiadomo było, o jaki gaz chodzi i jak należy go używać. Teraz znaleźliśmy zarówno gaz, jak i sposób postępowania. Zawsze ogarniała mnie groza, gdy myślałem o masowych rozstrzelaniach, zwłaszcza kobiet i dzieci. Miałem już dość egzekucji zakładników i innych masowych rozstrzeliwań nakazywanych przez *Reichsführera SS* albo RSHA. Teraz byłem spokojny, że rzezie ominą nas wszystkich i że ofiarom można będzie do ostatniej chwili oszczędzić cierpień. To właśnie było moją największą troską, gdy myślałem o tym, co Eichmann opowiadał o rozstrzelaniach Żydów przez oddziały operacyjne<sup>118</sup> za pomocą karabinów maszynowych albo pistoletów maszynowych. Podobno rozgrywały się potworne sceny: postrzeleni uciekali, a rannych — przede wszystkim kobiety i dzieci — dobijano. Częste samobójstwa w szeregach oddziałów operacyjnych były spowodowane tym, że ciągle nurzanie się we krwi stawało się nie do zniesienia. Kilku członków tych oddziałów zwariowało, a większość podtrzymywała się alkoholem przy wykonywaniu swej strasznej roboty.

<sup>117</sup> Patrz charakterystyka Adolfa Eichmanna na s. 247.

<sup>118</sup> Oddziały operacyjne - *Einsatzkommandos* — wchodziły w skład specjalnych formacji *Sipo* i *SD* — *Einsatzgruppen*. Zadaniem tych formacji było likwidowanie na okupowanych terenach ZSRR komisarzy politycznych, komunistów i Żydów oraz zwalczanie partyzantów i ruchu oporu. Rozpoczęły one działalność bezpośrednio po zajęciu terenu przez frontowe oddziały *Wehrmachtu*. Wyrok Amerykańskiego Trybunału Wojskowego w Norymberdze z dnia 8 -10.4. 1948 r. w sprawie przeciwko dowódcom tych specjalnych formacji stwierdził, że wymordowały one około 2 milionów mężczyzn, kobiet i dzieci spośród niewinnej ludności cywilnej (Proces IX. Wyrok wraz z uzasadnieniem ogłoszono w polskim tłumaczeniu w Biuletynie XIV GKEZH 1963 r.). Patrz również G. Reitlinger: *Die Endlösung*, s. 205 i n.

Według opowiadań Hoeflego<sup>119</sup> ludzie z Globocnikowych zakładów eksterminacji również spożywali niesamowite ilości alkoholu.

Wiosną 1942 r. przybyły z Górnego Śląska pierwsze transporty Żydów,<sup>120</sup> którzy mieli być wszyscy zabici. Zaprowadzono ich z rampy do bunkra I,<sup>121</sup> urządzonego w zagrodzie chłopskiej, przez łąki, na których później znajdował się odcinek budowlany III. Prowadzili ich Aumeier i Palitzsch oraz kilku *Blockführerów*; rozmawiali z nimi możliwie bez troski, wypytując o zawody i umiejętności, aby w ten sposób wprowadzić ich w błąd.

Po przyjeździe do zagrody kazano się Żydom rozebrać. Początkowo szli spokojnie do izb, w których miała się odbyć dezynfekcja, ale niebawem kilku z nich zaczęło okazywać zaniepokojenie i mówić o śmierci przez uduszenie. Powstała pewnego rodzaju panika. Natychmiast wszystkich Żydów znajdujących się jeszcze na zewnątrz wpędzono do komór i zamknięto za nimi drzwi na śruby.

Przy następnych transportach od razu wyławiano niespokojne elementy i nie spuszczano ich z oczu. Jeżeli zauważono zaniepokojenie, to tych, którzy je szerzyli, prowadzono niepostrzeżenie poza budynek i tam zabijano z karabinu małokalibrowego w taki sposób, aby inni nie mogli zauważyć. Obecność *Sonderkommando* i jego spokojne zachowanie się zmniejszało zaniepokojenie tych, którzy przeczuwali coś złego. Uspokajający wpływ wywierało i to, że niektórzy członkowie *Sonderkommando* wchodzili do pomieszczeń i pozostawali w nich do ostatniego momentu, a jeden z SS-manów stał do końca pod drzwiami.

Najważniejsze jednak było to, aby przy całej procedurze doprowadzania i rozbierania więźniów panował jak największy spokój. Tylko bez krzyków, bez popędzania! Jeżeli ktoś nie chciał się sam rozebrać, uciekano się do pomocy tych, którzy już byli rozebrani, albo członków *Sonderkommando*. Nawet opornych uspokajano, przemawiając do nich ła-

<sup>119</sup> *SS-Hauptsturmführer* Hans Hoefle (ur. 19.6. 1911 r.), członek NSDAP i SS (nr 307469) był *Stabsführerem* u Globocnika w Lublinie. Höss poznał się z nim bliżej w 1944 r. podczas swej pracy na stanowisku szefa urzędu D I WVHA w Oranienburgu.

<sup>120</sup> według Danuty Czech akcja ta miała się rozpocząć już w styczniu 1942 r. (D. Czech: Kalendarz wydarzeń, „Zeszyty Oświęcimskie” 1958, nr 3, s. 62). Broszat podaje np., że Żydzi z Bytomia zostali deportowani do Oświęcimia w dniu 15. 2. 1942 r.

<sup>121</sup> Bunkrem I nazywano pierwszą komorę gazową urządzonej w specjalnie do tego celu przebudowanym domku wysiedlonego mieszkańca wsi Brzezinka. Zarówno tu, jak i następnie przy bunkrze II wybudowano baraki-rozbieralnie. Ofiary rozbierały się w tych barakach "lub pod gołym niebem i szły nago do komór gazowych. Bunkier I miał dwie komory. Na zewnętrznej stronie drzwi wejściowych znajdował się napis „do łaźni”, a na wewnętrznej drzwi wyjściowych — napis „do dezynfekcji”. Za tymi drugimi drzwiami znajdowało się otwarte pole, na które wyrzucano zwłoki zagazowanych.

godnie, i w ten sposób skłaniano ich do rozebrania się. Więźniowie z *Sonderkommando* dbali, aby rozbieranie odbywało się szybko i aby ofiary nie miały zbyt dużo czasu na zastanawianie się.

Gorliwa pomoc *Sonderkommando* przy rozbieraniu i wprowadzaniu do komór gazowych była czymś jedynym w swoim rodzaju. Nigdy nie byłem świadkiem ani nie słyszałem, aby członkowie tych drużyn choć jednym słowem napomknęli osobom przeznaczonym do zagazowania o tym, co je czeka. Przeciwnie, próbowali wszystkiego, aby je wprowadzić w błąd, a szczególnie, by uspokajać tych, którzy coś przeczuwali. Jeżeli Żydzi nie wierzyli SS-manom, to mieli zaufanie do więźniów tej samej rasy. Do *Sonderkommando* przeznaczano wyłącznie Żydów pochodzących z tych samych krajów, z których przybywali objęci daną akcją — przede wszystkim w tym celu, aby mogli się z nimi porozumiewać i uspokajać ich. Nowo przybyli kazali sobie opowiadać o życiu w obozie i pytali zazwyczaj o miejsce pobytu znajomych i krewnych z wcześniejszych transportów. Ciekawe było, jak członkowie *Sonderkommando* okłamywali ich, z jaką siłą przekonania wmawiali w nich rzeczy i jakimi gestami podkreślali swe opowiadania!<sup>122</sup>

Wiele kobiet ukrywało swe niemowlęta pod stosami ubrań. Członkowie *Sonderkommando* zwracali na to szczególną uwagę i tak długo namawiali kobietę, aż zabrała dziecko z sobą. Kobiety ukrywały dzieci w obawie, że dezynfekcja może im zaszkodzić. Mniejsze dzieci przeważnie płakały przy rozbieraniu w takich niezwykłych dla nich okolicznościach, gdy jednak matki lub członkowie *Sonderkommando* przyjaźnie do nich przemówili, uspokajały się i bawiąc się lub przekomarzając wchodziły do komór z zabawkami w rękach. Zauważyłem, że kobiety, które przeczuwały lub wiedziały, co je czeka, zdobywały się na to, aby mimo śmiertelnej trwogi w oczach żartować z dziećmi lub łagodnie je przekonywać.

Pewna kobieta podeszła do mnie i wskazując na czworo swych dzieci, które wzięły się grzecznie za ręce, aby prowadzić najmłodsze przez nierówny teren, szepnęła mi: „Jak możecie zdobyć się na to, aby zamordować te śliczne, miłe dzieci? Czy nie macie serc?”

Jakiś starzec przechodząc obok mnie syknął: „Niemcy będą musiały ciężko odpokutować za to masowe morderstwo Żydów!” Oczywiście jego płonęły nienawiścią. Mimo to poszedł odważnie do komory gazowej, nie troszcząc się o innych.

Pewna młoda kobieta zwróciła na siebie moją uwagę, gdyż nadzwyczajnie

<sup>122</sup> Patrz T. Borowski: Proszę państwa do gazu, Wybór opowiadań, s. 90-112; D. Lebovic — A. Obrenovic: Himmelkommando. Przekład Z. Stoberskiego. „Dialog” 1953, nr 1, s. 40—95; M. Broszat: Wstęp do edycji „Kommandant in Auschwitz”. s. 18.



czaj gorliwie, biegając tu i tam, pomagała rozbierać się małym dzieciom i starszym kobietom. Swym wyglądem i podnieceniem zwróciła moją uwagę już podczas selekcji transportu. Miała wtedy przy sobie dwoje małych dzieci. Nie wyglądała na Żydówkę. W tym czasie nie miała już przy sobie dzieci. Kręciła się do końca koło kobiet, które miały dużo dzieci i nie były jeszcze rozebrane, przemawiała do nich serdecznie, uspokajała dzieci. Jedna z ostatnich weszła do bunkra. W drzwiach zatrzymała się i powiedziała: „Wiedziałam od początku, że do Oświęcimia jedziemy na zagładę; umknęłam zaliczenia mnie do zdolnych do pracy, biorąc do siebie dzieci. Chciałam przeżyć to wszystko w pełni i z całą świadomością. Zapewne nie będzie to długo trwało. Bądźcie zdrowi!”

Od czasu do czasu zdarzało się także, że kobiety przy rozbieraniu wydawały nagle okrzyki wstrząsające do szpiku kości, wyrywały sobie włosy, zachowywały się jak szalone. Wtedy szybko wyprowadzano je i za budynkiem zabijano strzałem w kark z broni małokalibrowej.

Zdarzało się również, że kobiety widząc, iż członkowie *Sonderkommando* wychodzą z komory, i zdając sobie sprawę z tego, co się teraz stanie, wykrzykiwały wszelkie możliwe przekleństwa pod naszym adresem.

Widziałem, jak jakaś kobieta przy zamykaniu komory chciała wypchnąć swe dzieci i wołała z płaczem: „Zostawcie przy życiu przynajmniej moje drogie dzieci!”

Było wiele takich wstrząsających scen, które robiły wrażenie na wszystkich obecnych.

Wiosną 1942 r. setki zdrowych ludzi przechodziły pod kwitnącymi drzewami owocowymi chłopskiej zagrody i szły, najczęściej nic nie przeczuwając, do komór gazowych na śmierć. Ten obraz budzenia się życia i przemijania dziś jeszcze stoi mi przed oczami.

Już przebieg selekcji transportów na rampie obfitował w różne zajścia. Wskutek rozdzielania rodzin, mężczyzn od kobiet i dzieci, powstawało w transporcie wielkie podniecenie i zaniepokojenie. Następnie oddzielanie zdolnych do pracy pogarszało jeszcze ten stan. Rodziny oczywiście chciały być razem. Ci, których już wybrano, wracali do rodzin, a matki z dziećmi usiłowały przedostać się do mężów lub starszych dzieci przeznaczonych do pracy.

Często powstawało takie zamieszanie, że trzeba było ponownie przeprowadzać selekcję. Brak miejsca nie pozwalał na zastosowanie lepszych

spozrzenień brakuje im poczucia wzajemnej przynależności. Można by myśleć, że w takiej sytuacji jeden powinien chronić drugiego. Nie, przeciwnie: często się z tym spotykałem i słyszałem o tym, że Żydzi — szczególnie z zachodu — podawali adresy swych ukrywających się jeszcze współplemieńców. Jakaś kobieta już z komory gazowej krzyknęła do podoficera jeszcze jeden adres jakiejś żydowskiej rodziny. Jakiś mężczyzna, sądząc z ubrania i sposobu bycia — należący do najlepszych sfer, przy rozbieraniu się podał mi karteczkę; znajdowało się na niej wiele adresów rodzin holenderskich, u których ukrywali się Żydzi.

Nie mogę sobie wytłumaczyć, co skłaniało Żydów do tych doniesień. Czy płynęło to z osobistej zemsty, czy z zawiści, czy też z tego, że zażądali innym dalszego życia.

Równie osobliwe było całe zachowanie się członków *Sonderkommando*. Wszyscy oni wiedzieli, że po zakończeniu akcji spotka ich taki los, jaki spotkał tysiące Żydów, przy których uśmiercaniu byli tak bardzo pomocni. Mimo to wykazywali gorliwość, która mnie zawsze zdumiewała. Nie tylko nigdy nie mówili ofiarom o tym, co je czeka, nie tylko troskliwie pomagali im przy rozbieraniu się, lecz nawet stosowali przemoc wobec opornych, wyprowadzając ich za budynek i przytrzymując przy rozstrzeliwaniu. Prowadzili swoje ofiary w taki sposób, aby nie mogły widzieć podoficera czekającego z bronią w ręku na moment, gdy niepostrzeżenie będzie mógł przyłożyć broń do tyłu głowy ofiary. W ten sposób postępowali również z chorymi i ułomnymi, których nie można było doprowadzić do komór gazowych. Wszystko to robili tak naturalnie, jak gdyby sami byli powołani do przeprowadzania akcji zagłady.

To oni wyciągali zwłoki z komór, usuwali złote zęby, obcinali włosy, wleki do dołów czy pieców. Oni podtrzymywali ogień w dołach, oni polewali zwłoki zebrany tłuszczem, oni wreszcie rozgrzebywali płonące góry zwłok, aby zapewnić dopływ powietrza.

Wszystkie te roboty wykonywali jakby z tępą obojętnością, jak gdyby chodziło o jakąś powszednią czynność. Ciągąc zwłoki jedli albo palili. Nawet przy takiej okropnej robocie, jak spalanie zwłok, które już przez dłuższy czas leżały w masowych grobach, nie przestawali jeść.

Zdarzało się często, że Żydzi z *Sonderkommando* znajdowali swoich najbliższych wśród uśmierconych lub wśród tych, którzy szli do komór. Zapewne byli przejęci, mimo to jednak nie dochodziło do zająć. Byłem świadkiem takiego wypadku.

Przy wyciąganiu zwłok z komory w przerobionej chałupie jeden z członków *Sonderkommando* stanął nagle jak wryty; stał przez chwilę niby urzeczony, potem wraz ze swym towarzyszem poszedł dalej ze zwłokami. Na moje pytanie, co się stało, kapo odpowiedział, że człowiek

ten odnalazł między zwłokami własną żonę. Obserwowałem go jeszcze przez chwilę, lecz nic szczególnego nie zauważyłem w jego zachowaniu się. Jak przedtem, tak i teraz ciągnął za sobą zwłoki. Gdy w jakiś czas potem przyszedłem znów do *Sonderkommando*, siedział razem z innymi przy jedzeniu, jak gdyby nic nie zaszło. Czy tak dobrze potrafił ukryć swe wzruszenie, czy też tak już stępsiał, że nawet to przeżycie nie mogło go poruszyć? .

Co dawało Żydom z *Sonderkommando* siły do wykonywania dniem i nocą tej straszliwej roboty? Czy liczyli na jakiś szczególny przypadek, który pozwoli im prześliznąć się tuż obok śmierci? Czy tak stępieli, a może osłabli wskutek wszystkich okropności, że nie potrafili sami skończyć z sobą, aby uniknąć takiego „istnienia”? <sup>123</sup>

Obserwowałem ich bardzo uważnie, a jednak nie zdołałem zgłębić ich zachowania się. Życie i umieranie Żydów postawiło przede mną wiele zagadek, których nie byłem w stanie rozwiązać.

Wszystkie te przeżycia, wszystkie wydarzenia, które tu przedstawiłem, a do których mógłbym dodać niezliczoną ilość innych, tylko częściowo i niedostatecznie oświetlają cały przebieg akcji eksterminacyjnej.

Ci, którzy brali udział w tym masowym niszczeniu i do których świadomości doszło ono wraz ze wszystkimi towarzyszącymi mu zjawiskami, nie mogli przejść nad nim do porządku.

Wszystkim — poza nielicznymi wyjątkami — odkomenderowanym do tej potwornej „roboty”, do tej „służby”, a także i mnie, wypadki te dały dużo do myślenia i pozostawiły głębokie wrażenie. Bardzo wielu biorących udział w akcji często podchodziło do mnie podczas moich obchodów kontrolnych przez miejsca zagłady, aby pozbyć się wątpliwości, podzielić się swymi wrażeniami; chcieli, abym ich uspokoił. Z ich poufnych rozmów dochodziło do mnie ustawiczne pytanie: czy to, co musimy robić, jest konieczne? Czy jest konieczne niszczenie setek tysięcy kobiet i dzieci? A ja, który sam w głębi duszy stawiałem sobie to pytanie niezliczoną ilość razy, musiałem zbywać ich rozkazem *führera*, musiałem ich w ten sposób pocieszać. Musiałem im mówić, że to niszczenie żydostwa jest konieczne, aby Niemcy, aby naszych potomków uwolnić po wieczne czasy od najzawziętszych przeciwników.

Wprawdzie dla nas rozkaz *führera*, jak i to, że musi go wykonać

<sup>123</sup> Höss nie wspomina o tym, że Żydzi zmuszeni do pracy w *Sonderkommando* zorganizowali w dniu 7.10.1944 r. bunt i podpalili krematorium IV. Kilku SS-manów zostało zabitych, jednakże bunt szybko opanowano, mordując większość członków *Sonderkommando*. Zginęło wówczas 455 więźniów. Członkowie *Sonderkommando* brali aktywny udział w walce prowadzonej przez obozowy Ruch Oporu, dostarczali szczegółowych wiadomości dla wywiadu, wykonywali potajemnie zdjęcia fotograficzne z akcji zagłady, dostarczali środków materialnych na finansowanie ucieczek i niejednokrotnie wzywali do buntu ofiary z masowych transportów przeznaczonych na zagładę. Patrz również L. Adelsberger: Auschwitz, s. 102.

SS, było czymś niewzruszonym, ale jednak trawiły wszystkich skryte wątpliwości. Ja w żadnym razie nie mogłem przyznać się do podobnych wątpliwości. Chcąc zmusić innych do psychicznego przetrwania, musiałem okazywać niezłomne przeświadczenie o konieczności wykonania tego twardego i okrutnego rozkazu.

Wszyscy patrzyli na mnie, chcąc się przekonać, jakie wrażenie robią na mnie opisane sceny, jak na nie reaguję. Z tego punktu widzenia dokładnie mnie obserwowano, omawiano każde moje odezwanie się. Musiałem bardzo panować nad sobą, aby pod wpływem wzburzenia spowodowanego tym, co widziałem, nie zdradzić swoich wątpliwości. Musiałem uchodzić za człowieka zimnego i pozbawionego serca w obliczu wypadków, które u każdego jeszcze odczuwającego, po ludzku powodowały skurcz serca. Nie mogłem się nawet odwrócić, gdy ogarniało mnie naturalne, ludzkie wzburzenie. Musiałem przyglądać się obojętnie, jak matki ze śmiejącymi się lub płaczącymi dziećmi szły do komór gazowych.

Pewnego razu dwoje małych dzieci tak pogrążyło się w zabawie, że matka nie mogła ich od niej oderwać. Nawet Żydzi z *Sonderkommando* nie chcieli zabrać dzieci. Nigdy nie zapomnę błagającego o zmiłowanie spojrzenia matki, która wiedziała, o co chodzi. Ci, którzy już byli w komorze, zaczęli się niepokoić — musiałem działać. Wszyscy patrzyli na mnie. Skinąłem na podoficera służbowego, a ten wziął opierające się dzieci na ręce i zaniósł je do komory wśród rozdzierającego serce płaczu matki idącej za nimi. Najchętniej zapadłbym się pod ziemię pod wpływem współczucia, ale nie wolno mi było okazać najmniejszego wzruszenia.

Musiałem na wszystko patrzeć. Dniem i nocą byłem obecny przy wyciąganiu i spalaniu zwłok; godzinami przyglądałem się wrywaniu zębów, obcinaniu włosów i wszelkim innym okropnościom. Przebywałem godzinami wśród odrażającego odoru wydobywającego się przy rozkopywaniu masowych grobów i spalaniu zwłok.<sup>124</sup> Na skutek zwróconej mi przez lekarzy uwagi ja sam musiałem przez okienko komory gazowej przyglądać się śmierci. Musiałem to robić, ponieważ na mnie były zwrócone oczy wszystkich, ponieważ musiałem wszystkim pokazać, że nie tylko wydaję rozkazy i zarządzenia, lecz także jestem osobiście przy ich wykonywaniu, tak jak wymagałem tego od innych.

<sup>124</sup> Do dnia 30.11.1942 r. wykopano i spalono 107 000 zwłok. Liczba ta obejmowała zwłoki Żydów z początkowego okresu masowego Ich zabijania za pomocą gazu, zwłoki więźniów, którzy zginęli w Oświęcimiu w okresie zimowym 1941-1942 r., kiedy krematorium I było nieczynne, a krematoria w Brzezince nie zostały jeszcze uruchomione, oraz zwłoki więźniów, którzy zginęli w Brzezince. Pracę wykonało *Sonderkommando*. W dniu 3.12.1942 r. przeprowadzono je w liczbie około 300 więźniów z Brzezinki do obozu w Oświęcimiu, wprowadzono do komory gazowej przy krematorium I i zabito za pomocą gazu. Likwidację *Sonderkommando* przeprowadzano następnie co pewien okres. Patrz D. Czech: Kalendarz wydarzeń, „Zeszyty Oświęcimskie” 1958, nr 3, s. 118 i n.

*Reichsführer SS* przysyłał od czasu do czasu rozmaitych dygnitarzy NSDAP i SS do Oświęcimia, aby się przyjrzeni zagładzie Żydów. Na wszystkich wywarła ona wielkie wrażenie. Nieraz ci, którzy przedtem bardzo gorliwie rozprawiali o konieczności zagłady, stawali się milczący i cisi na widok „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Zapytywano mnie, jak ja i moi ludzie możemy nieustannie patrzeć na to, jak możemy wytrzymać. Odpowiadałem zawsze, że rozkaz *führera* musi być wykonany z żelazną konsekwencją i wobec tego wszystkie ludzkie odruchy powinny zniknąć. Każdy z tych panów mówił, że nie chciałby wykonywać takiego zadania. Nawet Mildner<sup>125</sup> i Eichmann, z pewnością dostatecznie gruboskórni, wcale nie mieli ochoty zamienić się ze mną. Tego zadania nikt mi nie zazdrościł.

Wielokrotnie i szczegółowo rozmawiałem z Eichmannem o wszystkim, co łączyło się z „ostatecznym rozwiązaniem kwestii żydowskiej”, nie ujawniając jednak swej wewnętrznej udręki. Wszelkimi środkami usiłowałem wy badać go, jak naprawdę w głębi duszy zapatruje się na „ostateczne rozwiązanie”. Jednakże Eichmann występował wprost opętańczo za całkowitą zagładą wszystkich Żydów, których można dostać w ręce, i nie zmieniał zdania nawet wtedy, kiedy był zupełnie oszołomiony alkoholem i kiedy byliśmy z nim sam na sam. „Musimy jak najszybciej, bez miłosierdzia i z zimną obojętnością przeprowadzić zagładę. Okazywanie jakichkolwiek względów gorzko by się później na nas zemściło”. Wobec tak bezwzględnej konsekwencji musiałem jak najgłębiej pogrzebać swoje ludzkie „hamulce”.

Tak, muszę otwarcie przyznać, że te ludzkie odruchy wydawały mi się — po takich rozmowach z Eichmannem — niemal zdradą *führera*. Nie mogłem znaleźć wyjścia z tej rozterki duchowej. Musiałem nadal przeprowadzać proces zagłady, masowe mordy i nadal to przeżywać, nadal obojętnie przyglądać się temu, co mnie wewnętrznie najgłębiej poruszało. Musiałem ustosunkować się na zimno do wszystkich wydarzeń. Chociaż nawet mniejsze przeżycia, które może wcale nie dochodziły do świadomości innych, nie zacierały się w mojej pamięci. A przecież w Oświęcimiu doprawdy nie mogłem uskarżać się na nudy.

Jeżeli jakieś zajście bardzo mnie wzburzyło, to nie mogłem wracać do domu, do mojej rodziny. Dosiadałem, konia i w tej szalonej

<sup>125</sup> *SS-Standartenführer* dr Rudolf Mildner (ur. 10. 7. 1902 r.) członek NSDAP (nr 614080) i SS (nr 275741) był szefem *Stapo leitstelle* w Katowicach, do której okręgu należał Oświęcim. W listopadzie 1941 r. przewodniczył komisji, która przeprowadziła selekcję jeńców radzieckich i uznanych za „fanatycznych komunistów” oraz „politycznie obciążonych” skazała na zagładę. Mildner przewodniczył często kompletom policyjnego sądu doraźnego, odbywającego posiedzenia w bloku 11 w Oświęcimiu. W procesie przed MTW w Norymberdze występował w charakterze świadka. W 1949 r. został zwolniony i nie stawał już więcej przed sądem. Patrz Dok. Norymb. NO-5849 i IMT, t. XI, s. 252; G. Reitlinger: *Die Endlösung*, s. 123 i 537.

jeździe odganiałem straszliwe obrazy. Często w nocy szedłem do stajni i tam znajdowałem uspokojenie wśród moich ulubieńców.

Zdarzało się, że kiedy byłem w domu, myśli moje nagle zwracały się ku jakimś szczegółom akcji eksterminacyjnej. Musiałem wtedy wychodzić z domu. Nie mogłem wytrzymać w serdecznej atmosferze rodzinnej. Gdy widziałem, jak nasze dzieci wesoło się bawiły i jak bardzo szczęśliwa była moja żona, mając przy sobie najmłodszą córeczkę, przychodziło mi nieraz na myśl: jak długo jeszcze będzie trwało wasze szczęście? Żona moja nigdy nie mogła wytłumaczyć sobie moich posępnych nastrojów i przypisywała je kłopotom związanym ze służbą.

Stojąc nocą przy transportach, przy komorach gazowych, przy płomieniach — myślałem często o swojej żonie i dzieciach, nie wiążąc tych myśli bliżej z tym wszystkim, co się działo dokoła. Nieraz słyszałem to samo od ludzi żonatych pełniących służbę w krematoriach. Gdy się widzi, jak kobiety z dziećmi idą do komór gazowych, mimo woli myśli się o własnej rodzime.

Nie znalazłem już szczęścia, odkąd w Oświęcimiu zaczęło się masowe zabijanie. Byłem, niezadowolony z siebie. Nie było widać, kiedy się ta praca skończy i kiedy główne zadanie zostanie wykonane; nie można też było polegać na współpracownikach. Przełożeni nie rozumieli mnie i nie chcieli wysłuchać, kiedy się do nich zwracałem. Sytuacja, w której się znajdowałem, nie była ani przyjemna, ani godna pozazdroszczenia. A jednak wszyscy w Oświęcimiu sądzili, że komendant dobrze sobie żyje.

Prawda, że mojej rodzinie było dobrze w Oświęcimiu. Spełniano każde życzenie żony i dzieci. Dzieci mogły szaleć do woli, żona miała tyle ulubionych kwiatów, że czuła się wśród nich jak w raju.

Więźniowie starali się, jak mogli, aby zrobić coś przyjemnego mojej żonie i dzieciom, aby wyświadczyć im jakąś przysługę. Żaden były więzień nie mógłby prawdopodobnie powiedzieć, że go w naszym domu pod jakimkolwiek względem źle potraktowano. Moja żona najchętniej podarowałaaby coś każdemu więźniowi, który u nas pracował, a dzieci ciągle zebrały u mnie o papierosy dla więźniów. Szczególnie były one przywiązane do ogrodników.

Cała nasza rodzina odznaczała się uderzającym zamiłowaniem do rolnictwa, szczególnie lubiła zwierzęta. Co niedziela musiałem z rodziną objeżdżać pola i chodzić po stajniach; nawet psiarni nie można było pominąć. Największymi względami cieszyły się oba nasze konie i źrebak. Dzieci zawsze miały w ogrodzie jakieś osobliwe zwierzaki, które im znosili więźniowie: to żółwie, to znów kuny, koty lub jaszczurki. Ciągłe było w ogrodzie coś nowego i interesującego. W lecie dzieci pluskały się albo w basenie kąpielowym w ogrodzie, albo w Sole. Największą

radość sprawiało im, gdy tatuś kąpał się razem z nimi. On jednak miał tak mało czasu na te wszystkie zabawy dziecięce.

Dziś gorzko żałuję, że nie poświęciłem więcej czasu mojej rodzinie, ale zawsze uważałem, że muszę być stale na służbie. Przez to przesadne poczucie obowiązku sam czyniłem swe życie jeszcze cięższym, niż było ono już samo przez się. Żona moja wciąż mnie ostrzegała mówiąc: „Nie myśl tak ciągle o służbie, myśl także o swojej rodzinie”. Lecz co moja żona mogła wiedzieć o tym, co mnie gnębiło. Nigdy się o tym nie dowiedziała.<sup>126</sup>

#### NA STANOWISKU SZEFA URZĘDU D I (1943—1945)

Gdy na wniosek Pohla Oświęcim został podzielony,<sup>127</sup> pozwolił mi Pohl wybierać między stanowiskiem, komendanta w Sachsenhausen a stanowiskiem szefa urzędu D I. U Pohla było to czymś niezwykłym, że pozwolił oficerowi wybierać stanowisko; w dodatku dał mi jeszcze dwadzieścia cztery godziny do namysłu. Był to z jego strony tylko życzliwy gest, aby mnie pocieszyć po odejściu z Oświęcimia. W pierwszej chwili rozstanie było dla mnie bolesne właśnie dlatego, że zrosłem się z Oświęcimem ze względu na te wszystkie trudności i braki, na wiele ciężkich moich zadań. Potem byłem zadowolony, że się uwolnię od tego wszystkiego.

W żadnym razie nie chciałem, być dłużej komendantem obozu. Tego

<sup>126</sup> podobnie jak poprzednio w autobiografii (s. 63 i 83) i następnie w liście do żony, tak i tutaj Höss podkreśla ukrywanie wobec otoczenia własnych przeżyć wewnętrznych. Kwestię, czy żona Hössa wiedziała o faktach, o których tu Höss pisze, wyjaśnia następujący fragment zeznań Hössa złożonych przez niego przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. W toku przesłuchania na rozprawie w dniu 15.4.1946 r. w charakterze świadka obrony oskarżonego Kaltenbrunnera, Höss na zapytanie obrońcy dotyczące zachowania w tajemnicy akcji masowej zagłady Żydów wyjaśnił, że Himmler zobowiązał go osobiście do traktowania tej sprawy jako ściśle tajnej. Na dalsze pytania Höss odpowiedział następująco:

**Pytanie:** Czy pan wobec nie wtajemniczonych osób trzecich naruszył kiedykolwiek włożony na pana obowiązek?

**Odpowiedź:** Nie. Do końca 1942 r. nie.

**Pytanie:** Dlaczego podaje pan ten termin? Czy po tym terminie opowiedział pan o tym osobom trzecim?

**Odpowiedź:** W końcu 1942 r. wypowiedzi byłego *Gauleitera* Górnego Śląska zwróciły uwagę mojej żony na wydarzenia, które zachodziły w naszym obozie. Żona moja zapytała się mnie później, czy to jest prawda. Potwierdziłem to mojej żonie. Był to jedyny wypadek złamania przyrzeczenia danego *Reichsführerowi*. Z nikim innym na ten temat nigdy nie rozmawiałem (IMT, t. XI, s. 441).

<sup>127</sup> W listopadzie 1942 r. obóz oświęcimski wraz ze wszystkimi podległymi mu obozami został podzielony na trzy samodzielne obozy: obóz koncentracyjny Oświęcim I (obóz macierzysty), obóz koncentracyjny Oświęcim II (Brzezinka) i obóz koncentracyjny Oświęcim III (Buna oraz wszystkie obozy pracy). Od 25. 11. 1944 r. obozy Oświęcim I i II zostały połączone. Oświęcim III przemianowano na obóz Monowice (rozkazy garnizonowe nr 53/43 i 29/44 oraz Dok. Norymb. NO-2736).

miałem już naprawdę dosyć po dziewięciu latach pracy w obozach, a po trzech i pół w Oświęcimiu. Wybrałem więc stanowisko szefa urzędu D I. Zresztą nie pozostawało mi nic innego. Na front iść nie mogłem: *Reichsführer SS* dwukrotnie odmówił mi tego bezwarunkowo.<sup>128</sup>

Praca biurowa zupełnie mi nie odpowiadała, jednak Pohl powiedział mi, że mogę urząd tak przekształcić, jak będę uważał za stosowne. Glücks również pozostawił mi całkowicie wolną rękę, gdy objąłem urząd w dniu 1 grudnia 1943 r. Glück nie był zadowolony z mojej nominacji na to stanowisko i z tego, że właśnie ja miałem się znaleźć w jego najbliższym otoczeniu. Pogodził się jednak z tym, bo Pohl tak chciał.

Uważałem za swoje zadanie — nie chcąc traktować urzędowania tylko jako przyjemne i spokojne zajęcie — okazywanie przede wszystkim pomocy komendantom i rozpatrywanie wszystkich spraw pod kątem widzenia potrzeb obozu. Chciałem postępować przeciwnie, niż było to dotychczas w zwyczaju D I.<sup>129</sup> Przede wszystkim chciałem, być w ciągłym kontakcie z obozami, aby dzięki osobistemu wglądowi móc należycie ocenić trudności i niedomagania i wydobyć od wyższych instancji wszystko, co się jeszcze da.

Na podstawie przechowywanych w moim urzędzie akt, rozkazów i korespondencji mogłem teraz zaznajomić się z rozwojem obozów od czasu, kiedy Eicke był inspektorem, i wyrobić sobie o nich zdanie. Wielu obozów jeszcze nie znałem osobiście. W D I znajdował się rejestr korespondencji Inspektoratu z obozami, z wyjątkiem spraw czysto administracyjnych, sanitarnych lub związanych z zatrudnieniem, więźniów. Można więc było na miejscu wyrobić sobie pogląd o każdym obozie. Nic więcej jednak nie można się było dowiedzieć, siedząc stale w urzędzie. Ani z korespondencji, ani z akt nie powstawał obraz tego, co się działo w obozach i jak naprawdę wyglądały. W tym celu należało osobiście objechać obozy, mając oczy szeroko otwarte. Do tego właśnie dążyłem.

Odbywałem wiele podróży służbowych, najczęściej na życzenie Pohla, który widział we mnie specjalistę od wewnętrznych spraw obozowych. Zobaczyłem więc, jak obozy naprawdę wyglądały: ukryte braki i niedomagania. Udało mi się wspólnie z Maurerem<sup>130</sup> z D II, który był zastępcą Glücksxa i właściwym, inspektorem, usunąć wiele złego.

<sup>129</sup> Odmowa spowodowana była tym, że Höss był „wtajemniczony” (*Geheimnistrager*), że znany mu był szereg spraw traktowanych jako ściśle tajne sprawy państwowe. Chodziło tu przede wszystkim o sprawę masowej zagłady Żydów. Takich „wtajemniczonych” nie wysyłano na front, gdyż zachodziło niebezpieczeństwo, że mogą się dostać w ręce nieprzyjaciela i ujawnić tajemnice.

<sup>129</sup> poprzednikiem Hössa na stanowisku szefa urzędu D I był *SS-Obersturmbannführer* Artur Liebehenschel, który przyszedł na miejsce Hössa jako komendant do Oświęcimia.

<sup>130</sup> Gerhard Maurer



Jednakże w 1944 r. niewiele dało się już zmienić. Obozy przepelniały się coraz bardziej, co pociągało za sobą zwykle w tych razach, złe skutki. Z Oświęcimia wycofano wprawdzie dziesiątki tysięcy Żydów w celu użycia ich w nowych zakładach zbrojeniowych, ale wpadli z deszczu pod rynną. Baraki pozbijane w największym, pośpiechu, wśród trudności nie do wiary — przedstawiały beznadziejny widok w swej krańcowej prymitywności, odpowiadającej wytycznym pełnomocnika Rzeszy do spraw budownictwa. Do tego dochodziła ciężka praca, do której Żydzi nie byli przyzwyczajeni, i coraz skąpsze wyżywienie. Gdyby więźniów zaprowadzono w Oświęcimiu wprost do komór gazowych, oszczędzono by im wiele męczarni. Umierali po krótkim czasie bez wielkiej, a często bez żadnej korzyści dla spraw dozbrojenia.

Wskazywałem na to wielokrotnie w swoich raportach, jednakże nacisk *Reichsführera SS*, który domagał się więcej więźniów dla zbrojeń, był silniejszy. Oszalał się on wzrastającymi z tygodnia na tydzień liczbami zatrudnionych więźniów, a nie zwracał uwagi na liczby dotyczące śmiertelności. W ubiegłych latach był wściekły, gdy wzrastała śmiertelność, teraz nic o tym, nie mówił.

Moim zdaniem, któremu niejednokrotnie dawałem wyraz, należało w Oświęcimiu wyszukiwać tylko najzdrowszych i najsilniejszych Żydów. Wtedy wprawdzie nie można by było podawać w sprawozdaniach dużej liczby osób zdolnych do pracy, ale za to miałyby się ludzie rzeczywiście zdolnych do pracy przez długi czas. Na papierze były wprawdzie wysokie liczby, ale w rzeczywistości można było od razu odliczyć od nich poważny odsetek. Tacy robotnicy obciążali tylko obozy, zabierali miejsce i jedzenie zdolnym do pracy. Niczego nie dokonali, a przez swoją obecność powodowali, że wielu ludzi zdolnych jeszcze do pracy stawało się niezdolnymi. Ostateczny rezultat można było obliczyć bez pomocy suwaka. O tym jednak mówiłem już dość, a kreśląc charakterystyki osób opisałem to wszystko szczegółowo.<sup>131</sup>

Dzięki memu stanowisku nawiązałem bliższy i bardziej bezpośredni kontakt z RSHA. Poznałem wszystkie urzędy, które miały do czynienia z obozami koncentracyjnymi i były dla nich miarodajne, wraz z ich kierowniczym personelem. Poznałem również poglądy RSHA na zadania obozów koncentracyjnych. Poglądy te były rozmaite, zależnie od postawy kierownika danej komórki. Szefa Urzędu IV<sup>132</sup> opisałem, szczegółowo; jego poglądów nie mogłem nigdy dobrze poznać, ponieważ krył się za *Reichsführerem SS*.

<sup>131</sup> Chodzi o zeznania ustne w charakterze świadka, a następnie oskarżonego oraz o pisemne relacje i charakterystyki ogłoszone w niniejszej publikacji. Patrz Wstęp.

<sup>132</sup> Był nim Heinnch Muller.

Referat Aresztów Ochronnych IV C<sup>133</sup> hołdował starym, przedwojennym zasadom, poświęcając wiele uwagi pisaninie. Nie zwracano dostatecznej uwagi na wymagania, które stawiała wojna, w przeciwnym bowiem razie musiano by zwalniać więcej więźniów. Błędem było, moim zdaniem, aresztowanie w chwili wybuchu wojny byłych działaczy opozycyjnych. Przysporzono przez to państwu więcej wrogów. Niepewne elementy można było wyłapać wcześniej — było na to dość czasu w latach pokoju. Jednakże dla Referatu Aresztów Ochronnych miarodajny był raport organu skierowującego. Często wyklócałem się z tym referatem, mimo dobrych stosunków koleżeńskich łączących mnie z jego kierownikiem.

Pracownicy Referatu Obszarów Zachodnich i Północnych, zajmującego się również więźniami specjalnymi z tych terenów, byli bardzo uczuleni, ponieważ na zachód i północ szczególną uwagę zwracał *Reichsführer SS*. Wskazana więc była jak największa ostrożność. Więźniom pochodzącym stamtąd należało dawać w miarę możliwości pracę nie wyczerpującą.

W Referacie Obszarów Wschodnich nie chodziło o to. Więźniowie z obszarów wschodnich stanowili, nie licząc Żydów, główny kontyngent wszystkich obozów i dlatego musieli być wykorzystani głównie do robót masowych przy zbrojeniach.

Rozkazy egzekucyjne napływały nieprzerwanym strumieniem. Dziś widzę jaśniej. RSHA składał do akt moje prośby o wstrzymanie nowych transportów więźniów, ponieważ dla Polaków nie trzeba było mieć żadnych względów, a może nawet nie chciało się ich mieć. Najważniejsze było to, aby Policja Bezpieczeństwa mogła przeprowadzać swoje akcje. Dla RSHA było obojętne, co się potem działo z więźniami; *Reichsführer SS* nie przywiązywał do tego istotnego znaczenia.

Stanowisko Referatu Żydowskiego — Eichmann, Günther<sup>134</sup> — było zupełnie jasne. Zgodnie z rozkazem *Reichsführera SS* z lata 1941 r. wszyscy Żydzi mieli zostać wytepieni. RSHA wysuwał bardzo poważne zastrzeżenia, gdy *Reichsführer SS* na wniosek Pohla wydał rozkaz wybierania Żydów zdolnych do pracy. RSHA był zawsze zdania, że należy całkowicie usunąć wszystkich Żydów. W każdym nowym obozie pracy, w każdym tysiącu Żydów zdolnych do pracy widział niebezpieczeństwo,

<sup>133</sup> Chodzi o referat 2 wydziału C urzędu IV (IVC2) w RSHA. Kierownikiem tego referatu był *SS-Obersturmbannführer* dr Emil Berndorff (Dok. Norymb. L-213). Broszat odczytał błędnie IV b i poświęcił temu rzekomemu błędowi Hössa obszerny przypis wyjaśniający („Kommandant in Auschwitz” s. 133).

<sup>134</sup> Chodzi o referat IVB4 w RSHA i o *SS-Sturmbannführera* Hansa Günthera, członka NSDAP (nr 119925) i SS (nr 290129), długoletniego współpracownika i stałego zastępcę Eichmanna. G. Reitlinger podaje wersję, według której Günther miał zostać zabity w Pradze dnia 10. 5. 1945 r., sam jednak przypuszcza, że może on dotychczas żyć na wolności (G. Reitlinger: *Die Endlösung*, s. 533).

że wskutek jakiegoś zbiegu okoliczności utrzymają się przy życiu i odzyskają wolność. Żaden urząd nie był bardziej zainteresowany we wzroście liczb śmiertelności Żydów niż Referat Żydowski RSHA.

Pohl natomiast otrzymał od *Reichsführera SS* polecenie zatrudnienia jak największej liczby Żydów w przemyśle zbrojeniowym. Wobec tego przywiązywał wagę do dostarczania możliwie wielu więźniów, a więc także Żydów zdolnych do pracy z transportów przeznaczonych na zagładę. Starał się również — choć bez wielkiego powodzenia — o utrzymanie tych sił roboczych.

Tak więc zapatrywania RSHA i WVHA były ze sobą sprzeczne. Zdawało się, że przewaga jest po stronie Pohla, ponieważ za nim stał *Reichsführer SS*, coraz usilniej domagający się dostarczania więźniów dla przemysłu zbrojeniowego — zmuszony przyrzeczeniem, które dał *führerowi*. Z drugiej jednak strony *Reichsführer SS* chciał również, aby wyteńpiono jak najwięcej Żydów.

Od 1941 r., to znaczy od czasu, kiedy Pohl przejął obozy koncentracyjne, zostały one włączone do programu zbrojeń *Reichsführera SS*. Im zaciętsza stawała się wojna, tym bezwzględniej *Reichsführer SS* domagał się zatrudniania więźniów. Podstawową masę stanowili więźniowie pochodzący ze wschodu, następną — Żydzi. Poświęcono ich głównie dla zbrojeń.

Obozy koncentracyjne stały pomiędzy RSHA a WVHA.

Ostatecznym celem RSHA była zagłada więźniów, natomiast było dlań obojętne, czy zagłada nastąpi natychmiast w drodze egzekucji lub w komorach gazowych, czy też nieco później, na skutek chorób powodowanych przez nieznośne warunki, których umyślnie nie chciano poprawiać.

WVHA chciał mieć więźniów dla zbrojeń. Pohl jednak dał się wprowadzić w błąd wskutek domagania się przez *Reichsführera SS* zatrudniania coraz większych liczb więźniów; mimo woli szedł w ten sposób na rękę zamiarom RSHA. Starał się wykonać wszystko, czego od niego żądano, a wskutek tego tysiące więźniów musiało umierać przy pracy, gdyż takim masom nie można było zapewnić najprymitywniejszych nawet warunków życia.

Wówczas domyślałem się wprawdzie, jaki związek zachodzi między tymi sprawami, ale nie mogłem i nie chciałem dać temu wiary. Dziś dokładnie zdaję sobie z tego sprawę. Tak, a nie inaczej wyglądały prawdziwe kulisy obozów koncentracyjnych, tak wyglądały wielkie cienie, które stały za nimi. W ten sposób obozy koncentracyjne były świadomie — a niekiedy nieświadomie — zamieniane na potężne miejsca zagłady.

Do moich obowiązków jako szefa Urzędu D I należało między innymi ciągle przeprowadzanie nieprzyjemnych dochodzeń w rozmaitych obozach koncentracyjnych, a jeszcze częściej w obozach pracy. Dochodzenia nie zawsze były przyjemne także dla komendantów obozów. Do mnie należały zwolnienia i nominacje, w obozach.

Jeżeli chodzi o obóz w Bergen-Belsen, to inspektor obozów koncentracyjnych wcale się o niego nie troszczył. RSHA przeznaczył go dla tzw. „delikatnych Żydów”. Bergen-Belsen był pomyślany jako obóz przejściowy.<sup>135</sup> Komendant jego, ponury, zamknięty w sobie *SS-Sturm-bannführer* Haas,<sup>136</sup> rządził się, jak mu się podobało. W 1939 r. był on wprawdzie przez jakiś czas *Schutzhaftlagerführerem* w Sachsenhausen, przedtem jednak służył w ogólnej SS i miał słabe pojęcie o obozach koncentracyjnych. Nie wprowadził w Bergen-Belsen żadnych zmian — ani w stanie pomieszczeń, ani w opłakanych warunkach sanitarnych, zresztą wcale się o to nie starał. W tym obozie pierwotnie przebywali jeńcy. Na jesieni 1944 r. udałem się do Bergen-Belsen, aby wprowadzić w urzędowanie Krämera,<sup>137</sup> dotychczasowego komendanta obozu Oświęcim II. Haasa, który stał się nie do zniesienia, zaniedbał obóz i miał ciągle jakieś sprawy z kobietami, trzeba było wreszcie zwolnić.

Obóz przedstawiał żałosny widok. Pomieszczenia dla więźniów, baraki gospodarcze, pomieszczenia dla załogi były zapuszczone; warunki sanitarne przedstawiały się o wiele gorzej niż w Oświęcimiu. Teraz jednak, pod koniec 1944 r., niewiele dało się zrobić, jakkolwiek dzięki ciągłym jazdom do Kammlera<sup>138</sup> udało mi się od niego dostać energicznego budowniczego. Trzeba było łątać i improwizować. Kramer nie mógł już naprawić grzechów Haasa, chociaż nie szczędził wysiłków w tym kierunku.

<sup>135</sup> Obóz w Bergen-Belsen został założony na wiosnę 1943 r. Jako obóz koncentracyjny dla uprzywilejowanych Żydów. Zaliczano do nich Żydów mających obywatelstwo angielskie lub amerykańskie albo posiadających paszporty krajów neutralnych, jak i Żydów, co do których sądzono, że mogą oni stanowić jeszcze obiekt jakiejś transakcji. Liczba tych Żydów do końca 1944 r. dochodziła do 15 000. W okresie ewakuacji w zimie 1944-1945 r. liczba więźniów tego obozu przekroczyła 50 000, a śmiertelność dzienna wynosiła 200-300 ludzi. Oswobodzenie tego straszego obozu nędzy i rozpaczy nastąpiło przez oddziały angielskie w dniu 15.4.1945 r. Patrz G. Reitlinger: *Die Endlösung*, s. 385 i n.

<sup>136</sup> *SS-Obersturmbannführer*, Adolf Haas, zwolniony ze stanowiska komendanta w Bergen-Belsen w październiku 1944 r.

<sup>137</sup> *SS-Hauptsturmführer* Josef Kramer (ur. 10. 11. 1906 r.), członek NSDAP (nr 733597) i SS (nr 32217), należał do Oddziałów Trupich Czaszek i pracował w obozach koncentracyjnych od 1934 r. W Oświęcimiu był już w 1940 r. przez 5 miesięcy adiutantem komendanta Hössa. Później przeszedł do obozu w Natzweiler, a stamtąd w maju 1944 r. na komendanta obozu Oświęcim n, na miejsce przeniesionego do Natzweiler Hartjensteina. Z dniem 1.12.1944 r. został powołany na komendanta do Bergen-Belsen i był nim aż do oswobodzenia tego obozu. Wyrokiem brytyjskiego sądu wojskowego w Lüneburgu z dnia 17.11.1945 r. został skazany na karę śmierci i stracony.

<sup>138</sup> Dr Heinz Kammler

Kiedy po ewakuacji Oświęcimia <sup>139</sup> znaczna część tamtejszych więźniów przybyła do Bergen-Belsen, obóz zaludnił się do niemożliwości i wytworzyły się warunki, które musiałem określić jako straszne, choć przyzwyczaiłem się w Oświęcimiu do rozmaitych rzeczy. Kramer był bezsilny. Nawet Pohl był wstrząśnięty, gdy przekonał się o stanie obozu podczas naszego bardzo krótkotrwałego objazdu wszystkich obozów koncentracyjnych, dokonanego na rozkaz *Reichsführera SS*.<sup>140</sup>

Pohl zabrał wojsku przyległy obóz, aby uzyskać więcej miejsca, ale i ten nowy obóz nie był w lepszym stanie. Wody niemal nie było, ścieki spływały wprost na sąsiednie pola, i to w okresie epidemii tyfusu brzuszego i plamistego. Przystąpiono do budowy lepierek, aby zmniejszyć przeludnienie baraków. Wszystkie te zarządzenia były jednak niewystarczające i spóźnione. Po paru tygodniach przybyli jeszcze więźniowie z Mittelbau.<sup>141</sup> W tych warunkach nie należy się dziwić, że Anglicy po zajęciu Bergen-Belsen zastali tam tylko trupy, umierających i chorych na choroby zakaźne; zdrowych więźniów było tylko niewielu. Nie można było sobie wyobrazić obozu w gorszym stanie!

Wojna, a szczególnie wojna lotnicza, odbijała się w coraz większym stopniu na wszystkich obozach. Niezbędne ograniczenia jeszcze bardziej pogarszały ogólną sytuację. Głównie cierpiały z tego powodu nowe obozy pracy, w pośpiechu budowane przy najważniejszych zakładach zbrojeniowych.

Wojna powietrzna i ataki bombowe na zakłady zbrojeniowe pociągały niezliczone ofiary wśród więźniów, chociaż alianci nigdy nie atakowali właściwych obozów koncentracyjnych. Jednakże we wszystkich ważniejszych zakładach zbrojeniowych byli zatrudnieni więźniowie — ginęli więc zupełnie tak samo jak ludność cywilna. Od chwili

<sup>139</sup> Ewakuacja Oświęcimia nastąpiła w dniu 18. 1. 1945 r.

<sup>140</sup> Inspekcja ta odbyła się w marcu 1945 r. (Dok. Norymb. NO-4728).

<sup>141</sup> Nazwą *Mittelbau* oznaczano budowy i zakłady produkcyjne wznoszone i prowadzone od. lata 1943 r. przez firmę *Mittelwerke GmbH*, przede wszystkim obok miejscowości Salza w okręgu Nordhausen, ale także i w innych miejscowościach Harcu. Urządzenia te służyły przede wszystkim do zabezpieczonej przed nalotami bombowymi produkcji broni V. Zatrudniano w nich dużą liczbę więźniów, dostarczanych jako drużyny robocze przez obóz koncentracyjny Buchenwald. Z drużyn tych powstał przy przedsiębiorstwie *Dorawerk* obok Salza obóz *Dora*, nazywany również *Mittelbau*. Więźniowie tego obozu musieli najczęściej dzień i noc przebywać w podziemnych sztolniach. Warunki panujące w obozie *Dora* były już w 1943 r. katastrofalne. Dnia 28. 10. 1944 r. utworzono z wszystkich drużyn więźniarskich zatrudnionych w przedsiębiorstwach wspomnianej firmy w górach Harcu samodzielny obóz koncentracyjny *Dora*. Główny obóz *Dora* obok Salza liczył wówczas 24 000, a pozostałe drużyny robocze około 8 000 więźniów. Do wiosny 1945 r. liczba więźniów, mimo bardzo wysokiej śmiertelności, wzrosła do 50 000. Gdy w kwietniu 1945 r. Amerykanie zbliżali się do południowego Harcu, Hlmler rozkazał zagazować wszystkich więźniów tego obozu w podziemnej sztolni. Jedynie dzięki zbiegowi różnych przypadkowych okoliczności rozkaz ten nie został wykonany i więźniowie obozu *Mittelbau* zostali ewakuowani do Bergen-Belsen. Pp. M. Broszat w edycji: *Kommandant in Auschwitz*, s. 136—137 przyp. 5; Dok. Norymb. NO-1564, 1948, 2317, 2326, 2619 i 2631.

rozpoczęcia w 1944 r. wzmożonej ofensywy lotniczej nie było dnia, żeby z obozów nie nadchodziły meldunki o stratach wskutek ataków lotniczych. Nie potrafiłbym jednak nawet w przybliżeniu podać ogólnej liczby strat: wynosiły one w każdym, razie wiele tysięcy.

Przeżyłem dużo ataków lotniczych — najczęściej nie w bezpiecznym schronie dla „bohaterów” — ataków o niesłychanej gwałtowności, skierowanych na fabryki, w których pracowali więźniowie. Widziałem, jak się zachowywali więźniowie, widziałem, jak strażnicy i więźniowie ginęli razem, skuleni często jeden obok drugiego w jakiejś dziurze, i jak więźniowie odciągali na bok rannych strażników. W obliczu gwałtownych ataków zacierają się wszelkie różnice: nie było wtedy dozorców i dozorowanych, istnieli tylko ludzie usiłujący ująć przed gradem bomb.

Wyszedłem nietknięty z niezliczonych ataków lotniczych, jakkolwiek i ja byłem często zasypywany. W Hamburgu, Dreźnie i Berlinie żyłem ustawicznie pod gradem bomb. W Wiedniu uszedłem śmierci tylko przez przypadek. W czasie podróży służbowej przeżyłem ataki samolotów nurkujących na mój pociąg i wagon. A jak często obrzucano bombami WVHA i RSHA, które wciąż trzeba było naprędce naprawiać. Mimo to jednak ani Müller, ani Pohl nie dali się przepędzić.

Cały kraj, a przynajmniej większe miasta zamieniły się w linię frontu. Ogólna liczba strat wskutek wojny lotniczej nigdy zapewne nie będzie ustalona. Według mojej oceny straty wynoszą z pewnością wiele milionów.<sup>142</sup> Liczby nie były znane, gdyż trzymano je w ścisłej tajemnicy.

Spotykam się wciąż z zarzutem, że nie odmówiłem wykonania rozkazu zagłady — tego potwornego mordu popełnionego na kobietach i dzieciach. Odpowiedziałem już na to w Norymberdze.<sup>143</sup> Co stałoby się z dowódcą eskadry, który by odmówił wykonania ataku lotniczego na miasto, ponieważ wiedział na pewno, że nie ma tam zakładów zbrojeniowych ani ważnych obiektów wojskowych, ponieważ wiedział również, że zrzucone bomby zabijają głównie kobiety i dzieci? Z pewnością zostałyby oddany pod sąd wojenny.

Nie chciano uznać tego porównania. Ja jednak jestem zdania, że obie sytuacje można porównać z sobą. Byłem takim samym żołnierzem i oficerem jak ów lotnik. Dziś nie chce się uznać SS za wojsko, lecz uważa się ją tylko za rodzaj milicji partyjnej. W rzeczywistości byliśmy żołnierzami tak samo jak trzy pozostałe części składowe armii.

<sup>142</sup> M. Broszat przytacza opublikowane materiały, według których na skutek nalotów lotniczych zginęło od 410 000 do 500 000 Niemców spośród ludności cywilnej (Kommandant in Auschwitz, s. 137 przyp. 2).

<sup>143</sup> Na pytanie obrońcy Kaltenbrunnera skierowane w toku procesu przed MTW do Hössa: „Jak pan mógł przeprowadzić tę akcję?” — Höss odpowiedział: „Przy wszystkich trapiących mnie wątpliwościach jedynym i decydującym argumentem był bezwzględny rozkaz i jego motywy podane przez *Reichsführera* Himmlera” (IMT, t. XI, s. 444).

Te nieustanne ataki lotnicze ciężko się odbijały na ludności cywilnej, szczególnie na kobietach. Dzieci zostały umieszczone w odległych okolicach górskich nie zagrożonych nalotami. Najbardziej dotkliwe były nie tyle skutki materialne — choć w wielkich miastach całe życie było zdeorganizowane — ile właśnie psychiczne. Kto obserwował twarze i zachowanie się kobiet w publicznych schronach przeciwlotniczych i schronach domowych, kiedy pułap bombowy zbliżał się coraz bardziej, a pociski zaczynały padać dookoła, ten mógł wyczytać mniej lub więcej starannie ukrywane podniecenie i strach przed śmiercią. Jak te kobiety cisnęły się nawzajem do siebie, jak szukały obrony u mężczyzn, gdy cały budynek się chwiało, a nawet walił częściowo!

Nawet berlińczycy, którzy nie poddają się tak łatwo, z czasem upadli na duchu pod wpływem przesiadywania w piwnicach po całych dniach i nocach, co wystawiało ich nerwy na straszną próbę. Naród niemiecki także nie wytrzymałby długo takiej wojny nerwów, takiego obciążenia psychicznego.

Podając charakterystyki szefów działów w różnych urzędach oraz szefów poszczególnych urzędów, przedstawiłem jednocześnie szczegółowo działalność Urzędu D, Inspektoratu Obozów Koncentracyjnych. Nie mam w tej sprawie nic więcej do dodania.

Czy obozy koncentracyjne wyglądałyby inaczej, gdyby inspektorem był kto inny? Sądzę, że chyba nie. Żaden bowiem człowiek, nawet obdarzony nadzwyczajną energią i siłą woli, nie byłby w stanie oprzeć się wpływowi wojny, żaden nie potrafiłby sprzeciwić się nieugiętej woli *Reichsführera SS*. Żaden oficer SS nie poważyłby się pokrzyżować albo obejść zamiary *Reichsführera*.

Kiedy Eicke, człowiek o wielkiej sile woli, tworzył i urządził obozy koncentracyjne, stała za nim twarda wola *Reichsführera SS*. To, co się stało z obozami koncentracyjnymi w czasie wojny, wynikało jedynie i wyłącznie z woli *Reichsführera SS*. On bowiem był tym, który dawał dyrektywy RSHA, i tylko on mógł je dawać. Przecież RSHA był tylko organem wykonawczym. Jestem głęboko przekonany, że żadna większa i poważniejsza akcja Policji Bezpieczeństwa nie została wszczęta bez porozumienia z *Reichsführerem SS*. W większości wypadków on sam był ich sprawcą. Cała SS była narzędziem, za pomocą którego Heinrich Himmler, *Reichsführer SS*, urzeczywistniał swoją wolę. Nie zmienia bynajmniej faktycznego stanu rzeczy to, że od 1944 r. był on miażdżony przez mocniejszego od siebie przeciwnika, mianowicie przez wojnę.

W czasie swoich podróży służbowych do zakładów zbrojeniowych, w których pracowali więźniowie, mogłem przyjrzeć się naszym zbrojeniom. Widziałem i słyszałem od kierowników zakładów rzeczy, które

wprawiły mnie w wielkie zdumienie, szczególnie jeżeli chodziło o przemysł lotniczy.

Słyszałem od Maurera, który często musiał się porozumiewać z Ministerstwem Zbrojeń, o opóźnieniach nie dających się nadrobić, o wypadkach psucia się maszyn, o błędach w zamówieniach, skutkiem, których było konieczne dokonywanie przeróbek trwających całe miesiące. Wiedziałem o aresztowaniach i nawet egzekucjach znanych kierowników gospodarki wojennej, którzy zawiedli. To dawało mi przecież coś do myślenia.

Jakkolwiek kierownictwo wciąż mówiło o nowych wynalazkach, o nowej broni, to jednak w toku działań wojennych nic takiego nie dało się zauważyć. Mimo naszych nowych myśliwców odrzutowych ofensywa lotnicza dawała się odczuć coraz silniej. Przeciwno falam bombowców składającym się z 2—2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> tysięcy najcięższych maszyn powinny były występować całe tuziny naszych eskadr myśliwskich.

Zaczęto wprawdzie wytwarzać nową broń i przeprowadzać z nią próby na froncie, ale akcja zbrojeniowa musiałaby dawać inne wyniki, aby można było wygrać wojnę. Jeżeli gdzieś jakaś fabryka produkowała całą parą sprzęt wojenny, to równano ją z ziemią w ciągu paru minut. Przeniesienie pod ziemię fabryk dla zbrojeń „rozstrzygających o zwycięstwie” można było przeprowadzić najwcześniej w 1946 r. Nic by to jednak nie pomogło, ponieważ zarówno dowóz materiałów, jak i transport gotowych fabrykatów byłby nadal wystawiony na nieustanne ataki nieprzyjacielskiego lotnictwa. Najlepszym przykładem tego była fabryka pocisków V w Mittelbau. Bombowce rozwały wszystkie tory kolejowe dokoła warsztatów położonych w górach. Cała żmudna praca wielu miesięcy poszła na marne. Ciężkie pociski V 1 i V 2 zostały zamknięte w górach. Zaledwie położono prowizoryczne szyny, a już były zniszczone.

Taki stan panował prawie wszędzie w końcu 1944 r. Wschodni front coraz bardziej „ściągano do tyłu”. Niemiecki żołnierz na wschodzie nie stawiał już oporu. Zachodni front również cofał się pod naporem wroga. *führer* wciąż jednak mówił o przetrzymaniu za wszelką cenę, a Goebbels mówił i pisał o wierze w cud. Niemcy zwyciężą!

We mnie budziły się poważne wątpliwości, czy będziemy mogli wygrać wojnę. Widziałem i słyszałem zbyt wiele rzeczy, które temu przeczyły. W tych warunkach nie mogliśmy wygrać wojny.

Nie wolno mi jednak było wątpić o ostatecznym zwycięstwie, musiałem w nie wierzyć, choć zdrowy rozsądek mówił jasno i wyraźnie, że musimy przegrać.

Całym sercem byłem przywiązany do *führera*, do idei: to wszystko



nie mogło zginąć! Wiosną 1945 r., gdy każdy już widział, że wszystko ma się ku końcowi, żona moja zapytywała mnie często, w jaki sposób możemy jeszcze wygrać tę wojnę. Czy rzeczywiście mamy jeszcze coś rozstrzygającego w zapasie? Musiałem z ciężkim sercem pocieszać ją nadzieją. Nie mogłem powiedzieć jej tego, co wiedziałem. Nie mogłem przecież z nikim mówić o tym, o czym się dowiedziałem, co widziałem i słyszałem.

Jestem głęboko przekonany, że także Pohl i Maurer, którzy przecież widzieli więcej ode mnie, myśleli to samo. Nikt jednak nie ważył się mówić z innymi. Nie odgrywała tu roli obawa przed pociągnięciem do odpowiedzialności za defetyzm, ale nikt nie chciał wprost w to uwierzyć. Nie do pomyślenia było, aby nasz świkt mógł zginąć. Musieliśmy zwyciężyć.

Każdy z nas pracował nadal z całą zaciekłością tak, jak gdyby zwycięstwo zależało od naszej pracy. Nawet gdy w kwietniu załamał się front nad Odrą, podejmowaliśmy jak największe wysiłki, aby utrzymać w pełnym ruchu zakłady zbrojeniowe, które jeszcze pozostały i nie przestały funkcjonować dzięki pracy więźniów. Nie wolno było niczego zaniedbać. Zastanawialiśmy się nawet, czy nie dałoby się pracować dla celów uzbrojenia w prymitywnych obozach przejściowych. Jeżeli wpadł nam w ręce ktoś, kto dopuścił się zaniedbania, kto mówił, że na nic się to już nie zda, dostawał porządną nauczkę. Maurer chciał jeszcze z tego powodu postawić jakiegoś członka sztabu przed sądem wojennym SS, choć Berlin był już wtedy otoczony, a my przygotowywaliśmy się do ewakuacji.

Niejednokrotnie pisałem, o wariackiej ewakuacji obozów koncentracyjnych,<sup>144</sup> jednakże te sceny, które widziałem, a które były skutkiem rozkazu ewakuacyjnego,<sup>145</sup> wywarły na mnie tak wielkie wrażenie, że nigdy ich nie zapomnę.

Gdy Pohl w czasie ewakuacji Oświęcimia przestał otrzymywać meldunki od Baera,<sup>146</sup> pchnął mnie na Śląsk w celu dopilnowania porządku. W Gross Rosen<sup>147</sup> spotkałem jako pierwszego właśnie Baera, który przy-

<sup>144</sup> O ewakuacji obozów koncentracyjnych Höss pisze w charakterystykach Himmlera, Hartjensteina, Schwarza i Baera.

<sup>145</sup> Z treści protokołów zeznań Pohla oraz innych dokumentów norymberskich wynika, że Himmler wydał w połowie stycznia 1945 r. rozkaz, iż w czasie zbliżania się nieprzyjaciela miejscowo właściwi wyżsi dowódcy SS i policji obejmują władzę nad obozami koncentracyjnymi i są odpowiedzialni za ich terminową ewakuację. Co do Oświęcimia, to już podczas inspekcji w jesieni 1944 r. ówczesny komendant Baer przedłożył Pohlowi plany ewakuacji opracowane wspólnie z *SS-Obergruppenführerem* Schmauserem. Patrz Dok. Norymb. NO-1565, 1876, 2736.

<sup>146</sup> Richard Baer — patrz charakterystyka na s. 334.

<sup>147</sup> W Gross Rosen (Rogoźno) istniał od maja 1941 r. obóz koncentracyjny, który w 1944 r. liczył około 12 000 więźniów. Według planu ewakuacyjnego Gross Rosen i jego liczne obozy poboczne na Dolnym Śląsku, we wschodniej Saksonii i w Sudetach miały przyjąć więźniów

gotowywał się do przyjęcia w tym miejscu ewakuowanych. Nie wiedział on, dokąd zawędrował jego obóz. Pierwotny plan został jakoby udaremniiony przez uderzenie Armii Radzieckiej od południa. Pojechałem natychmiast dalej, aby dostać się jeszcze do Oświęcimia i osobiście przekonać się, czy wszystko, co ważne, zostało zniszczone zgodnie z rozkazem. Dojechałem jednak tylko do Odry w pobliżu Raciborza; po drugiej stronie krążyły już radzieckie czołówki pancerne.

Na wszystkich drogach i szosach Górnego Śląska na zachód od Odry spotykałem kolumny więźniów z trudem przebijające się przez głęboki śnieg. Więźniowie nie mieli żywności. Podoficerowie prowadzący te kolumny szkieletów <sup>148</sup> przeważnie nie mieli pojęcia, dokąd właściwie mają się z nimi udać. Znany był im tylko etap końcowy: Gross Rosen. Dla wszystkich było jednak zagadką, w jaki sposób mają się tam dostać. Rekwirowali na własną rękę żywność po wsiach, przez które przeciągali; odpoczywali parę godzin i znów ciągnęli dalej. O przenocowaniu w szopach albo w szkołach nie można było nawet myśleć: wszystko było zapchane uciekinierami.

Łatwo można było prześledzić drogi tego pochodu męczeństwa: co kilkaset metrów leżał wyczerpany więzień albo trup zastrzelonego człowieka. Wszystkie grupy, do których mogłem dotrzeć, kierowały się na Sudety, aby nie wpaść w przepelniony ponad wszelką miarę przesmyk nad Nysą. Wszystkim konwojującym kolumny zabroniłem jak najsurowiej zabijania więźniów niezdolnych do marszu. Mieli oddawać ich po wsiach pospolitemu ruszeniu.<sup>149</sup>

W ciągu pierwszej nocy wciąż natrafiałem na szosie w pobliżu Głubczyc <sup>150</sup> na trupy więźniów, które jeszcze krwawiły, a więc widocznie więźniowie dopiero co zostali zastrzeleni. Gdy wysiadłem z wozu przy jakimś trupie, usłyszałem w pobliżu strzały pistoletowe. Pobiegnęłem w kierunku strzałów i zdążyłem, zobaczyć, jak jakiś żołnierz na motocyklu zastrzelił więźnia opierającego się o drzewo. Zawołałem na niego i zapytałem, dlaczego to zrobił i co go obchodzą więźniowie. Roześmiał mi się bezczelnie w twarz i zapytał, jakim prawem zwracam mu uwagę. Wyciągnąłem pistolet i zastrzeliłem go na miejscu. Był to starszy sierżant lotnictwa.

Spotykałem niekiedy oficerów z Oświęcimia, którzy nadjeżdżali, korzystając z rozmaitych środków lokomocji. Porozstawiałem ich na skrzy-

ewakuowanych z Oświęcimia. Już jednak w dniu 21. 3. 1945 r. obóz w Gross Rosen musiał być również ewakuowany. Jego więźniów ewakuowano do Reichenau w Czechosłowacji, gdzie zostali oni oswobodzeni w dniu 5.5.1945 r. (M. Broszat w edycji: *Kommandant in Auschwitz*, s. 141 przyp. 2).

<sup>148</sup> W oryginale: *Leichenzüge*.

<sup>149</sup> *Volkssturm*.

<sup>150</sup> Niemiecka nazwa: Leobschütz.

żowaniach dróg w celu gromadzenia wałęsających się grup więźniów i wysyłania ich na zachód, ewentualnie drogą kolejową.

Widziałem także transporty więźniów załadowane na otwarte węglarki, transporty składające się z ludzi zupełnie zamarzniętych, byle gdzie porzucone. Bez możliwości zaprowiantowania tkwiły one gdzieś na bocznicach pod gołym niebem. Trafiły się również grupy więźniów bez żadnego nadzoru, które wyruszyły w drogę na własną rękę, porzucone przez strażników; one także ciągnęły spokojnie na zachód. Spotykałem oddziały angielskich jeńców wojennych idące bez konwoju, nie chcieli w żadnym razie wpaść w ręce Rosjan. Spotykałem SS-manów i więźniów uwieszonych przy pojazdach wiozących uciekinierów. Trafiły się grupki pracowników urzędów budownictwa i rolnictwa; nikt z nich nie wiedział, dokąd ma się udać; każdy znał tylko etap końcowy: Gross Rosen.

Panowały wówczas wielkie mrozy i wszędzie leżał głęboki śnieg. Drogi były zapchane kolumnami wojska i uciekinierami. Zdarzały się masowe wypadki samochodowe wskutek ślizgawicy na drogach.

Na skrajach dróg leżały nie tylko trupy więźniów, lecz również liczne trupy uciekinierów — kobiet i dzieci. Przy wejściu do jakiejś wsi widziałem siedzącą na pniu kobietę, która kołysała dziecko i śpiewała. Dziecko już od dawna było martwe, a kobieta dostała pomieszania zmysłów.

Wciąż się widziało, jak kobiety brnęły przez śnieg, pchając przed sobą wózki dziecięce naładowane po brzegi najpotrzebniejszymi rzeczami. Byle dalej, byle nie wpaść w ręce Rosjan.

W Gross Rosen wszystkie pomieszczenia były przepełnione. Dlatego Schmauser<sup>151</sup> ogłosił pogotowie ewakuacyjne. Pojechałem do Wrocławia, aby mu przedstawić wszystko, co widziałem, i skłonić do odstąpienia od ewakuacji Gross Rosen. Schmauser pokazał mi rozkaz radiowy *Reichsführera SS*, który czynił go odpowiedzialnym za to, żeby w podległych mu obozach nie pozostał ani jeden zdrowy więzień.

Transporty przybywające na dworzec w Gross Rosen odsyłano natychmiast dalej. Bardzo niewiele z nich mogło otrzymać, pożywienie, gdyż Gross Rosen samo nie miało już nic. Na otwartych ciężarówkach nieżywi SS-mani leżeli spokojnie wśród nieżywych więźniów. Na nich siedzieli żyjący, gryząc kawałek chleba. Były to straszne sceny, których można było uniknąć.

Przeżyłem ewakuację Sachsenhausen i Ravensbrück, gdzie powtarzały

<sup>151</sup> *SS-Obergruppenführer* Heinrich Schmauser (ur. 18.11.1890 r.), członek NSDAP (nr 215704) i SS (nr 3359), był po von dem Bachu dowódcą południowo-wschodniego okręgu SS we Wrocławiu i wyższym dowódcą SS i policji tego okręgu. Na podstawie wspomnianego poprzednio rozkazu Himmlera był on odpowiedzialny za ewakuację obozu oświęcimskiego.

się te same sceny. Było już wtedy na szczęście cieplej i sucho, tak że kolumny mogły nocować pod gołym niebem. Po 2—3 dniach marszu brakowało jednak żywności. Czerwony Krzyż okazywał pomoc, rozdzielając paczki z darami. Ze wsi nie można było nic wycisnąć, gdyż od tygodni przeciągały przez nie pochody uciekinierów. Do tego dochodziło jeszcze stałe niebezpieczeństwo ze strony samolotów, które nie pozostawiały żadnej drogi poza swoją kontrolą.

Do ostatniej chwili starałem się wszelkimi sposobami przywrócić porządek w tym chaosie. Daremnie. Sami musieliśmy uciekać. Rodzina moja mieszkała od końca 1944 r. w bezpośrednim pobliżu Ravensbrück, mogłem więc ją zabrać, gdy Inspektorat Obozów Koncentracyjnych "odrywał się od nieprzyjaciela", udając się najpierw na północ do Darss, a po dwóch dniach dalej — do Szlezwika-Holsztynu, zgodnie z rozkazem dążąc zawsze za *Reichsführerem* SS. Nikt z nas nie mógł zrozumieć, co mamy jeszcze robić przy nim i jaką w ogóle służbę mamy pełnić. W dodatku musiałem opiekować się panią Eicke, jej córką i dziećmi oraz paroma innymi rodzinami, które nie powinny były wpaść w ręce nieprzyjaciela.

Ucieczka ta była czymś potwornym. Jechaliśmy nocami bez świateł po zatłoczonych drogach, przy czym musiałem ciągle pamiętać, aby wszystkie wozy trzymały się razem; byłem przecież odpowiedzialny za całą kolumnę. Glücks i Maurer jechali inną drogą, przez Warnemunde. Dwa wielkie wozy ciężarowe wiozące aparaturę radiową utknęły w Rostocku. Zepsuły się w drodze, a gdy je naprawiono, zapory przeciwczołgowe były już zamknięte, tak że oba znalazły się w pułapce. W ciągu dnia przemykaliśmy się od jednego lasku do drugiego, ponieważ nurkowce nieustannie kierowały ogień na tę główną drogę odwrotu. W Wismarze stał na drodze sam Keitel i starał się wyłapywać dezertorów z frontu.

Po drodze, w jakiejś zagrodzie chłopskiej, usłyszeliśmy, że *führer* nie żyje. Na tę wieść i ja, i moja żona pomyśleliśmy jednocześnie, że teraz kolej na nas! Wraz z *führerem* zginął także nasz świat. Czy dalsze życie miało dla nas jeszcze jakiś sens? Będziemy przypuszczalnie wszędzie tropieni i prześladowani.

Chcieliśmy zażyć truciznę. Postarałem się o nią dla żony, aby — w razie jakiegoś niespodziewanego natarcia Rosjan — nie wpadła wraz z dziećmi żywa w ich ręce. Nie zrobiliśmy tego przez wzgląd na nasze dzieci. Tylko dla nich chcieliśmy poddać się wszystkiemu, co przyszłość miała przynieść. Powinniśmy byli jednak otruć się. Później nieraz tego żałowałem. Oszczędziłoby to nam wielu nieszczęść, przede wszystkim mojej żonie i dzieciom. A co będą one jeszcze musiały przejść?

odesłałem z powrotem do żony. Ponieważ znałem się trochę na życiu marynarskim, nie zwracałem na siebie niczyjej uwagi. Nie pełniło się już tak dokładnie służby, miałem więc dość czasu, aby gruntownie przemyśleć to, co się stało.

Pewnego dnia usłyszałem przypadkowo wiadomość radiową o uwięzieniu Himmlera i o jego śmierci przez otrucie się. Ja również miałem przy sobie ampułkę z trucizną. Chciałem zaryzykować.

Szkołę łączności marynarki odtransportowano do strefy internowania między kanałem Morza Północnego a zatoką Schlei. Anglicy umieścili SS-manów ze swojej strefy w tej właśnie szkole i na Wyspach Fryzyjskich. W ten sposób znalazłem się w pobliżu swojej rodziny, z którą mogłem się widzieć jeszcze kilka razy. Mój najstarszy chłopiec odwiedzał mnie co parę dni.

Jako zawodowy rolnik zostałem zwolniony przed terminem, przeszedłem bez trudności przez wszystkie angielskie kontrole i zostałem przez urząd pracy skierowany jako siła robocza do gospodarstwa chłopskiego pod Flensburgiem. Praca podobała mi się; byłem zupełnie samodzielny, gdyż gospodarz znajdował się jeszcze w niewoli amerykańskiej. Pozostałem na tym miejscu przez osiem miesięcy. Utrzymywałem kontakt z żoną za pośrednictwem jej brata, który pracował we Flensburgu.

Wiedziałem od szwagra, że angielska Polowa Policja Bezpieczeństwa poszukuje mnie i że moja rodzina jest pilnie śledzona, a w domu przeprowadzane są stale rewizje.

#### ARESztOWANIE I PROCES (1946—1947)

11 marca 1946 r. o godz. 23 zostałem aresztowany. Moja ampułka z trucizną stłukła się przed dwoma dniami. Aresztowanie udało się, ponieważ wyrwany nagle ze snu, sądziłem w pierwszej chwili, że jest to napad bandycki, jeden z tych, które często się tam zdarzały. *Field Security Police*<sup>153</sup> dała mi się dobrze we znaki.

Zawleczono mnie do Heide, do tych samych koszar, z których Anglicy zwolnili mnie przed 8 miesiącami.

Moje pierwsze przesłuchanie odbyło się przy pomocy „bijących” dowodów. Nie wiem, co zawierał protokół, chociaż go podpisałem.<sup>154</sup> Alkohol i pejcz — to było nawet dla mnie za wiele. Pejcz był mój własny, a dostał się przypadkowo do bagażu mojej żony. Nie biłem nim prawie

<sup>153</sup> Angielska Polowa Policja Bezpieczeństwa, która działała w brytyjskiej strefie okupacyjnej Niemiec.

<sup>154</sup> Chodzi o powołany we wstępie i cytowany tam protokół obejmujący 8 stron maszynopisu, podpisany przez Hössa dnia 14. 3. 1946 r. o godz. 2,30 (Dok. Norymb. NO-1210).

z Bargsdorffem<sup>158</sup> i Buhlerem<sup>159</sup> na lotnisko i przekazano oficerom polskim. Amerykańską maszyną lecieliśmy przez Berlin do Warszawy. Choć w drodze obchodzono się z nami bardzo uprzejmie, to jednak — myśląc o przeżyciach w strefie angielskiej i o wzmiankach na temat traktowania na wschodzie — obawiałem się jak najgorszych następstw. Myny i gesty widzów w chwili naszego przybycia na lotnisko w Warszawie nie wzbudzały również wielkiego zaufania.

W więzieniu wpadło na mnie kilku funkcjonariuszy, pokazując mi wytatuowane w Oświęcimiu numery. Nie mogłem zrozumieć tego, co mówili na przywitanie; w każdym razie nie były to pobożne życzenia. Nie bito mnie jednak.

Areszt był bardzo surowy i zupełnie odosobniony. Często przeprowadzano u mnie inspekcje. Spędziłem tam dziewięć tygodni; ciężko było mi je przeżyć, ponieważ nie miałem żadnej rozrywki ani nic do czytania, ani nie wolno mi było pisać.

30 lipca przybyłem wraz z siedmioma innymi Niemcami do Krakowa. Na dworcu musieliśmy przez dłuższą chwilę czekać na samochód. W tym czasie zgromadziło się koło nas sporo ludzi, którzy nam złośliwie urągali. Götha<sup>160</sup> zaraz poznano. Gdyby samochód nie nadjechał zaraz, obrzucono by nas kamieniami.

W pierwszych tygodniach więzienie było całkiem znośne, lecz nagle kalifaktorzy jakby się odmienili. Z zachowania i z rozmów, których wprawdzie nie rozumiałem, lecz domyślałem się, mogłem wywnioskować, że chciano mnie „wykończyć”. Z zasady dawano mi najmniejszy kawałek chleba i niepełną chochlę cienkiej zupy. Nigdy drugiej porcji, mimo że prawie codziennie jedzenie zostawało i rozdzielano je po celach obok mnie. Gdy raz jakiś funkcjonariusz chciał po to otworzyć rnoją celę, natychmiast cofnął się wygwizdany.

Tu mogłem poznać władzę kalifaktorów. Oni opanowali wszystko. Znowu potwierdzili mi w sposób oczywisty moje twierdzenia o niesłychanej, często wręcz złowroziej władzy, jaką więźniowie funkcjni

<sup>158</sup> Kurt Ludwig Ehrenrtich Bargsdorff (ur. 16. 12. 1886 r.) był członkiem NSDAP od 1933 r. Od 1 grudnia 1943 r. do stycznia 1945 r. był gubernatorem dystryktu krakowskiego. Wyrokiem Sądu Okręgowego w Krakowie z dnia 6. 12. 1948 r. został skazany na 3 lata więzienia i po odbyciu tej kary reekstradowany do Niemiec zachodnich.

<sup>159</sup> Dr praw Josef Bühler (ur. 16.2. 1904 r.) był członkiem NSDAP od 1933 r. Był szefem rządu Generalnego Gubernatorstwa i zastępcą generalnego gubernatora Hansa Franka. Wyrokiem Najwyższego Trybunału Narodowego z dnia 10. 8. 1943 r. został skazany na karę śmierci i stracony.

<sup>160</sup> *SS-Sturmabführer* Amon Leopold Göth (ur. 11. 12.1908 r.), członek NSDAP od 1930 r. i SS od 1932 r., był od lutego 1943 r. do września 1944 r. komendantem obozu pracy przymusowej w Płaszowie pod Krakowem, przekształconego w 1944 r. na obóz koncentracyjny. Göth przeprowadził w 1943 r. ostateczną likwidację getta w Krakowie i w Tarnowie. Wyrokiem Najwyższego Trybunału Narodowego z dnia 5. 9. 1946 r. został skazany na karę śmierci i stracony.

mogą sprawować nad swymi współtowarzyszami. Także i tu poznałem dokładnie trzy rodzaje dozorców.

Gdyby nie wdała się w to prokuratura, byłiby mnie wykończyli — nie tylko fizycznie, lecz przede wszystkim psychicznie. Byłem już całkiem bliski tego. To nie była histeria z jakiejś słabości — wtedy niewiele mi już brakowało. Potrafię niejedno wytrzymać — życie już nieraz twardo się ze mną obeszło. A jednak psychiczne dręczenie przez tych trzech szatanów, to już było zbyt wiele. A ja nie byłem jedynym, którego tak gnębili. Wśród polskich więźniów mieli również kilku takich, których podobnie dręczyli. Teraz już od dawna nie ma ich na tym oddziale i pod tym względem panuje miły spokój.

Muszę szczerze powiedzieć, że nigdy nie spodziewałem się, że będę w polskim więzieniu traktowany tak przyzwoicie i uprzejmie, jak to się działo od czasu objęcia sprawy przez prokuraturę.

Jak się zapatruję dzisiaj na Trzecią Rzeszę? Jak się zapatruję na Himmlera, na SS, na obozy koncentracyjne i Policję Bezpieczeństwa? Jak się zapatruję na to wszystko, co się wydarzyło na odcinku, na którym żyłem?

Jeżeli chodzi o pojmowanie życia, to jestem nadal narodowym socjalistą. Idei i poglądów, które się wyznawało przez blisko 25 lat, z którymi się wzrosło i z którymi było się związanym duszą i ciałem, nie porzuca się tak łatwo dlatego tylko, że ucieleśnienie tej idei — narodowosocjalistyczne państwo i jego przywódcy — postępowali fałszywie, a nawet zbrodniczo i że wskutek tych błędów, wskutek takiego postępowania świat ten rozpadł się, a cały naród niemiecki na dziesiątki lat został wtrącony w bezprzykładną nędzę. Ja tego nie potrafię.

Z ogłoszonych dokumentów procesu w Norymberdze widzę, że kierownictwo Trzeciej Rzeszy wskutek stosowania polityki gwałtu ponosi winę za rozpętanie tej straszliwej wojny wraz ze wszystkimi jej skutkami, że kierownictwo to za pomocą nadzwyczaj skutecznej propagandy i bezgranicznego terroru podporządkowało sobie cały naród, który — z bardzo nielicznymi wyjątkami — szedł bezkrytycznie i bezwolnie każdą wskazaną mu drogą.

Moim zdaniem niezbędne rozszerzenie niemieckiej przestrzeni życiowej można było osiągnąć również i na drodze pokojowej, jakkolwiek jestem głęboko przekonany, że wojen nie da się uniknąć i że będą one istnieć w przyszłości.

Chcąc zatuszować politykę gwałtu, musiano posługiwać się propagandą, aby przez zręczne przekręcanie wszystkich faktów uczynić po-

litykę i zarządzenia władz państwowych łatwiej strawnymi. Aby z góry zapobiec wątpliwościom i nie dopuścić do sprzeciwów, musiano zastosować terror. Moim, zdaniem poważnych przeciwników zwalcza się postępując lepiej niż oni.

Himmler był najbardziej jaskrawym przedstawicielem zasady wodzostwa. Każdy Niemiec powinien był bezkrytycznie podporządkować się kierownictwu państwowemu; tylko ono było zdolne bronić istotnych interesów narodu, tylko ono mogło należycie kierować narodem. Każdy, kto nie podporządkowywał się tej zasadzie, musiał być wyłączony z życia publicznego. Postępując w myśl tej zasady, Himmler stworzył i wychował swoją SS, stworzył obozy koncentracyjne, policję niemiecką i RSHA.

Dla Himmlera Niemcy były jedynym państwem, które miało prawo przewodzić Europie. Wszystkie inne narody były narodami drugiej klasy. Te, w których przeważa krew nordycka, miały być faworyzowane z myślą, aby je wcielić do Niemiec. Narody o krwi wschodniej miały być rozczłonkowane, doprowadzone do zupełnej utraty swego znaczenia, miały stać się helotami.<sup>161</sup>

Przed wojną musiano w obozach koncentracyjnych internować wrogów państwa. Proces oczyszczania społeczeństwa z wszelkiego rodzaju elementów aspołecznych doprowadził w dalszym rozwoju do tego, że obozy stały się zakładami wychowawczymi dla tych elementów, spełniając w ten sposób zadanie pożyteczne dla całego narodu. Obozy stały się również konieczne dla zapobiegawczego zwalczania przestępczości.<sup>162</sup>

Z chwilą wybuchu wojny, pod wpływem wydarzeń wojennych obozy koncentracyjne stały się miejscami zagłady — bezpośrednio lub pośred-

<sup>161</sup> Höss oddaje tu trafnie sens tego, co Himmler napisał w wytycznych zatytułowanych „Kilka uwag o traktowaniu obcoplemiennych na Wschodzie”, dnia 15. 5. 1940 r. Himmler pisze tam między innymi, co następuje: „Przy traktowaniu obcoplemiennych na Wschodzie musimy starać się uznawać i podtrzymać jak najwięcej odrębnych narodowości, a więc obok Polaków i Żydów także Ukraińców, Białorusinów, Górali, Łemków i Kaszubów (...). Chcę przez to powiedzieć, że mamy największy interes nie tylko w tym, ażeby ludności Wschodu nie jednoczyć, lecz przeciwnie, ażeby ją rozbijać na możliwie wiele części i odłamów. Nie leży także w naszym interesie, aby w ramach tych samych narodowości prowadzić je do jedności i wielkości, aby w nich może stopniowo budzić świadomość narodową i narodową kulturę, lecz przeciwnie — by rozbić je na niezliczone małe odłamy i szczątki” (patrz J. Sehn: Hitlerowski plan walki biologicznej z narodem polskim, Biuletyn IV GKBZH, 1948, s. 107).

<sup>162</sup> „Zapobiegawcze zwalczanie przestępczości” (w oryginale: *vorbeugende Verbrechensbekämpfung*), które Höss przedstawia bezkrytycznie jako instytucję „konieczną”, było jednym z owych narodowosocjalistycznych tytułów, którymi można było się z łatwością posługiwać jako wygodnym pretekstem do stosowania pozaustawowych, policyjnych środków przymusu. Z powołaniem się na „zapobiegawcze zwalczanie przestępczości” można było aresztować nie tylko tzw. asocjalnych, ale pod pojęcie to podpadało również stosowanie „aresztu ochronnego” przeciwko osobom uniewinnionym przez sądy. Pod tym pretekstem policja wkiaczała w kompetencje organów wymiaru sprawiedliwości. Patrz M. Broszat: *Zur Perversion der Strafjustiz im III Reich*.



niej — dla tych odłamów narodów, które występowały przeciwko zdobywcom i ciemnościom.

Mówiłem już niejednokrotnie o mojej postawie wobec „wrogów państwa”. Tępienie znacznych części narodów nieprzyjacielskich było w każdym razie błędem. Dobrze i rozsądnie traktując ludność podbitych krajów, można było sprowadzić ruch oporu do nic nie znaczących rozmiarów. W ten sposób pozostałoby niewielu rzeczywiście poważnych przeciwników. Dzisiaj widzę również, że i wyniszczenie Żydów było błędem, zasadniczym błędem. Właśnie przez to masowe niszczenie Niemcy ściągnęły na siebie nienawiść całego świata. Antysemityzmowi bynajmniej nie przysłużyło się to, przeciwnie, żydostwo wskutek tego znacznie się przybliżyło do swego ostatecznego celu.

RSHA był tylko egzekutywą, przedłużonym ramieniem policyjnym Himmlera. RSHA i obozy koncentracyjne były tylko organami, które przeprowadzały to, czego chciał Himmler lub co zamierzał Adolf Hitler.

W charakterystykach różnych osób wyjaśniłem szczegółowo, w jaki sposób w obozach koncentracyjnych mogło dojść do tych okropności. Jeżeli o mnie chodzi, nigdy ich nie aprobowałem. Sam nie maltretowałem nigdy więźniów, a już z pewnością żadnego nie zabiłem. Nie tolerowałem również nigdy znęcania się moich podwładnych.

Zimno mi się robi, gdy w czasie śledztwa muszę słuchać, jakie potworne wypadki znęcania się zdarzały się w Oświęcimiu i w innych obozach. Wiedziałem wprawdzie, że w Oświęcimiu więźniowie byli maltretowani przez SS, przez cywilnych funkcjonariuszy i w pewnym stopniu — nie mniejszym — przez współwięźniów. Przeciwdziałiałem znęcaniu się wszelkimi środkami, jakimi rozporządzałem, ale nie mogłem go wykorzenić. Nie udało się to również innym komendantom obozów o zapatrywaniach podobnych do moich, którzy próbowali tego w obozach o wiele mniejszych i dających się łatwiej nadzorować. Na złośliwość, niegodziwość i okrucieństwo poszczególnych dozorców nie można nic poradzić, chyba że ma się ich bezustannie na oku. Im gorszy jest cały personel strażniczy i nadzorczy, tym częściej zdarzają się wypadki nadużycia władzy w stosunku do więźniów.

Obecny mój areszt dostarczył mi dość dowodów, że ten mój pogląd jest słuszny. W angielskiej strefie znajdowałem się stale pod jak najściślejszym nadzorem, mogłem więc dokładnie przestudiować wszystkie trzy kategorie dozorców. W Norymberdze „indywidualne traktowanie” było niemożliwe, ponieważ tam wszyscy więźniowie znajdowali się stale pod dozorem dyżurnych oficerów więziennych. W Berlinie nawet przy przejściowym lądowaniu uniknąłem złego traktowania w czasie pobytu w ustępie tylko dzięki przypadkowemu zjawieniu się postronnych osób.

W więzieniu w Warszawie, które — o ile to mogłem zaobserwować i ocenić ze swojej celi — było prowadzone surowo i skrupulatnie, był między dozorcami jeden — jeden jedyny, który natychmiast po objęciu służby na naszym oddziale biegał od celi do celi — wszędzie tam, gdzie byli Niemcy — i bez wyboru prał. Z wyjątkim Burgsdorffa, u którego kończyło się na policzkach, każdy Niemiec dostawał od niego cięgi. Był to młody człowiek lat 18—20 (mówił, że jest polskim Żydem, lecz wcale na to nie wyglądał); w jego oczach płonęła zimna nienawiść. Bicie nigdy go nie męczyło. Czynność tę przerywał tylko przy ukazaniu się osób trzecich — na ostrzegawczy znak kolegi, który wraz z nim pełnił służbę.

Jestem przekonany, że żaden z wyższych urzędników ani naczelnik więzienia nie pochwalali takiego postępowania. Parę razy odwiedzający urzędnicy pytali mnie o to, jak jestem traktowany; zawsze jednak przemilczałem jego postępowanie dlatego, że było to odosobnione. Inni dozorczy zachowywali się mniej lub więcej surowo i nieprzystępnie, żaden jednak nie dotknął mnie. A więc nawet w małym więzieniu przełożony nie mógł przeszkodzić takiemu postępowaniu, o ileż mniej możliwe było to w obozie koncentracyjnym o rozmiarach Oświęcimia.

Tak, byłem twardy i surowy. Dziś widzę, że często byłem zbyt twardy i zbyt surowy. Pod wpływem, rozdrażnienia z powodu napotykanym zaniechań nieraz wyrywały mi się prawdopodobnie takie słowa, takie zdania, do których nie powinienem był dopuścić, ale nigdy nie byłem okrutny, nigdy nie pozwoliłem sobie posunąć się aż do znęcania się.

W Oświęcimiu działo się — rzekomo w moim imieniu, z mego polecenia, na mój rozkaz — wiele takich rzeczy, o których nie wiedziałem, których nie aprobowałbym ani nie tolerował. Wszystko to jednak istotnie miało miejsce, a ja jestem za to odpowiedzialny. Nawet regulamin obozowy mówi: „Komendant obozu ponosi całkowitą odpowiedzialność za wszystko, co się dzieje na terenie obozu”.

Stoję teraz u kresu swego życia. W mniejszych zapiskach ująłem wszystko istotne, co mnie w życiu spotkało, co wywarło na mnie silne wrażenie, co mnie szczególnie obeszło. Pisałem zgodnie z prawdą i rzeczywistością — tak, jak widziałem, jak przeżywałem. Wiele rzeczy nieważnych opuściłem, niektóre zapomniałem, a wiele przypominam sobie nie dość dokładnie. Nie jestem poza tym pisarzem, nigdy nie byłem zbyt mocny w piórze. Z pewnością często powtarzałem się, przypuszczalnie też często wyrażałem się nie dość zrozumiale. Brakowało mi również wewnętrznego spokoju i równowagi potrzebnej do skupienia się przy tego rodzaju pracy. Pisałem tak, jak mi przychodziło do głowy,

często chaotycznie, ale bez żadnych sztucznych upiększeń. Napisałem tak, jaki byłem, jaki jestem.

Życie moje było barwne i różnorodne. Los prowadził mnie przez wszystkie wyżyny i niziny. Życie było dla mnie często twarde i ciężkie, ale zawsze dawałem sobie radę. Nie traciłem nigdy odwagi.

Miałem dwie gwiazdy przewodnie, które nadawały kierunek memu życiu, odkąd jako dorosły człowiek powróciłem z wojny, na którą wyruszyłem jako chłopiec w wieku szkolnym: moją ojczyznę, a później moją rodzinę.

Moja bezgraniczna miłość ojczyzny, moja świadomość narodowa zaprowadziły mnie do NSDAP i SS. Uważałem, że tylko narodowosocjalistyczny światopogląd jest odpowiedni dla narodu niemieckiego. SS była moim zdaniem najenergiczniejszym szermierzem tej idei i tylko ona była zdolna doprowadzić stopniowo cały naród niemiecki do życia odpowiadającego jego naturze.

Moja rodzina była drugą moją świętością. Jest ona dla mnie mocnym oparciem. Jej przyszłość była przedmiotem mojej stałej troski; zagroda chłopska miała być nam domem. I żona moja, i ja widzieliśmy cel życia w naszych dzieciach. Zadaniem naszego życia było dać im dobre wychowanie na przyszłość, stworzyć dla nich mocne gniazdo rodzinne. Również i teraz myśli moje obracają się głównie wokół mojej rodziny. Co się z nią stanie?

Ta niepewność o los rodziny sprawia, że obecne więzienie jest dla mnie tak ciężkie. Moją osobę wyłączyłem od samego początku — o to się już nie troszczę, z tym już skończyłem. Ale moja żona, moje dzieci?

Los dziwnie obchodził się ze mną. Jakże często zdarzało się, że o włos tylko uniknąłem śmierci! Tak było w poprzedniej wojnie, w walkach korpusu ochotniczego, w wypadkach przy pracy. W 1941 r. miałem wypadek samochodowy na autostradzie: najechałem na nie oświetloną kolumnę samochodów ciężarowych, a zorientowawszy się w ciągu ułamka sekundy, zdołałem jeszcze poderwać wóz i skrócić w bok. Zderzenie nastąpiło z boku, tak że przednia część wozu została zgnieciona jak harmonijka, ale my, trzej pasażerowie, wyszliśmy tylko ze skaleczeniami i potłuczeniami. W 1942 r. jadąc konno zwałem się razem z koniem i tylko kamień, obok którego upadłem, ocalił mnie, kiedy ciężki ogier runął na mnie; dzięki tej osłonie skończyło się na złamaniu paru żeber.

Jakże często przy atakach lotniczych nie dawałem złamanego grosza za swoje życie, a jednak zawsze wychodziłem cało. Na krótko przed ewakuacją Ravensbrück uległem wypadkowi samochodowemu. Wszyscy uważali mnie już za zabitego; nie powinienem był pozostać przy życiu,

a jednak nie było mi sądzone umrzeć wtedy. A stłuczenie się ampułki z trucizną przed aresztowaniem! Los chronił mnie wszędzie przed śmiercią, aby teraz dać mi zginąć w tak haniebnym sposobie. Jakże zazdroszczę moim kolegom, którym dane było umrzeć zaszczytną śmiercią żołnierską. Stałem się nieświadomie kółkiem wielkiej maszyny niszczycielskiej Trzeciej Rzeszy. Maszyna została rozbita, motor zniszczony i ja muszę zginąć wraz z nimi. Świat żąda tego!

Nigdy nie zdecydowałbym się na to wynurzenie, na to obnażanie mojego najskrytszego *ja*, gdyby nie to, że spotkałem się tu z ludzkim stosunkiem, ze zrozumieniem, które mnie zupełnie rozbroiło, których przenigdy nie miałem prawa się spodziewać. To ludzkie zrozumienie wkłada na mnie obowiązek dołożenia wszelkich starań, aby w miarę możliwości oświetlić nie wyjaśnione okoliczności.

Proszę jednak przy wykorzystywaniu tych notatek nie wyciągać na widok publiczny tego, co wiąże się z moją żoną i moją rodziną, wszystkich moich odruchów łagodności i najskrytszych wątpliwości.<sup>163</sup>

Niechaj opinia publiczna nadal widzi we mnie krwiożerczą bestię, okrutnego sadystę, mordercę milionów. Inaczej bowiem szerokie rzesze nie mogą sobie nawet wyobrazić komendanta Oświęcimia. Nigdy tego nie rozumieją, że on także miał serce, że nie był zły.

Niniejsze notatki obejmują 114 kart.

Wszystko to spisałem z własnej woli i bez przymusu.

*Rudolf Höss*

*Kraków, w lutym 1947 r.*

<sup>163</sup> M. Broszat podkreśla, że uwzględnienie tej prośby w jej werbalnej wykładni oznaczałoby zrezygnowanie z opublikowania i wykorzystania autobiografii. To byłoby jednak -sprzeczne z intencją i wywodami samego Hössa, który przecież chce odsłonić „duszę” (*Psyche*) autora autobiografii. Z drugiej strony jest jasne, że wydawcom nie chodzi o prywatną osobę Hössa, lecz o historyczną treść wspomnień z jego życia i o to, co w postaci Hössa, jako typowe i reprezentatywne, zasługuje na utrwalenie. Dlatego też zaniechano komentowania wszystkich wypowiedzi Hössa, które odnoszą się do jego rodziny (Kommandant in Auschwitz, s. 151 przyp. 1).